

MARIE FERRARELLA

**KORESPONDENCYJNA
ŽONA**

ROZDZIAŁ 1

Nie ma go!

Szybko przebiegła wzrokiem grupę ludzi, czekających przy wyjściu na pasażerów lotu numer 17 - tego, którym właśnie przyleciała - ale nigdzie go nie było. Pośród oczekujących nie dostrzegła człowieka, z którym miała się spotkać po raz pierwszy w życiu i dla którego przebyła ponad dwa tysiące mil.

Mężczyzny, którego oświadczyły przyjeła przed niespełna dwoma tygodniami.

Próbowała stłumić narastający lęk, który w każdej chwili groził przekształceniem się w regularny atak paniki.

Wszystko będzie dobrze. On zaraz się tu zjawi. Skoro obiecał, że będzie, to będzie. W końcu czas to pojęcie względne. Czyż nie tak napisał jej w jednym z listów? A czas tutaj, na Alasce, to z pewnością nie to samo, co czas w pozostałych czterdziestu dziewięciu stanach. Tutaj czas płynął niespiesznie, jak ławica ryb, pluskających się w strumieniu po pierwszej wiosennej odwilży. To także były jego słowa.

Wokół niej ludzie witali się, całowali i ściskali. Idąca przed nią kobieta nagle wpadła w objęcia potężnego, niedźwiedziowatego mężczyzny, a dwójka dzieci z radosnym piskiem uczepliła się jej rąk.

Na ten widok Sydney zrobiło się ciepło na sercu. Przecież po to właśnie tu przyjechała. Żeby odnaleźć miłość. Znowu... A może po raz pierwszy? Żeby wreszcie znaleźć miejsce, w którym naprawdę będzie potrzebna.

A jeżeli on się rozmyślił?

Jeżeli nikt po nią nie przyjedzie?

Starając się nie tracić ducha, co jednak przychodziło jej z coraz większym trudem, Sydney zaczęła gorączkowo rozglądać się po hali przylotów, szukając wzrokiem wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny. Przecież powinien już tu być.

Niestety nikt taki nie spieszył w jej stronę.

Przełożyła podręczny bagaż z ręki do ręki. Torba zaczynała jej ciążyć. Nie ma powodów do paniki. Widocznie coś go zatrzymało. W końcu dotarcie na lotnisko wcale nie jest takie proste. Ben Kerrigan mieszkał kilkaset mil stąd i -jak napisał w ostatnim liście - o tej porze roku, mimo iż była dopiero jesień, droga do Anchorage była na ogół nieprzejezdna. Ben napisał jej też, że chyba będzie musiał przylecieć z Hades swoją awionetką.

Może tankowanie zajęło mu więcej czasu niż zazwyczaj? A może z jakichś przyczyn start się opóźnił? Były tysiące powodów, dla których mógł się jeszcze nie zjawić. Musiała tylko wybrać jeden z nich i skupić się na nim.

Zamknęła oczy i spróbowała wziąć się w garść. W końcu nie przywykła panikować z byle drobnostki. Już od dzieciństwa uchodziła za osobę praktyczną, rozsądną i opanowaną.

Ale czy to naprawdę praktyczne i rozsądne, żeby tak z dnia na dzień rzucić wszystko i wynieść się na Alaskę, tylko dlatego,

że mężczyzna, którego nigdy w życiu nie widziała, poprosił ją o rękę?

Uśmiechnęła się, bo nagle przypomniała sobie słowa swojej najlepszej przyjaciółki, Marty: „Czyś ty postradała rozum, dziewczyno?”

Zapewniła wtedy Martę, że jest jak najbardziej przy zdrowych zmysłach. Nigdy nie była bardziej przekonana o słuszności swojej decyzji jak wtedy, gdy zawiadamiła dyrektora szkoły podstawowej, w której uczyła, o swoim odejściu. A także gdy wyznaczała termin wyjazdu, sprzedawała meble i załatwiała w firmie przewozowej transport swoich najcenniejszych rzeczy - i to nie na drugi koniec miasta, tylko niemal na drugi koniec Stanów.

Czasem czysty przypadek potrafi diametralnie zmienić ludzkie życie. Gdyby nie poszła wtedy do dentysty i nie zaczęła czytać w poczekalni artykułu o Alasce, nie byłoby jej tu teraz. To właśnie Ben napisał ten artykuł, którym bez reszty ją oczarował. Pisał w nim, że każdego ranka odnosi wrażenie, jakby rodził się na nowo. Wtedy zrozumiała, że stoi przed nią szansa, by zrobić coś z własnym życiem. Zapragnęła podziękować autorowi za to, że otworzył jej oczy, więc wysłała do niego list na adres redakcji. Po miesiącu przysłała odpowiedź. Potem było jeszcze wiele listów, a po ośmiu miesiącach podjęła ostateczną decyzję co do swojej przyszłości.

Ilekcio czytała list od Bena, coś budziło się w jej duszy. Ben opisywał cudowną przyrodę Alaski oraz życie, które Sydney wydawało się jedną wielką przygodą. Jego listy przypominały jej listy od ciotki Faye, siostry dziadka, która również mieszkała na Alasce. Emanował z nich ten sam niemal dziecięcy entuzjazm. Listy Bena świadczyły również o jego wielkiej wrażliwości i otwartości na potrzeby drugiego człowieka. A ona nigdy nie była tego bardziej spragniona, jak właśnie w tym momencie. Miała wrażenie, że ten obcy człowiek, mieszkający w krainie śniegu i lodu, doskonale ją rozumie. Może nawet więcej - że zna jej najskrytsze pragnienia, by wreszcie znaleźć swoje miejsce, by stać się potrzebną i być kochaną.

Jego listy utwierdziły ją w przeświadczeniu, że jest to możliwe. Przyjmując oświadczenia doktora Bena Kerrigana była absolutnie przekonana, że łączy ich duchowe pokrewieństwo.

Więc dlaczego wciąż go nie ma?

W duszy Sydney zakiełkował strach. Ogarnęły ją złe przeczucia. Westchnęła i zaczęła udawać, że nie słyszy tego wewnętrznego głosu, który coraz natarczywiej podpowiadał jej, że

coś jest nie tak.

Zresztą to pewnie tylko przedślubna trema i zmęczenie po długim locie. Musi wziąć się w garść, bo jeśli Ben zjawi się wreszcie i zobaczy ją w takim stanie, gotów uciec gdzie pieprz rośnie.

Tłum wokół niej powoli topniał. Wkrótce nie było już nikogo spośród pasażerów lotu numer 17. Pracownica lotniska zamknęła drzwi i ze współczuciem spojrzała na osamotnioną Sydney.

Podeszła bliżej i zagadnęła:

- Mogę pani w czymś pomóc?

Sydney miała ochotę ją zapytać, czy nie zna doktora Bena Kerrigana, ale jakim cudem ta młoda dziewczyna mogłaby go znać? Przecież tutaj nie przyjmował pacjentów. Anchorage było całkiem dużym miastem jak na Alaskę. To Hades był małą osadą. Tam wszyscy wiedzieli, kim jest doktor Ben Kerrigan - lekarzem, który wraz z bratem prowadzi jedyną klinikę w promieniu stu mil.

Pokręciła przecząco głową.

- Moi znajomi się spóźniają - mruknęła. Nagle przypomniała sobie, że musi przecież odebrać bagaż. Oblizła spierzchnięte wargi i spojrzała na młodą kobietę.

- Gdzie odbiera się bagaże? - zapytała.

Dziewczyna położyła jej dłoń na ramieniu i wskazała na wiszącą pod sufitem białą strzałkę.

- Tam są ruchome schody. Zjedzie pani na dół i skręci w prawo. Nie sposób zabłądzić.

Sydney jednak wcale nie była tego taka pewna. Często się gubiła, nawet jeśli wszystko było dokładnie oznakowane. To także był jeden z powodów, dla których Marta uznała, że jej wyjazd na Alaskę to czyste szaleństwo.

- Daj sobie spokój, Sydney. Zastanów się. Kto w dzisiejszych czasach zawiera małżeństwo listownie? - mówiła Marta, patrząc, jak Sydney pakuje walizki. - Jedziesz w jakąś głuszę. Zgubisz się przy pierwszej śnieżycy, która cię zaskoczy.

Sydney śmiała się tylko z ostrzeżeń przyjaciółki. Udawała, że nie słyszy nuty niepokoju w głosie osoby, której przecież leżało na sercu jej dobro.

- Śnieżyce nie są tam żadnym zaskoczeniem, Marto - powiedziała, zatraskując ostatnią walizkę. - To rzecz najzupełniej zwyczajna.

A teraz, słowo się rzekło - była na Alasce. Tu miał być jej nowy dom. Tu miała zacząć wszystko od nowa, a także zaspokoić wszystkie swoje potrzeby i pragnienia.

I właśnie na tym postanowiła się skoncentrować.

Zrobiło jej się jakby lżej na duszy.

Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę schodów.

Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w duchu. Wprawdzie Ben trochę się spóźnia, ale tutaj to chyba rzecz normalna.

Na Alasce ludzie na pewno inaczej traktowali czas. Życie było tutaj znacznie mniej skomplikowane. Czy nie to właśnie skłoniło ją do przyjazdu? To i oczywiście listy Bena. Albo, mówiąc bardziej konkretnie, człowiek, którego odkryła w listach. Fascynujący, inteligentny zapaleniec, który swoimi listami sprawił, że znowu ożyła.

A to, że zdjęcia, które jej wysłał, przedstawiały wyjątkowo przystojnego mężczyznę, wydało jej się dodatkową premią. Gdyby Ben Kerrigan mieszkał w jakimkolwiek innym miejscu, mógłby wybierać do woli. Na Alasce było bardzo mało kobiet.

Przynajmniej nie będzie musiała martwić się o to, że Ben porzuci ją tuż przed ślubem, łamiąc jej serce, tak jak to zrobił Ken.

Ostrożnie postawiła na schodach torbę, a potem sama stanęła na ruchomym stopniu. Jadąc w dół, rozglądała się wokół, wypatrując Bena.

Doktor Ben Kerrigan uosabiał, jej zdaniem, wszystkie cechy, jakie powinien posiadać prawdziwy mężczyzna. Wiedziała to już po miesiącu ich korespondencji. Swoje życie na Alasce opisywał z radosnym entuzjazmem dziecka, które odkrywa wszystko po raz pierwszy. Ten swoisty rodzaj dziecięcej niewinności oraz głębokie oddanie pracy czyniły go w oczach Sydney niemal ideałem.

Więc nawet jeżeli trochę się spóźniał, i tak nie miało to większego znaczenia. Przecież zaraz tu będzie.

Ben Kerrigan nie należał do mężczyzn, którzy nie dotrzymują słowa. Sydney dałaby sobie za to uciąć głowę.

Co on tu właściwie robi? Co za głupota, żeby szukać jakiejś kobiety, która nie powinna była w ogóle przyjeżdżać? Gdyby ta osoba miała bodaj za grosz rozumu, dawno wycofałaby się z tego idiotycznego przedsięwzięcia.

Spóźnił się, bo prawdę mówiąc ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był wyjazd na lotnisko. Chciałby być teraz w swojej klinice i pracować. A w ostateczności wolałby nawet być w domu i zmagać się z rolą ojca, którą tak nieoczekiwanie przyszło mu odgrywać.

Jako lekarz na Alasce był zajęty niemal przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie miał czasu na inne sprawy. To głównie dlatego Barbara porzuciła go po kilku latach. Za dużo czasu poświęcał swojej praktyce, a za mało rodzinie. Więc jak, u licha, miał teraz znaleźć

czas na to, by wychowywać dwójkę dzieci, które trafiły do niego po śmierci jego byłej żony? I to dzieci, których właściwie nie znał, bo zbyt dawno zniknęły z jego życia?

Nie mówiąc już o tym, że raczej kiepski był z niego wychowawca. Wystarczy popatrzeć na Bena. Po przedwczesnej śmierci rodziców musiał się nim zająć - i co z tego chłopaka wyrosło? Sam wdzięk, za to ani za grosz poczucia odpowiedzialności.

Shayne westchnął i poczuł, że budzi się w nim gniew.

Jak Ben mógł popełnić takie głupstwo? Takie monstrualne głupstwo? Jak mógł oświadczyć się kobiecie, której nigdy w życiu nie widział, i potem w ostatniej chwili uciec ze swoją dawną ukochaną?

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, Ben, bo ja nie - mruknął pod nosem, idąc przez pustą halę przylotów w Anchorage.

Było to naprawdę ostatnie miejsce, jakie miał ochotę oglądać.

A na domiar złego musiał odszukać kobietę, która - jeśli w ogóle przyleciała - na pewno w niczym nie przypomina tej ślicznotki ze zdjęcia, które tuż przed wyjściem wsunął do kieszeni.

Fotografia najpewniej przedstawiała jakąś znajomą tej Sydney, bo gdyby panna Elliot rzeczywiście była tak atrakcyjna jak na zdjęciu, nie musiałaby porzucać cywilizacji i jechać, gdzie diabeł mówi dobranoc, po to, żeby wyjść za faceta, którego nawet nie znała.

Z każdą minutą był coraz bardziej poirytowany. Czy i bez tego nie miał dość kłopotów na głowie? Choćby tę dwójkę dzieci, których praktycznie nie znał. Parę posepnych malców, spoglądających na niego wzrokiem pełnym nieufności. Pewnie z powodu tego wszystkiego, co musiała im naopowiadać na jego temat ich matka.

Rozwód pozostawił mu po sobie uczucie goryczy. Chciał, żeby Barbara z nim została. Czuł się dotknięty, że decyzja o rozstaniu przyszła jej tak łatwo. I miał jej głęboko za złe, że wróciła do swojej zamożnej rodziny w Nowym Jorku, zabierając ze sobą Maka i Sarę.

Po rozwodzie został orzeczeniem sądowym pozbawiony prawa do odwiedzin. Sąd uznał, że jego sporadyczne wizyty przyniosą dzieciom więcej szkody niż pożytku.

Raz tylko spróbował zobaczyć się z Makiem i Sarą. Przyleciał do Nowego Jorku, ale Barbara wezwała policję. Nie zdążył nawet wspomnieć jej o tym, że chciałby, by dzieci mogły go czasami odwiedzać. Doszedł wtedy do wniosku, że nie będzie ich wciągał w rozgrywki między nim i Barbarą, nie mówiąc już o tym, że nie dysponował odpowiednimi środkami, by stawić czoło całej armii adwokatów, wynajętych przez jego byłą żonę.

Wycofał się z uczuciem poniesionej klęski, nigdy jednak nie przestał kochać swoich dzieci. Poddał się pod jednym warunkiem: Barbara miała regularnie przysyłać mu ich zdjęcia, na co niechętnie przystała.

Skutek był taki, że miał teraz u siebie w domu dwoje dzieci, które go nie znały. Dzieci, dla których po śmierci ich matki musiał znaleźć miejsce w swoim życiu.

Więc po co mu ta dodatkowa misja? Dlaczego to właśnie on musi szukać jakiejś nieszczęsnej kobiety, która była na tyle naiwna, że dała się nabrać na listowne kłamstwa?

Nie byłoby go tutaj, gdyby nie krótki list Bena, w którym brat prosił go o tę „ostatnią przysługę”. Shayne musiał przyznać, że było mu trochę żal tej biedaczki i w pewnym stopniu czuł się za nią odpowiedzialny. Może gdyby w przeszłości udało mu się zaszczepić tę cechę Benowi, zamiast patrzeć przez palce na jego wybryki, jego brat nie zachowałby się teraz równie bezmyślnie i okrutnie. Ale Shayne był zaledwie trzy lata starszy od Bena i w wieku lat osiemnastu nie dorósł jeszcze do roli ojca, podobnie zresztą jak teraz, mimo ukończonych trzydziestu czterech lat. Co oczywiście trudno uznać za jakiegokolwiek usprawiedliwienie. Powinien był się po prostu bardziej starać.

Westchnął i z irytacją przeczesał palcami gęstą, czarną czuprynę, a potem rozejrzał się wokoło.

Ludzie mijali go w pośpiechu. Zglądał kobietom w twarze, próbując rozróżnić rysy. Postanowił poświęcić na to pół godziny i ani minuty więcej. Miał znacznie pilniejsze sprawy na głowie niż szukanie jakiejś obcej dziewczyny, której - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - wcale tu nie było.

Prawdę mówiąc, żywił w głębi duszy taką nadzieję. Nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć się z tego, co zaszło.

Sięgnął po fotografię, którą Ben zostawił wraz z listem, spojrzął na nią po raz kolejny, a potem wsunął z powrotem do kieszeni.

Nie przyjechała. Gotów był się o to założyć.

Przedtem miał cichą nadzieję, że kobieta, z którą Ben korespondował, będzie miała na niego korzystny wpływ. Że jego brat wreszcie się usatkuje.

Powinien był od razu wiedzieć, że nic z tego nie będzie.

Bena po prostu nie da się zmienić. Nawet akademia medyczna nie poskromiła jego bujnej natury. Jak więc mógł oczekiwać, że uda się to jakiejś nieznajomej, oddalonej o tysiące mil.

Skoro jednak ta kobieta nic nie znaczyła dla Bena, po co prosił ją o rękę? Co on sobie wyobrażał?

Problem tkwił w tym, że Ben niczego sobie nie wyobrażał. Jak zwykle, dał się ponieść nastrojowi chwili. Ucieczka z Lilą także musiała być efektem takiego chwilowego uniesienia.

Nagły wyjazd brata pozbawił Shayne'a resztek optymizmu. Nie mówiąc już o tym, że zniknął tym samym ostatni bufor ochronny pomiędzy Shayne'em i jego dziećmi. Ben był

jedyną atrakcją w ich życiu, odkąd przywieziono je tu przed dwoma miesiącami. Mak i Sara uwielbiali swojego wujka. Nikt tak jak Ben nie potrafił ich rozśmieszyć i zabawić. Prowadził z nimi również długie pogawędki, natomiast on, ich rodzony ojciec, nie miał pojęcia, o czym z nimi rozmawiać.

Shayne gorzko się uśmiechnął. Kiedy dorastali, to on był tym, na którym można było polegać, natomiast za Benem wszyscy wręcz przepadali. Wprawdzie dawno już się z tym pogodził, ale na dnie jego serca wciąż tkwił jakiś cierni.

A teraz Ben znowu nawarzył piwa, on zaś będzie musiał je wypić. I mógł tylko mieć nadzieję, że po raz ostatni.

Coraz mniej walizek wirowało na obrotowej platformie z bagażem pasażerów. Zamiast zdjąć swoje, Sydney stała obok i patrzyła, jak kręcą się w kółko. Miała przynajmniej jakiś pretekst, by jak najdłużej przebywać w tym pomieszczeniu.

Nie mogła jednak tkwić tam bez końca i gdy pozostały już tylko dwie ostatnie walizki, sięgnęła po nie i postawiła je na podłodze, a potem zaczęła się zastanawiać, co dalej.

Jedynym sensownym wyjściem byłoby zaczekać na Bena - albo na kogoś, kogo wysłał po nią w zastępstwie. Ale Sydney nie należała do osób beczynnych. Nie lubiła czekać. Zawsze wolała być stroną aktywną.

Pomyślała, że pewnie dałoby się wynająć pilota, który poleciałby z nią do Hadesu.

Jednak to niosłoby ze sobą ryzyko, że miną się z Benem. Może jest teraz w drodze na lotnisko? Pomysł, by bawić się w chowanego między Hadesem a Anchorage, wydał jej się raczej bez sensu.

Szkoda, że nie wymyślili z Benem jakiegoś awaryjnego planu, ale teraz już za późno. Poza tym jakoś nie przyszło jej do głowy, że kiedy wysiądzie z samolotu, nie zastanie Bena na lotnisku. Przecież każde zdanie z jego listów utwierdzało ją w przekonaniu, że to człowiek bardzo odpowiedzialny. Choćby ta jego troska o starszego brata, Shayne'a. Ben uważał, że Shayne utracił całą radość życia, a Alaska, zamiast dać mu wolność, stała się jego więzieniem. Pisał, że zaczęło się to dość wcześnie. Shayne wychowywał go od śmierci rodziców, którzy zginęli pod lawiną. Ten tragiczny wypadek zmusił jego starszego brata do przedwczesnej dorosłości. Uczucie, z jakim Ben mówił o swoim bracie, było jednym z powodów, dla których Sydney się w nim zakochała. Jak można nie pokochać człowieka o tak gorącym, wrażliwym sercu?

Po namyśle Sydney uznała, że musiały zajść jakieś nieprzewidziane okoliczności. Klinika zajmowała Benowi wiele czasu, poza tym pracował również jako pilot, dostarczając żywność

i lekarstwa do miejscowości jeszcze bardziej odległych niż Hades. To takie do niego podobne: stawiać potrzeby innych na pierwszym miejscu. Podczas tych krótkich ośmiu miesięcy korespondencyjnej znajomości Sydney nabrała przekonania, że zdażyła poznać doktora Benjaminą Kerrigana lepiej niż kogokolwiek, z kim utrzymywała bezpośrednie kontakty. No, może poza przyjaciółką, Martą, oraz nieżyjącym już ojcem.

Tak czy owak, pora zdecydować się na coś, zanim zapanuje korzenie na tym nieszczęsnym lotnisku. Zarzuciła torbę na ramię, wsunęła torebkę pod pachę, chwyciła walizki i zaczęła się rozglądać za okienkiem z napisem „Informacja”.

- Pani Sydney Elliot?

Serce skoczyło jej do gardła. Omal nie upuściła walizek.

Nareszcie!

Zrobiła w tył zwrot, spodziewając się ujrzeć Bena. No bo kto inny w tym miejscu mógłby znać jej nazwisko?

Uśmiech zamarł jej na ustach. Patrzyła zmieszana na mężczyznę, który wprawdzie przypominał Bena z fotografii, ale zaledwie w jakiś powierzchowny sposób. Stojący przed nią człowiek wyglądał starzej i... jakby pośepnie. Miał też bardziej zdecydowany, kwadratowy podbródek.

Ale największą różnicę dostrzegła w oczach. Nie było w nich cienia radości. Głęboko osadzone, barwy morskiej zieleni, przeszywały ją ponurym, stroskanym spojrzeniem.

Coś było wyraźnie nie tak.

Postawiła walizki i pytająco popatrzyła w te pochmurne oczy.

- Tak, to ja.

Nie była taka ładna jak na fotografii. Była sto razy ładniejsza. Włosy miała złote jak słońce, oczy w kolorze czystego błękitu i ciepłą, miodową karnację.

Shayne po raz kolejny zadał sobie pytanie, co ona tu właściwie robi? Dlaczego zdecydowała się wybrać miejsce, z którego niemal cała młodzież ucieka po ukończeniu osiemnastu lat?

Sydney czuła na sobie jego badawczy, beznamiętny wzrok. Patrzył na nią tak, jakby była jakimś muzealnym eksponatem, a nie żywym człowiekiem.

Coraz bardziej zdeprimowana chrząknęła, po czym zapytała ze sztucznym spokojem:

- Czy to Ben pana przysłał?

Mówiąc to, wpatrywała się w przestrzeń za nieznanym, w nadziei, że nagle zza jego

pleców wyłoni się Ben. Niestety, nigdzie go nie było.

- Tak. - Niech cię diabli, Ben, pomyślał Shayne. To już gruba przesada. Nawet jak na ciebie. Co za idiotyczna sytuacja. Jak ma jej to powiedzieć? Przecież nigdy nie był dobrym mówcą. To raczej Bena los obdarzył darem wymowy. - Nie znałem pani adresu - powiedział szorstko. - Kiedy go wreszcie znalazłem, było już za późno, bo była pani w drodze na Alaskę.

Mrużąc oczy, usiłowała uchwycić sens tej informacji, ale słowa przepływały obok niej, nie docierając do mózgu.

- Nie rozumiem. Po co był panu mój adres? - zapytała. - Kim pan jest?

- Nazywam się Shayne Kerrigan - powiedział. Zawahał się, a potem wyciągnął rękę. - Jestem bratem Bena.

W jednej sekundzie ogarnęły ją najstraszniejsze przeczucia, a przed oczyma zawirowały fragmenty najgorszych scenariuszy.

Ben uciekający z Hadesu psim zaprzęgiem, byle tylko się z nią nie spotkać. Ben zmagający się z jakimś śmiertelnym wirusem. Ben...

Trzeba natychmiast położyć temu kres! Po co te wszystkie spekulacje, skoro źródło informacji stoi o krok od niej? Jedna odpowiedź ukoi jej stargane nerwy.

- Czemu Ben sam tu nie przyjechał? - Podeszła bliżej i zajrzała Shayne'owi w twarz. - Czy coś mu się przydarzyło?

Cholera! - pomyślał Shayne. Co za koszmarna sytuacja!

- Jemu samemu nie, natomiast z przykrością muszę pani powiedzieć, że rzeczywiście coś się wydarzyło.

Powiedział to w taki sposób, że Sydney serce zamarło w piersi. Nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno. Postanowiła zagrać va banque. Położyła Shayne'owi rękę na ramieniu.

- Co? - Musiała to wiedzieć. - Co się stało? Czemu Ben sam mi o tym nie powiedział?

Bo jest tchórzem.

Miał te słowa na końcu języka, ale ich nie wymówił. Taki już był. Lojalny aż po grób. A może po prostu bezgranicznie głupi?

Zirytowany, wzruszył ramionami. W końcu Ben nie jest aż taki zły. Ma tylko w sobie pewną lekkomyślność, która nie pozwala mu przyjąć do wiadomości, że jest dorosłym, odpowiedzialnym człowiekiem. Człowiek dorosły i odpowiedzialny nie oświadcza się jednej kobiecie, by potem uciec z drugą. Człowiek dorosły i odpowiedzialny sam podejmuje decyzje i ponosi ich konsekwencje.

Ale czy Ben kiedykolwiek tak postępował? Nigdy. To Shayne zawsze musiał gasić pożary. Dlatego przyjazd tej nieznajomej, to po części również jego wina. Bo gdyby inaczej

wychował Bena...

Jednak Bena nie można było niczego nauczyć. Był, jaki był...

Shayne znowu spoznał na stojącą przed nim kobietę. Tym razem w jego wzroku błysnął cień współczucia.

- Ben nie mógł przyjechać - powiedział. Język ciążył mu jak z ołowiu. Dlaczego nie może powiedzieć jej wszystkiego wprost?

- Czy coś go zatrzymało?

- Nie. Wyjechał, żeby wziąć ślub.

Sydney uśmiechnęła się do Shayne'a. Ten facet z niej żartuje. Ale ona zna się na żartach.

- Tak, wiem. To przecież ze mną ma się ożenić. Shayne potrząsnął głową.

- Niech pani mnie posłucha... Sam nie wiem, jak to pani powiedzieć, żeby pani nie urazić.

Ben zostawił mi dziś rano list. - Shayne beznamytnym tonem powtórzył jej w skrócie jego treść, jakby informował jednego ze swoich pacjentów, że ma odmrożony nos. - Jego dawna narzeczona wróciła do Hadesu. Krótko mówiąc, dogadali się i postanowili się pobrać. Może nawet są już po ślubie. Ben prosił mnie, żebym to pani przekazał.

Sydney stała jak słup soli, słuchając jego słów.

ROZDZIAŁ 2

Na widok przygnębienia, jakie odmalowało się w oczach Sydney, Shayne'owi zrobiło się przykro. W chwilę potem jej oczy napelniły się łzami.

Chyba nie miała zamiaru się rozplakać? Shayne poczuł bolesny skurcz żołądka i znowu w duchu zaczął przeklinać Bena za jego bezmyślność. Nigdy nie wiedział, jak należy się zachować, kiedy kobiety płaczą. To Ben, a nie on, potrafił sprawić, że znowu się uśmiechały.

W pierwszym odruchu zapragnął obrócić się na pięcie i natychmiast opuścić lotnisko. Niestety nie mógł tego zrobić. Jeden nieodpowiedzialny tchórz w rodzinie to aż nadto.

- Przepraszam - mruknął zmieszany. Nie miał ochoty na jakieś żałosne sceny. Dopiero w chwilę później uświadomił sobie, że to przecież nie on był sprawcą jej łez.

Nie on, tylko Ben!

- Ben nie jest najbardziej odpowiedzialnym facetem, jakiego znam - powiedział.

- Chyba rzeczywiście nie - przyznała Sydney.

Miała wrażenie, że uczestniczy w jakimś koszmarnym śnie, że to nie dzieje się naprawdę. A ona musi czekać, aż się obudzi, i wszystko wróci do normy. Tylko że nic takiego się nie stanie. Nie po tym, co właśnie powiedział Shayne Kerrigan.

Najpierw Ken wyciął jej taki numer, a teraz Ben.

Zamrugnęła oczami, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Dobrze jej tak. Po co znowu się narażała. Czy tamta pierwsza lekcja niczego jej nie nauczyła?

Widocznie nie. No cóż, tym razem dostała naprawdę solidną nauczkę.

Niech cię diabli, Ben, myślał Shayne. Czemu zawsze muszę odwalać za ciebie brudną robotę? Czy nie ma w tobie za grosz przyzwoitości?

Pogrzebał w kieszeni kurtki, wyjął chusteczkę i podał ją Sydney. Jej blade uśmiech sprawił, że serce zaczęło mu bić podejrzenie szybko. Może zaraził się grypą od Ralpa Teagera, którego leczył w zeszłym tygodniu? Nie widział innego wytłumaczenia tej dziwnej reakcji swojego organizmu.

Rozejrzał się wokoło. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Wolał, żeby tak zostało. Znowu zwrócił wzrok na stojącą przed nim kobietę.

Była blada, lecz opanowana. Nie to co Lila, ukochana Bena. Swój ciągnie do swego, pomyślał. Dlatego Ben i Lila zeszli się w końcu. Oboje chcieli tylko jednego - czerpać pełnymi garściami z życia, nie bacząc na konsekwencje. Co będzie, kiedy przytrafią im się dzieci? O ile w ogóle zostaną ze sobą na tyle długo, żeby mieć dzieci.

A panna Elliot? Czy można traktować ją poważnie? Co za pomysł, żeby decydować się na ślub z człowiekiem, którego nigdy w życiu nie widziała? Nie świadczy to dobrze o jej zdrowym rozsądku.

A niech to! Ona zaraz się rozplacze. Poczł się zupełnie bezradny.

W jej oczach już połyskiwały łzy. Widział, jak bardzo stara się nad nimi zapanować, i poczuł coś w rodzaju podziwu. Jego była żona Barbara potrafiła tylko załamywać ręce. Shayne zawsze podziwiał tych, którzy próbowali walczyć.

W jednej chwili porzucona narzeczona Bena znacznie zyskała w jego oczach. Nie zasłużyła sobie na to, żeby się znaleźć w tak upokarzającej sytuacji.

Po namyśle wsunął ręce pod kurtkę i wyjął z kieszeni zniszczony portfel.

- Niech pani kupi sobie bilet do... - Urwał, czekając, by podała mu nazwę miejsca, do którego chciałaby wrócić. Wiedział o niej tylko tyle, że przyleciała z jednego z odległych stanów.

- Do Omaha, w stanie Nebraska. - Mówiąc to, Sydney miała wrażenie, że jej rodzinne miasto leży tysiące mil stąd. Wyjeżdżając zostawiła za sobą wszystko, nie tylko w sensie fizycznym.

- Do Omaha - powtórzył Shayne.

To przecież miłe, zdrowe miejsce. Ta kobieta powinna była mieć na tyle zdrowego rozsądku, żeby pozostać tam, skąd przybyła - w samym sercu Stanów. Pomyślał o rdzennych mieszkańcach Nebraski, którzy zazwyczaj mocno stali nogami na ziemi. Któryś z jej ziomków powinien był przemówić tej kobiecie do rozumu.

Zajrzał do portfela i z zażenowaniem uświadomił sobie, że nie wystarczy mu pieniędzy na jej bilet. Z westchnieniem rezygnacji wyjął lekko pognieciony, beżowy kwit - czek in blanco, który trzymał na wypadek awaryjnych sytuacji. Rozprostowując go, pomyślał, że już od dawna powinien był wiedzieć, że będzie musiał go użyć, by rozwikłać jakieś problemy Bena.

Teraz, patrząc na kolejny „problem Bena”, znowu zadał sobie pytanie, czy naprawdę ta osoba nie miała nikogo, kto by jej wyperswadował tę idiotyczną wyprawę do tak odległego miejsca. Przecież równie dobrze mogłaby polecieć na Księżyc.

- Pozwoli pani, że kupię pani bilet powrotny do Omaha - zaproponował. - A potem proszę zapomnieć o tej nieprzyjemnej sprawie.

Już miał ruszyć w kierunku kas, ale zobaczył, że korespondencyjna narzeczona Bena wcale nie ma zamiaru z nim iść. Spojrzał na nią i unióśł pytająco brwi. Co to ma znaczyć?

- Nie idzie pani? - zapytał, tłumiąc irytację. Już i tak stracił dość dużo cennego czasu.

To była naprawdę kusząca propozycja. Rzucić to w diabły i wrócić na stare śmieci. Ale mimo iż czekała tam na Sydney jej najlepsza przyjaciółka, stare śmieci już jej nie wystarczały. Chciała zacząć wszystko od nowa, w nowym miejscu. Miała dość Omaha.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Shayne zamrugął oczami, przekonany, że ją źle zrozumiał.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

Wzięła głęboki oddech. Tym razem poszło jej znacznie łatwiej.

- Powiedziałam „nie”.

Shayne pomyślał, że pewnie mu nie dowierza. Zresztą po tym, co przeżyła, trudno było mieć o to do niej pretensję. Spojrzał na nią.

- Może mnie pani nie rozumiała. - Wyciągnął rękę z czepkiem. - Chciałbym zapłacić za pani powrotną podróż. To wprawdzie mało, ale niech mi pani pozwoli zrobić choć tyle w tej sytuacji.

To również bardzo dużo, bo pieniędzy nigdy nie miał w nadmiarze. Wystarczało mu na godziwe życie, ale już nie na luksusy. A czymże było fundowanie biletu lotniczego jakiejś obcej kobiecie, jak nie luksusem?

Poczuła się wzruszona. Podeszła bliżej i dotknęła jego ręki, trzymającej czek.

- To bardzo wielkoduszny gest, ale ja nie mogę wracać.

Nie miał czasu na zbędne dyskusje. Obiecał, że będzie w klinice o trzeciej. Odsunął jej dłoń i zaczął się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Jeżeli wstydzi się pani wracać do domu, do przyjaciół, to zapewniam panią, że nie jest pani odosobnionym przypadkiem. Takie rzeczy się zdarzają. - Prawdę mówiąc, nikomu z jego znajomych nie przytrafiło się nic równie przykrego. Ale gdzieś tam, na świecie, na pewno było więcej nieodpowiedzialnych typów. Ben nie mógł przecież być jedynym draniem, który wystawił do wiatru swoją narzeczoną.

- Owszem, wstydzę się. I to bardziej, niż pan myśli - mruknęła Sydney. - Ale pan nic nie rozumie. Rzuciłam pracę, zrezygnowałam z mieszkania i spakowałam wszystko, żeby tu przyjechać. Myślałam, że zacznę wszystko od nowa.

- Rozumiem panią, ale...

- I rzeczywiście zamierzam rozpocząć tu nowe życie - powiedziała podniesionym głosem.

Ogarnęła go rozpacz. Ile razy ma jej powtarzać to samo?

- Czy pani mnie słyszy? Ben wyjechał. Uciekł z kimś, ale tym kimś nie była pani.

Jego słowa boleśnie ją ugodziły, jednak starała się tego nie okazywać.

- Słyszę. Naprawdę zamierzam rozpocząć nowe życie - powtórzyła ze spokojem, który bardzo wiele ją kosztował.

Czym zasłużyła sobie na taki los? Dwóch inteligentnych, czarujących mężczyzn ofiarowało jej pierścionek w zamian za serce, by ją potem bez skrępowań porzucić. W czym zawiniła... ?

Od dziś będzie się trzymać wyłącznie tego, na czym zna się najlepiej. Zajmie się dziećmi. Rozumie je i wie, czego im potrzeba. Ma intuicję, która nigdy nie zawiodła jej, gdy w grę wchodziło dziecko. Choć przecież dwukrotnie zawiodła ją w innych sprawach.

Pomyślała, że nigdy nie zrozumie mężczyzn.

- A o jakim życiu pani myśli? - zapytał Shayne.

Pewnie uznał, że postradała zmysły. Nie rozumiał, jak bardzo potrzebuje tego nowego początku. Zresztą czy mogła mieć o to do niego pretensje? Był mężczyzną, a mężczyźni nie mają problemów, tylko stwarzają je innym.

Wyprostowała się. Za Shayne'em znajdowało się duże weneckie okno. Za oknem rozpościerała się baśniowa kraina śniegu, słońce odbijało się od wyzłoconych wierzchołków gór. Kraina jej marzeń.

- Alaska to piękny stan. Gdzieś musi się znaleźć dla mnie jakieś miejsce.

- O tak, jest tu dużo pięknych miejsc - przyznał - ale w większości z nich można zamarznąć na śmierć. - Popatrzył na Sydney. Wydawała się taka delikatna i krucha. Raczej nie nadawała się do życia na Alasce. - Niech mnie pani posłucha. Nie każdy może tutaj wytrzymać.

Nie uda mu się sprawić, by zmieniła zdanie. Nie zwykła zmieniać raz podjętych decyzji.

- Nie ma o czym mówić. Już tu jestem. A moje rzeczy są w drodze do Hadesu. - Wóz bagażowy wyjechał dzień przed nią. Ostatnią noc w Omaha spędziła na kanapie u Marty, licząc minuty dzielące ją od wyjazdu.

- Mogę odesłać je z powrotem, kiedy tu dotrą.

Firmie transportowej niewątpliwie bardzo by się to podobało. Podróż tam i z powrotem na Alaskę z jej bagażami. Zacisnęła usta.

- Przecież już powiedziałam, że zostaję.

- Proszę pani, Alaska może jest wielka, ale nie ma tu zbyt wielu miejsc, w których mogłaby zamieszkać samotna kobieta. Zwłaszcza w małym miasteczku.

Ben opisywał jej Hades, ale widocznie nie napisał wszystkiego.

- Nie ma tu żadnych hoteli?

Shayne parsknął śmiechem. Hades był bardziej osadą niż miasteczkiem. Budowa hotelu nie należała tu do priorytetowych inwestycji. Owszem, w Salty Saloon było kilka gościnnych pokoi, ale nie poleciłby ich nigdy przyzwoitej kobiecie.

- Nie ma, bo w Hades nie ma żadnych atrakcji turystycznych.

Sydney nie zamierzała się poddać.

- No dobrze - powiedziała po namyśle. - A mieszkanie Bena? Przecież podobno wyjechał.

- Zadowolona z siebie sięgnęła po bagaże. - Mogłabym się w nim zatrzymać, zanim się tu urządzę.

I zanim odzyskasz rozum, kobieto, pomyślał Shayne. Odebrał jej walizki i znowu postawił je na ziemi.

- Ben nie ma żadnego mieszkania. On mieszka... mieszkał u mnie.

- Rozumiem. - Sydney umilkła, próbując zebrać myśli. Miała wrażenie, że piętrzą się przed nią same przeszkody.

Kiedy tak stała w milczeniu, Shayne mierzył ją badawczym wzrokiem. Coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że poczuł nagły przypływ zyczliwości.

- Pani jest absolutnie zdecydowana, żeby się tu osiedlić?

- Tak - odparła. - Nie mam już nic do stracenia. - Wzruszyła ramionami. - Kto wie? Może mimo wszystko uda mi się zacząć tu nowe życie.

Odważna kobieta, pomyślał. Głupia, ale odważna.

A potem szybko powiedział coś, nad czym nie chciał się zastanawiać, bo gdyby się zastanowił, nigdy by się na coś takiego nie odważył.

- Może się pani zatrzymać u mnie.

Sydney miała nadzieję, że Shayne powie coś takiego. Ale kiedy już to zrobił, poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie chciałabym nadużywać pańskiej uprzejmości. Chwycił walizki i spojrzał na nią z gniewem. Co za nieznośna osoba. I po co mu to wszystko?

- Czy znowu chce się pani ze mną kłócić? Wcale nie chciała, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie, ale...

Ciągle to „ale”. Shayne poczuł, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

- Proszę pani...

- Sydney - przerwała mu, zbijając go z pantafyku.

Sydney, pomyślał z pogardą. Też mi imię dla kobiety. Przecież to męskie imię. Albo nazwa miasta. Jak kobieta o złotych włosach i błękitnych oczach może tak się nazywać?

- No więc, Sydney - powtórzył po chwili - jeżeli chcesz zostać w Hadesie, nie masz zbyt wielkiego wyboru. - Zacisnął palce na uchwytach walizek. - Albo możesz zamieszkać u kogoś, kto ustąpi ci miejsca, albo wybudować sobie igloo w środku miasta.

Patrzyła na niego przez chwilę, próbując odgadnąć, co oznacza jego surowa mina.

- Mówiłeś, że mogę się zatrzymać u ciebie...

- Mam wolny pokój - powiedział. - Dawny pokój Bena - dorzucił, żeby sobie nie wyobrażała, że robi dla niej coś szczególnego. - No więc, jaka jest twoja decyzja? Jedziesz ze mną czy wracasz do Omaha? - Tam, gdzie twoje miejsce, dodał w myślach.

- Nie mam zwyczaju się cofać - powiedziała. Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, gotowa stawić czoło nowej rzeczywistości.

Shayne podążał za nią i już żałował swojej pochopnej decyzji.

Nie musieli iść daleko. Awionetka Shayne'a stała na placu przed budynkiem lotniska.

Sydney z trudem brnęła przez głęboki śnieg. Kiedy podeszli bliżej do samolotu, który w porównaniu z otaczającymi go maszynami wydawał się bardzo mały, Sydney zobaczyła, że miniaturowa cessna jest już bardzo wysłużona. Jej wnętrze mogło pomieścić najwyżej cztery osoby, a może i nie.

Mimowolnie przyszło jej na myśl pytanie, czy bezpiecznie jest latać takim starym samolotem.

Zerknęła spod oka na Shayne'a, który stał za nią i upychał jej bagaże pod tylne fotele.

- Ładny samolot.

- W każdym razie dostarcza mnie tam, gdzie chcę się dostać - mruknął, nie patrząc na nią.

Prawdę mówiąc, bywały takie okresy w jego życiu, kiedy wcale nie był tego taki pewien. Gdy nie zajmował się pacjentami, większość czasu spędzał latając starą maszynę, tak by wytrzymała jeszcze trochę, póki nie uda mu się odłożyć dość pieniędzy na nową.

- Mam ją na spółkę z Benem - powiedział, a w jego głosie dała się słyszeć nuta dumy. On i jego cessa tyle już razem przeszli, że myślał o niej jak o żywej istocie. - Chyba powinienem być mu wdzięczny, że nie zabrał jej, kiedy stąd wyjeżdżał.

Sydney sądziła dotąd, że do Hadesu można dotrzeć jedynie samolotem.

- No to jak ... - zaczęła.

- Och - przerwał jej Shayne - jest tyle sposobów, kiedy się naprawdę chce opuścić Hades.

Przewidział to pytanie. Podejrzewał, że Ben i Lila skorzystali z pomocy Jima Kellogga, właściciela domu towarowego, który, jako jedyny w najbliższej okolicy - oczywiście prócz nich - miał własny samolot.

Wyprostował się, objął Sydney w talii i pomógł jej ułożyć się na fotelu pasażerskim. Była taka drobna, znacznie drobniejsza, niż przypuszczał. Odkrycie to sprawiło, że zgubił wątek myśli.

Pochylił się nad nią i sięgnął po pas, ale nagle zatrzymał się. Im mniejszy kontakt fizyczny, tym lepiej, pomyślał.

- Zapnij pasy - burknął. - Ostrzegam, że to nie będzie normalny lot.

Już po kilku minutach Sydney była skłonna przyznać mu rację. To nie był normalny lot. Silnik był przeraźliwie, cessa rzucało w powietrzu, a ona sama miała wrażenie, że jest w wesołym miasteczku na jakiejś upiornej, rozklekotanej karuzeli.

Shayne zerknął w bok i zobaczył, że Sydney kurczowo uczepliła się oparcia fotela. Miała rękawiczki, ale gotów był się założyć, że kostki jej palców pod nimi były białe. Sam latał tak często swoją awionetką, że zdążył się już przyzwyczaić do jej kaprysów.

Na szczęście Sydney ani nie płakała, ani nie jęczała, co zauważył z pewnym podziwem. Barbara, kiedy zabrał ją na pierwszy i ostatni wspólny lot, krzyczała wniebogłosy ze strachu. A przecież wtedy cessa była jeszcze zupełnie nowa. Przynajmniej nowa dla niego, jej kolejnego właściciela. Barbara była śmiertelnie przerażona tym niezwykłym doświadczeniem i jeszcze bardziej przerażona odkryciem, że można wydać oszczędności całego życia na kupno starego samolotu. Jako córka zamożnego chirurga pracującego w renomowanej nowojorskiej klinice, wychowywała się w luksusowych warunkach i takiego

samego życia oczekiwała w małżeństwie z młodym, obiecującym lekarzem.

Shayne miał świadomość, że zawiódł ją na wielu frontach podczas czterech lat ich związku. Ale największy zawód sprawił jej swoją decyzją, by wrócić w rodzinne strony i podjąć tam praktykę. Barbara od początku była przeciwna przeprowadzce, lecz w końcu zdołał ją jakoś przekonać, że powinna bodaj spróbować.

Kłótnie na ten temat trwały w sumie dłużej niż sam jej pobyt na Alasce. W niecałe pół roku po tym, jak przyleciała do Hadesu, trzymając za rączkę małego Maka i z niemowlęciem przy piersi, znowu wsiadła na pokład samolotu, by udać się w odwrotnym kierunku. I nie był to byle jaki samolot, ale prywatny learjet, należący do jej przyjaciół. Barbara zawsze miała styl.

Albo tak jej się wydawało.

Siedząca obok niego kobieta nie miała takiego stylu, miała za to znacznie więcej odwagi oraz klasę. Shayne zauważył, że odkąd wystartowali, Sydney odrzucała wszelkie próby nawiązania rozmowy. Raz jeszcze przyjrzał się jej uważnie i odkrył, że jest blada jak kreda.

- Wszystko w porządku? - zapytał szorstkim tonem.

Sydney pomyślała, że jego pacjenci na pewno nie przychodzą do niego dla jego dobrych manier. Kiedy mówił do niej, nie odwróciła ku niemu głowy, patrzyła wprost przed siebie. Miała wrażenie, że jeśli zwróci wzrok w inną stronę, maszyna runie, grzebiąc ich w swoim wraku.

Tego samego uczucia doświadczała, kiedy uczyła się prowadzić samochód. Jazdy próbne odbywała ze wzrokiem wbitym w jezdnię, jakieś trzy metry przed maską. Co za szczęście, że to nie ona musi teraz prowadzić ten samolot!

- W porządku - odparła szeptem.

Omali nie uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź. On także był zdenerwowany, kiedy po raz pierwszy wzbił się w powietrze. Zdenerwowany i zarazem podniecony. Uwielbiał uczucie wolności, którego doznawał, ilekroć bujał w przestworzach.

- To musi trochę potrwać, zanim się człowiek przyzwyczai. Ostrożnie skinęła głową.

- Pewnie tak.

Pomyślał, że mimo rękawic musi mieć lodowate ręce, więc położył dłoń na jej drobnej dłoni, by ją rozgrzać.

- Możesz śmiało oddychać. W kabinie jest tlen.

Sydney poczuła się głupio. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że przez cały czas starała się wstrzymywać oddech. Powoli wypuściła powietrze z płuc. Przestała też

kurczowo ścisnąć oparcie fotela.

Rumieniec wstydu wystąpił jej na policzki. Ten facet musiał uważać ją za jakąś nieszczęsną idiotkę.

- Nigdy nie leciałam takim małym samolotem - powiedziała z nadzieją, że jej głos nie drży. - A tak naprawdę, lot na Alaskę był moim pierwszym lotem w życiu.

Shayne spojrzął na nią spod oka. Dotąd wydawało mu się, że w obecnych czasach trudno znaleźć kogoś poniżej siedemdziesiątki, kto nigdy nie leciał samolotem.

- Czemu? Dlatego, że w Omaha jest tyle atrakcji?

Nie miało to nic wspólnego z żadnymi atrakcjami. Sydney uśmiechnęła się blado.

- Nie. Dlatego, że w Omaha byłam bardzo zajęta.

- A teraz już nie jesteś?

Spojrzała w prawo. Po błękitnym niebie sunęła chmurka, składająca się jakby z kłębków waty, zrobionych rączkami dzieci. Nagle uświadomiła sobie, że już tęskni za swoimi uczniami. I to bardzo. Z jej piersi wyrwało się mimowolne westchnienie.

- Raczej nie.

- Trzeba było zacząć od krótszej podróży. - Shayne pomyślał, że świadczy to o wielkiej odwadze, jeśli osoba, która nigdy w życiu nie leciała samolotem, decyduje się na przelot aż na Alaskę. - Na przykład przelecieć się do Denver.

Miał rację, ale dawniej nie miała ochoty na żadne podróże. Dopiero po tym, jak Ken ją porzucił, ponad rok temu, poczuła potrzebę ucieczki w jakieś miejsce, gdzie mogłaby zacząć wszystko od nowa. Ben dał jej tę szansę. Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Alaska oferuje duże możliwości. - Spojrzała w dół, próbując wyobrazić sobie ludzi, którzy obrali tę krainę na swój dom.

- Wszystko wydaje się takie świeże.

- To dlatego, że wszystko jest tu mrożone.

Ta rzucona od niechcienia uwaga rozśmieszyła Sydney, a jej perlisty śmiech przywołał jakieś miłe dla Shayne'a skojarzenia.

Niestety obecna sytuacja daleka była od jakichkolwiek miłych skojarzeń.

- Po tym, co mi powiedziałaś na lotnisku, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek potrafię się śmiać - odezwała się Sydney. - Dziękuję.

- To wcale nie miał być żart.

Wypowiedziane szorstkim tonem zdanie sprawiło, że Sydney zaczęła się zastanawiać, czy Shayne nie ma przypadkiem jakichś problemów z zaakceptowaniem jej wdzięczności. Był taki inny niż Ben - a przynajmniej ten Ben, którego poznała za pośrednictwem listów.

Odniosła jednak wrażenie, że Shayne Kerrigan jest całkiem miłym i dobrym człowiekiem. Może po prostu nie lubi być w centrum uwagi.

Obdarzyła ciepłym uśmiechem jego profil.

- Mimo to dziękuję.

Nie odpowiedział - udał, że jej nie słyszy.

ROZDZIAŁ 3

W jakim stopniu to, co pisał Ben, jest prawdą? - zapytała Sydney, przerywając dłuższy okres ciszy, zakłócaney jedynie monotonnym warkotem silnika.

Shayne nie od razu pojął sens jej pytania. Czuł się jak człowiek, który za chwilę będzie musiał przejść przez pole minowe. Sytuacja naprawdę nie do pozazdroszczenia. Ostatnio los nie szczędził mu takich przykrych niespodzianek, ale tamte były raczej nieuniknione. A tego akurat przypadku mógł spokojnie uniknąć.

Lista przysług, jakie wyrządził bratu, wydłużyła się o kolejną pozycję.

Spojrzał na swoją towarzyszkę. Kto w dzisiejszych czasach decyduje się na krok tak absurdalny, jak korespondencyjne zaręczyny? Całe szczęście przynajmniej, że nie płakała.

- Nie wiem, co on ci pisał.

Próbując zebrać myśli, Sydney zapatrzyła się w małe okienko. Pod nimi ciągnęły się nieskończone białe przestrzenie, upstrzone gdzieś tam plamami żywej zieleni. Przyszły jej na myśl święta Bożego Narodzenia, mimo iż do Gwiazdki brakowało jeszcze dwóch miesięcy.

- Że obaj urodziliście się na Alasce, że jesteście lekarzami i że kiedy nie prowadził kliniki, zajmował się transportem leków...

- Ben nie prowadził kliniki - uciął jej wyliczankę Shayne. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Ben nigdy nie był w stanie powiedzieć prawdy, dlaczego zawsze musiał upiększać rzeczywistość lub dramatyzować. - Klinika należy do mnie - powiedział bezdźwięcznym głosem. To przecież on sam zbudował ją za swoje pieniądze i w dużej mierze własnymi rękami. - Udział Bena polega na... na... - Urwał i zaczął się zastanawiać, czy brat w ogóle ma zamiar wrócić do Hadesu, bo w pożegnalnym liście nie było na ten temat ani słowa. Znalazło się za to wiele słów o szczęściu, jakiego zamierzali zaznać wraz z Lila.

Milczał przez chwilę.

- Ben miał część etatu w klinice - powiedział w końcu. - A samolot prowadził bardziej dla przyjemności niż po to, żeby gdziekolwiek dostarczać leki. - Mówiąc to, uświadomił sobie, że w jego tonie mimowolnie pobrzmiwa gorycz. - Nie zrozum mnie źle - dodał szybko. - W ciężkich sytuacjach zawsze był przy mnie.

- A kiedy nie było ci ciężko? - zapytała. Musiała się dowiedzieć, jak bardzo dała się nabrać bratu tego człowieka. Chciała usłyszeć na własne uszy, do jakiego stopnia pozwoliła się ogłupić.

Shayne wzruszył ramionami.

- Wtedy przebywał gdzie indziej. - A tak, niestety, bywało przez większość czasu.

Sydney pomyślała, że w swoich listach Ben przedstawiał jej się jako mężczyzna o rozległych zainteresowaniach. Uważała go niemal za człowieka Renesansu. Teraz jego obraz zaczął ulegać gwałtownej metamorfozie. Jej niedoszły mąż okazał się człowiekiem, który chciał czerpać z życia same przyjemności, a lwią część obowiązków zrzucił na barki brata.

- Więc bywał lekarzem tylko od przypadku do przypadku? - zapytała.

Tak właśnie było, ale powodowany lojalnością Shayne nie potwierdził tego przypuszczenia.

- Myślę, że tak naprawdę Ben nigdy nie chciał być lekarzem - powiedział. - Chyba został nim wyłącznie po to, żeby mi zrobić przyjemność. - Sprawiając tym samym, że Shayne czuł się jeszcze bardziej odpowiedzialny za wszystkie jego błędy. - I rzeczywiście cieszyło mnie, że wybrał zawód lekarza.

Przypomniał sobie, z jaką dumą powitał brata, gdy ten powrócił do domu z dyplomem. A było to zaledwie przed rokiem. Wydawało mu się wtedy, że Ben nareszcie dojrzał, a on, mając go przy boku, już nigdy więcej nie będzie samotny. Podzielił się praktyką i wspólnie zrobią wiele dobrego. Niestety szybko zrozumiał, że z jego strony były to tylko pobożne życzenia.

Westchnął głęboko.

- Byłem szczęśliwy aż do chwili, kiedy odkryłem, że Ben nie ma serca do tej pracy.

Sydney zacisnęła usta.

- Myślę, że on nie miał serca do wielu rzeczy, za które się brał - mruknęła bardziej do siebie niż do Shayne'a. - I nie zamierzał spełniać obietnic.

Shayne nagle uświadomił sobie, że szczerze współczuje tej miłej dziewczynie. Dobrze wiedział, jak to jest zostać porzuconym. Sam doświadczył uczucia rozpacz tak wielkiej i beznadziejnej, że aż paraliżującej.

Kiedy Barbara wyjeżdżała - mimo iż wcześniej znał jej zamiary - przeżywał prawdziwe piekło. Nie znalazł w sobie dość siły, by pogodzić się z prawdą, że tak mało znaczył dla własnej żony.

Wcisnął dźwęk i spojrzął na strzałkę wysokościomierza.

- Przejdzie ci - mruknął.

Sydney poczuła, że pod powiekami znowu wzbierają jej łzy. Nie będzie płakać. Nie, póki nie znajdzie się sama. Siedzący obok niej mężczyzna był wprawdzie szorstki, ale na pewno miał dobre serce i nie zasługiwał na to, by być zmuszonym do oglądania cudzych łez.

Wzięła głęboki oddech i dopiero wtedy odważyła się na niego spojrzeć.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Shayne nigdy nie był rozmowny. Nie potrafił też zrećźnie ubierać w słowa swoich myśli. Ale ta kobieta cierpiała, a on był przecież lekarzem i jego obowiązkiem było ulżyć jej cierpieniom. Choćby nawet te cierpienia nie mieściły się w definicjach figurujących w podręcznikach lekarskich.

- To okropne uczucie, jakby ktoś kopnął cię w żołądek... ale wkrótce przejdzie - powiedział.

Wiedziała już, że nie przyszło mu to łatwo.

- Mówisz jako lekarz?

Shayne spojrział na chmury. Pogoda była wręcz idealna na lotnicze wyprawy.

- Nie, to moje prywatne zdanie - odparł.

Czy to znaczy, że ktoś go kiedyś skrzywdził? Chciałaby to wiedzieć, ale czuła, że nie powinna o nic pytać. Dał jej przecież jednoznacznie do zrozumienia, że uważa ten temat za zamknięty.

Maszyna zaczęła podchodzić do lądowania. Wąskie lądowisko znajdowało się tuż przed nimi, w pobliżu domu Shayne'a.

- Czym zajmowałaś się przed przyjazdem na Alaskę? - zapytał.

- Byłam nauczycielką. - Mówiąc to, poczuła, że odzyskuje swoją tożsamość. Właśnie jej praca łączyła ją ze światem, a także te młode umysły, na które próbowała wpłynąć. Nagle uświadomiła sobie, ile to dla niej znaczy.

- Nie mamy szkoły - powiedział Shayne. Zresztą do niedawna nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Teraz jednak tyle spraw bez znaczenia nabrało nagle wielkiej wagi. Na przykład stał się odpowiedzialny za dwójkę dzieci. I była to tego rodzaju odpowiedzialność, która nie kończy się w momencie wypisania recepty, lecz trwa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I przez całe życie.

Co za męczące uczucie!

- Najbliższa szkoła jest w Snowshoe - przypomniał sobie. - Jakies pół godziny drogi z Hadesu. W prostej linii - dorzucił, ale ani słowem nie wspominał, że w zimie trzeba często nakładać drogi.

Pomyślała, że warto byłoby się tym zainteresować. Może następnego dnia, kiedy trochę dojdzie do siebie, spróbuje wynająć kogoś, kto by ją tam zawiózł.

- Nie wiesz, czy nie potrzebują jeszcze jednej nauczycielki?

- Nie wiem - mruknął i pomyślał, że powinna była raczej zwrócić się z tymi pytaniami do Bena.

Na temat szkoły w Snowshoe wiedział niewiele ponad to, że w ogóle istnieje. Naukę swoich dzieci powierzył jak na razie żonie właściciela domu towarowego, która całkiem nieźle wywiązywała się z tego obowiązku. Shirley Kellogg ukończyła przed laty korespondencyjny kurs nauczania w domu i zajmowała się wcześniej edukacją własnej siódemki. Teraz, kiedy jej gromadka już dorosła, uczyła dzieci z sąsiedztwa. On sam także rozpoczynał naukę w podobny sposób, w chatce z drewnianych bali, bardzo starej nawet jak na warunki Hadesu. W tamtych czasach jego nauczycielką była panna Faye.

Pomyślał, że w najbliższej przyszłości będzie musiał zainteresować się szkołą w Snowshoe. Domowa edukacja Shirley Kellogg może wkrótce okazać się niewystarczająca dla Maka i Sary. Przecież on i jego brat także musieli wyjechać z Hadesu do szkoły w Shelbyville, które w tamtych czasach przeżywało swój rozkwit. Niestety obecnie miasto zupełnie podupadło.

- Co planowałaś robić po ślubie z moim bratem? - zapytał i zbyt późno ugryzł się w język.

- Przepraszam - mruknął. - Wcale nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Kiepski ze mnie rozmówca. Nie to co Ben.

- Nie ma o czym mówić.

Sydney pomyślała o długich listach, w których Ben snuł wspaniałe plany na przyszłość. Pisał jej, jak to będzie cudownie, kiedy będą mogli pracować ramię w ramię. Czytając jego wyznania, nie sposób było podejrzewać, że wszystko to tylko kłamstwa. Może zresztą było w nich jakieś źdźbło prawdy. Może gdyby jego dawna ukochana nie pojawiła się nagle, Ben czekałby na nią na lotnisku w Anchorage? Może jednak rozpoczęliby wspólne życie?

Ale po co się dręczyć i gdybać. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy i spróbować inaczej ułożyć sobie przyszłość.

Spojrzała na Shayne'a i przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Może jednak mogłaby mu się w jakiś sposób przydać?

- Ben pisał, że pracowałabym w klinice.

To jakaś nowość. Shayne usłyszał o tym po raz pierwszy w życiu.

- Ach tak? - mruknął. Ciekawe, kiedy Ben wpadł na ten pomysł? Ale on sam nie był też zachwycony, kiedy Ben poinformował go, że zamierza ożenić się ze swoją korespondencyjną

znajomą. Próbował mu to nawet wyperswadować. Może dlatego Ben nic mu nie wspomniał o swoim pomysłe, tylko wolał zaczekać, aż jego narzeczona się zjawi.

Teraz to już oczywiście bez znaczenia. Ben uciekł z inną kobietą, a jego niedoszła żona też pewnie wkrótce opuści Hades, przerażona długą i ciężką zimą.

Ton jego głosu zaniepokoił Sydney. Przecież nie zamierzała prosić go o wsparcie. Pytając o możliwość pracy w klinice, miała ku temu konkretne podstawy.

- Ukończyłam kursy medyczne - powiedziała. - Kiedyś chciałam nawet studiować medycynę.

Była to jedna z rzeczy, które zbliżyły ją do Bena. W swoim artykule Ben opisywał, jak to jest być jedynym lekarzem w promieniu wielu mil. Pomyślała wtedy, że to bardzo heroiczna misja, a on pisze o sobie z niezwykłą skromnością. Wtedy właśnie zakochała się w jego wizerunku, który sama sobie stworzyła.

Powinna była wiedzieć, że nie ma ideałów.

- Czemu zmieniłaś zdanie? - zapytał Shayne.

Nagle samolotem zaczęło rzucać. Sydney znowu zacisnęła dłonie na oparciach fotela. Miała trudności z oddychaniem. Jej rozdygotane nerwy zdawały się współwibrować z lądującą maszyną. Pomyślała, że nie chciałaby przeżywać czegoś podobnego po raz drugi, i spróbowała skoncentrować się na pytaniu Shayne'a.

- Ojciec ciężko zachorował, więc pieniądze przeznaczone na moje studia medyczne poszły na jego leczenie. W tej sytuacji zawód nauczycielki wydał mi się najlepszym kompromisem.

- Nie widzę żadnego związku między tymi dwoma zawodami - odezwał się Shayne, wciskając dźwignię lądowania.

- Chciałam zostać pediatrą - powiedziała z nadzieją, że Shayne nie zauważy, jak bardzo jest przerażona. - Uwielbiam pracować z dziećmi.

Shayne parsknął cichym śmiechem.

- Masz więcej odwagi niż ja, Gunga Din - roześmiał się, odwracając tym samym jej uwagę od lądowania, którego tak bardzo się bała.

- Kipling?

Shayne wzruszył ramionami.

- Nocą nie ma tu zbyt wielu atrakcji poza lekturą.

- A co wspólnego z dziećmi ma odwaga? - zapytała i pomyślała, że to raczej on jest odważny, skoro regularnie lata tą rozlatującą się cessną.

Shayne pomyślał o swoich dzieciach - dwóch niemal zupełnie obcych mu istotach, które będzie musiał poznać, zanim spróbuje je zrozumieć. Jak na razie, każda próba kontaktu oka-

zywała się chybiona.

- One są takie trudne - westchnął.

Czy jej się zdawało, czy samolot jakby się uspokoił?

- Nie bardziej niż dorośli - powiedziała.

- Ale ja nie potrafię rozmawiać z dziećmi - wyznał Shayne.

Sydney nigdy nie przyszło do głowy, że można z nimi rozmawiać inaczej niż z dorosłymi. Przywykła traktować wszystkich w ten sam sposób - z życzliwą szczerością. Pewnie na tym polegał jej błąd.

- Rozmawiaj z nimi dokładnie tak jak z dorosłymi ludźmi - poradziła mu, patrząc ze strachem na szybko zbliżającą się ziemię. - Może cię to zdziwi, ale dzieci są o wiele bardziej inteligentne, niż sądzimy. - Słowa zamarły jej na ustach. W oczekiwaniu na moment lądowania zacisnęła pięści. - Cała rzecz w tym, żeby sobie przypomnieć, co się czuło, będąc w ich wieku.

Shayne zawsze miał wrażenie, że urodził się już stary. Dzieciństwo, o ile w ogóle kiedykolwiek je miał, wydawało mu się odległe o całe wieki.

- Nie pamiętam siebie w ich wieku.

- Szkoda - westchnęła ze współczuciem.

- Skoro tak uważasz ... - burknął Shayne. Nie lubił, kiedy okazywano mu współczucie.

W tym samym momencie koła podwozia dotknęły ziemi.

Sydney poczuła bolesny wstrząs - jak wtedy, gdy wiertło dentysty trafia na żywy nerw. Kiedy odzyskała oddech, spojrzała ze zdumieniem na Shayne'a. Wydawał się zupełnie nieporuszony.

- Zawsze lądujesz w taki sposób?

- Nie. - Wcisnął guzik i rozpiął pasy. - To było wyjątkowo miękkie lądowanie.

W pierwszej chwili myślała, że żartuje. Ale jego twarz była poważna.

- Może powinieneś mieć większy samolot?

Shayne wyskoczył na zewnątrz i podszedł do drzwi od strony pasażera.

- Mam taki zamiar. Kupię sobie coś większego, jak tylko będzie mnie na to stać. - Na razie, niestety, na nic takiego się nie zanosilo.

Wyciągnął ręce, żeby pomóc jej wysiąść z kabiny. Skoczyła wprost w jego ramiona, zapominając o tym, że ma zachwianą równowagę. Gdy dotknęła stopami ziemi, ugięły się pod nią kolana. Byłaby upadła, gdyby Shayne nie złapał jej w ostatniej chwili.

Kiedy ich ciała się zetknęły, Sydney przebiegł rozkoszny dreszcz. Natychmiast odsunęła się i speszona spojrzała Shayne'owi w oczy. Jednak to dziwne uczucie minęło tak szybko,

jakby było tylko wytworem jej wyobraźni.

Może zresztą tak rzeczywiście było? W końcu miała za sobą wyjątkowo długi i ciężki dzień, który jeszcze wcale się nie skończył.

Shayne'owi nagle wydało się, że zbyt mocno ją przytula. Rozluźnił uścisk i spojrzał jej w twarz.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odparła i spróbowała pewniej stanąć na nogach. Czuła się bardzo głupio. - Na chwilę straciłam równowagę. Przepraszam, że musiałeś mnie łapać.

- Nie ma sprawy - mruknął Shayne. - Nic się nie stało. Coś jednak się stało. Kiedy ją trzymał w ramionach, mimo iż trwało to zaledwie kilka sekund, z przykrością uświadomił sobie, że minęło już dużo czasu, odkąd po raz ostatni tulił jakąś kobietę. Do tej pory próbował sobie wmawiać, że to bez znaczenia. Praktyka lekarska zajmowała mu niemal cały czas. Był zbyt zajęty, by myśleć o takich sprawach. A teraz, kiedy miał na głowie dwójkę dzieci, był jeszcze bardziej zajęty.

W jego życiu nie ma już miejsca na kobiety. I lepiej niech tak zostanie.

Szybko puścił Sydney i poszedł wyjąć jej bagaże. Postawił je na śniegu, zamknął drzwi kabiny, a potem znowu sięgnął po walizki.

Sydney nie przywykła do tego, żeby ktoś ją wyręczał.

- Daj mi chociaż jedną - zaproponowała, ale Shayne nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Idź, nie dyskutuj - powiedział, machając ręką, w której trzymał walizkę.

Wyrwała mu walizkę, a kiedy spojrzał na nią, jakby straciła rozum, zapytała:

- Byłeś kiedyś w wojsku?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdziwił się. - Nie, nie byłem.

Sydney uśmiechnęła się.

- Bo komenderujesz mną jak jakiś kapral. Zaczynam już rozumieć, czemu nie możesz się dogadać z dziećmi.

Ale to nie było całkiem tak. Od przyjazdu Maki i Sary zamienił z nimi może z pięćdziesiąt zdań. I z każdym dniem było coraz trudniej.

Ruszyli przed siebie. Po chwili Sydney dostrzegła sylwetkę domu, w którym miała chwilowo zamieszkać. Wyglądał dokładnie tak, jak jej to opisywał Ben. Na dziewiczo białej płaszczyźnie śniegu wznosił się stary, piętrowy budynek w szwajcarskim stylu.

Mimo tak niecodziennych okoliczności Sydney poczuła, że nareszcie jest w domu.

- Jaki uroczy - westchnęła, a widząc pytający wzrok Shayne'a dodała: - Mówię o twoim domu.

Uroczy? Barbara była przeciwnego zdania. Uważała, że dom jest beznadziejnie staroświecki i prowincjonalny. Obiecał jej, że go wyremontuje, ale nigdy nie miał na to czasu. A po sześciu miesiącach i tak przestało to być aktualne.

Natomiast jeżeli chodzi o niego samego, nigdy nie myślał o swoim domu w kategorii przymiotników. Dom to po prostu dom, i już.

- Miło mi to słyszeć. Ben i ja urodziliśmy się w tym domu - powiedział.

- Naprawdę? - Ben wprawdzie pisał jej o tym, ale udała, że słyszy to po raz pierwszy. Przypomniała sobie, że miały tu być cztery sypialnie i kilka kominków. Ben dawał jej też do zrozumienia, że dom jest zdecydowanie zbyt duży jak na jedną osobę i obiecywał, że zrobi wszystko, by mogli jak najszybciej zapełnić go gromadką dzieci. Ta myśl wydawała jej się niebywale podniecająca.

Jak mogła okazać się tak łatwowierna? Potrząsnęła głową, by odpędzić bolesne wspomnienia.

- Czy wasi rodzice byli bogaci?

Tak, pomyślał Shayne. Bogaci w miłość. Patrząc na nich, dorastał w przeświadczeniu, że wszyscy mężowie i żony uwielbiają się nawzajem i że małżeństwo to cudowna inwestycja na całe życie. Kiedy odkrył, że jest inaczej, przeżył brutalny wstrząs.

- Nie, ale ojciec miał złote ręce, a matka chciała mieć duży dom, więc sam go dla niej zbudował - wyjaśnił.

- To cudownie - westchnęła Sydney, przekładając walizkę z ręki do ręki.

Shayne kątem oka dostrzegł ten manewr. Miał już okazję przekonać się wcześniej, że walizki są tak ciężkie, jakby zapakowała do nich kamienie. Nie przerywając marszu, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i odebrał jej walizkę, zanim zdążyła zaprotestować.

Wkrótce dotarli do domu i zatrzymali się przed drzwiami.

Shayne skinął głową.

- Otwórz, dobrze?

- Dobrze - powiedziała, odwracając się ku niemu. - A gdzie masz klucze?

Shayne wzrokiem wskazał na klamkę.

- Trzeba tylko nacisnąć klamkę.

To jej się podobało. Dobrze jest mieszkać w kraju, gdzie ludzie nie muszą zamykać drzwi na klucz. Będzie się tu czuła bezpiecznie. Ale pewnie trochę potrwa, zanim się do tego przyzwyczai.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi, zza których nagle rozległ się przenikliwy krzyk.

Pociągnęła drzwi z powrotem ku sobie i ostrożnie zajrzała do wnętrza domu.

Tuż za progiem stała dwójka dzieci - chłopiec i mała dziewczynka.

Prawda, dzieci. Przypomniała sobie poniewczasie, że Shayne ma przecież dzieci. Ben często pisał jej o swoim bratanku i bratanicy, a jego słowa, pełne miłości, ujęły ją za serce i okazały się decydujące.

Stojąc w progu, popatrzyła na chłopca, a potem na dziewczynkę.

- Przepraszam. Nic wam się nie stało?

Chłopiec wyglądał zupełnie jak miniaturowa kopia Shayne'a - począwszy od czarnych włosów i zielonych oczu, aż po posępny, zacięty wyraz twarzy. Jego siostrzyczka miała bardziej delikatne rysy i jedwabiste złote loki. Przypominała porcelanową lalkę.

- Nic - odparła z nieśmiałym uśmiechem, podnosząc na Sydney wielkie, błękitne oczy.

Twarz jej brata pozostała bez uśmiechu.

- Kto to jest? - zwrócił się do ojca urażonym tonem.

Nie czekając, aż Shayne ją przedstawi, Sydney wyciągnęła rękę.

- Cześć, jestem Sydney Elliot. A ty jak się nazywasz?

- Mak Kerrigan - burknął, ale posłusznie podał jej rękę. Zielone oczy zmierzyły ją krytycznym spojrzeniem. - Sydney to dziwne imię dla kobiety.

- Więc ty też tak uważasz? - roześmiała się Sydney, a chłopiec lekko się rozchmurzył. - Mój tata się tak nazywał i tak bardzo podobało mu się jego imię, że chciał je nadać swojemu synowi. A tymczasem urodziłam się ja.

Mak pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym wskazał palcem na dziewczynkę.

- To moja siostra. Nazywa się Sara.

- Miło mi cię poznać, Saro. - Dziewczynka miała drobną i zimną rączkę. Sydney spojrzała przez ramię na Shayne'a. Tego dnia popełniła już dość błędów. A teraz odniosła wrażenie, że w tej sprawie Ben także ją okłamał.

- To twoje dzieci? - zapytała.

- Nie. Wcale nie - zaprzeczył Mak, a w jego oczach odmalowała się wrogość.

Shayne rozumiał, że chłopiec miał ostatnio zbyt dużo ciężkich przeżyć, ale to w niczym nie usprawiedliwiało jego niegrzecznego zachowania.

- To mój syn i moja córka - powiedział z westchnieniem, po czym postawił na podłodze bagaże Sydney.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Po chwili Sara podbiegła do drzwi i wyjrzała na dwór.

- Gdzie wujek Ben? Nie przyjechał z wami? - zawołała płaczkliwym głosem, a potem odwróciła się do ojca i spojrzała na niego z wyrzutem. - Powiedział, że niedługo wróci. A to

było już dawno temu.

- Przecież ci mówiłem, że nie wróci - ze złością odezwał się Mak. Sydney nie potrafiła zdecydować, czy chłopiec jest zły na siostrę za jej łatwowierność, czy na Bena, że zawiódł ich zaufanie. Pewnie jedno i drugie. - On też nas zostawił.

„Też”. Słowo to gorzkim echem rozległo się w przestronnym pomieszczeniu. Oczy Sary napęły się łzami. Dziewczynka kurczowo przytuliła lalkę do piersi.

Sydney odwróciła się i spojrzała na Shayne'a. Usta zacisnął w bladą, wąską linię. Powoli zaczynała rozumieć, co miał na myśli, mówiąc, że nie potrafi dogadać się z dziećmi.

I wtedy zrozumiała, że ma w tym domu poważną misję do spełnienia.

ROZDZIAŁ 4

Rozpacz malująca się w oczach dziewczynki była tak autentyczna, że Sydney nie mogła udawać, iż jej nie dostrzega. Nigdy nie potrafiła przejść obojętnie obok nieszczęśliwego dziecka.

Shayne patrzył ze zdumieniem, jak ta obca kobieta klęka przed jego córeczką i delikatnie obraca ku sobie jej buzię. A kiedy już nawiązały kontakt wzrokowy, Sydney uśmiechnęła się do Sary.

- Wiesz co, wydaje mi się, że wujek Ben wcale nie chciał was zostawić. Był tylko zbyt podniecony myślą o małżeństwie, żeby pamiętać o swojej obietnicy.

Sara otworzyła usta ze zdumienia.

- To wujek Ben się ożenił? - zapytała urywanym głosem.

- Nie, wcale nie - zaprzeczył Mak, po czym dość obcesowo wepchnął się między Sydney a siostrę.

Sydney doskonale rozumiała jego intencje. Mak, który tak bardzo chciał uchodzić za twardziela, próbował chronić swoją małą siostrzyczkę.

- Ożenił się - zapewniła chłopca łagodnym tonem, spoglądając to na niego, to na Sarę. - Z panią, która ma na imię Lila, prawda?

Podniosła wzrok na Shayne'a. Gdyby wiedział, ile ją to kosztowało, żeby mówić o Benie, jakby był obcym człowiekiem, a nie jej niedoszłym mężem! Jednak w tej chwili gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę niż jej własne uczucia i urażona duma.

Chodziło o nieszczęśliwe, opuszczone dziecko. Czy może być coś smutniejszego na świecie?

Shayne bez słowa skinął głową. Podziwiał jej opanowanie. Jak mogła tak spokojnie mówić o bolesnym, poniżającym doświadczeniu, jakie ją spotkało? Robiła to dla małej dziewczynki,

która przecież nic dla niej nie znaczyła.

Chyba że nie była aż tak bardzo przygnębiona zdradą Bena, jak mu się wydawało na początku. A to by oznaczało, że zachował się jak ostatni, naiwny dureń, zapraszając ją do swojego domu tylko dlatego, że dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu postępu brata.

Sara spojrzała niepewnie na Sydney. Dziewczynka wyraźnie nie wiedziała, po której stronie ma się opowiedzieć.

- Wujek Ben wyszedł z domu wcześniej rano. Widziałam go. Gwizdał - powiedziała, zezując na Maka.

Sydney pokiwała głową.

- Tak. Bo był bardzo szczęśliwy. - Dotknęła policzka dziewczynki, czując, że zaczyna się między nimi rodzić nić porozumienia. Nigdy nie miała kłopotów z nawiązywaniem kontaktu z dziećmi. Może dlatego, że tak bardzo je lubiła. - Wasz wujek wcale nie chciał sprawić ci przykrości, Saro. Ani tobie - zwróciła się do Maka, wstając. Położyła mu rękę na ramieniu, ale on brutalnie ją strząsnął. Sydney nie zareagowała. - Bardzo możliwe, że wróci tu, kiedy skończy się ich miesiąc miodowy.

Sara, zdezorientowana, podniosła na nią oczy.

- A co to jest miesiąc miodowy?

To coś, na co od paru miesięcy czekała, co miało zacząć się następnego dnia. Sydney stłumiła w zarodku tę myśl. Teraz nie chodziło o nią, ale o dwójkę osieroconych dzieci i ich poczucie, że zostały zdradzone.

Dla ich dobra zmusiła się do uśmiechu.

- To coś, na co mężczyzna i kobieta wyjeżdżają zaraz po ślubie.

Sara ściągnęła brwi i przechyliła główkę.

- Takie wakacje, tak?

Dziewczynka trafiła w sedno. Sydney zawsze podziwiała w dzieciach tę cechę.

- Dokładnie tak. To takie specjalne wakacje, tylko we dwoje.

Sara zacisnęła usta, a potem nagle się rozchmurzyła, natomiast podejrzliwa mina Maka wyraźnie świadczyła o tym, że bynajmniej nie czuje się usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Sydney i nie wierzy jej. Widocznie odziedziczył podejrzliwą naturę ojca.

Sydney odwróciła się do Shayne'a i zobaczyła, że on także taksuje ją wzrokiem. Czyżby niechęć powiedziała coś niewłaściwego, czym go uraziła?

On jednak nie wyglądał na rozgniewanego, miał tylko takie... nieprzeniknione spojrzenie. I sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej wyjść.

- Może pokazałbyś mi teraz mój pokój - zaproponowała. Shayne machinalnie spojrzał na

zegarek i zmarszczył brwi.

- Asia będzie musiała to zrobić. - Stracił znacznie więcej czasu, niż myślał. Ale to dlatego, że początkowo wcale nie zamierzał przywozić tu Sydney. - Już od kwadransa miałem być w klinice. - Spojrzał na Maka. - Gdzie jest Asia?

Chłopiec ze znudzoną miną wzruszył tylko ramionami.

Jego zachowanie zirytowało Shayne'a, jednak zanim zdążył coś powiedzieć, Sara wtrąciła szybko:

- Ona jest w kuchni.

- Asiu! - zawołał Shayne.

Czy to gosposia? Zresztą nieważne. Sydney nie miała zamiaru odrywać jej od prac domowych. Doszła do wniosku, że im mniej zamieszania spowoduje w tym domu, tym lepiej.

- W porządku - odezwała się do Shayne'a. - Powiedz mi tylko, gdzie to jest...

W tym samym momencie do pokoju weszła drobna starsza kobieta o śniadej, pomarszczonej twarzy. Dumnie wyprostowana, miała grube srebrne warkocze po pas i czarne, niezgłębione oczy.

Tak musieli wyglądać rdzenni mieszkańcy Alaski.

Asia spojrzała gdzieś za Shayne'a.

- Asiu, to panna Sydney Elliot. - Shayne wskazał na Sydney. - Zostanie tu z nami przez jakiś czas. Bądź tak dobra i zaprowadź ją do pokoju mojego brata.

Mak poderwał się nagle.

- To znaczy, że on nie wróci! - wykrzyknął z gorzką satysfakcją.

Ton jego głosu przeraził Sydney. Przecież to niemożliwe, żeby Ben był jedynym człowiekiem, jakiego chłopiec polubił w tym odludnym miejscu, do którego został przewieziony po śmierci matki. A co z jego własnym ojcem?

- To tylko chwilowe rozwiązanie - powiedziała pospiesznie, żeby oszczędzić Shayne'owi trudnych wyjaśnień. - Twój tata zaproponował mi, żebym się zatrzymała u was, póki nie zorganizuję sobie życia. A ponieważ wujek Ben wyjechał w podróż poślubną, mogę na razie zająć jego pokój. Mak popatrzył na nią niepewnym wzrokiem.

- Ale kiedy on wróci, pani się stąd wyprowadzi. - W jego głosie zabrzmiało wyzwanie.

- Chyba będę musiała - odparła szczerze. - W waszym domu nie będzie już dla mnie miejsca.

Może rzeczywiście popełniłem błąd? - pomyślał Shayne, ganiąc się w duchu za zbyt pochopne zaproszenie. Ta kobieta nie sprawia wrażenia zbyt przejętej faktem, że została porzucona niemal u stóp ołtarza. Wręcz przeciwnie - mówi o tym z takim dystansem, jakby

relacjonowała jakiś artykuł z gazety.

Tak czy owak, będzie się nad tym zastanawiać później. W tej chwili poczekalnia w jego klinice na pewno już pęka w szwach, a on na domiar złego nie ma już nikogo do pomocy.

Spojrzał na gospodynię, którą zmuszony był przyjąć po przyjeździe dzieci. Asia pochodziła z wioski położonej w pobliżu Hadesu. Odkąd sięgał pamięcią, widział ją idącą do miasta, do sklepu, a za nią zawsze wlokło się kilkoro dzieci. W ostatnich latach towarzyszyły jej wnuki. Żeby móc u niego pracować, musiała znaleźć dla nich opiekunkę.

Marna była z niej kucharka i jeszcze gorsza gospodyni, ale przynajmniej Sara i Mak nie byli sami w domu, a tylko to się liczyło.

- Wrócę po piątej, Asiu.

Mijając Sydney, machinalnie skinął głową. Za chwilę zamknęły się za nim drzwi.

Nie uszło uwagi Sydney, że nie pożegnał się z dziećmi, a one także nie zareagowały na jego wyjście. Ta rodzina naprawdę rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

- Tędy, proszę.

Cichy głos Asi przerwał jej niewesołe rozmyślenia. Odwróciła się. Gospodyni z kamienną twarzą stała u stóp schodów. Zgodnie z poleceniem czekała, by zaprowadzić Sydney do jej lokum.

Sydney sięgnęła po jedną z walizek i ruszyła za Asią.

No cóż, pomyślała, wchodząc po schodach na górę, chciałam nowego życia, to je mam. Na przyszłość powinnam bardziej rozważnie formułować swoje życzenia.

- Od dawna jesteś u doktora Kerrigana? - zapytała.

- Od niedawna. - Asia nawet się nie odwróciła.

- To znaczy od kiedy? Od miesiąca? Od roku? - indagowała Sydney, pragnąc nawiązać jakiś kontakt z tą dziwną gospodynią.

- Coś koło tego - odparła enigmatycznie Asia.

Przystanęła przed drugim pokojem po prawej stronie i machnęła ręką. Nie otworzyła drzwi, tylko cofnęła się, żeby przepuścić gościa.

Czyżby w tym pokoju mieszkał jakiś potwór?

Patrząc na Asię, Sydney nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Gospodyni natychmiast wycofała się, uznając swoją misję za zakończoną.

Sydney postawiła walizkę na progu i weszła do pokoju. Ścianę naprzeciw drzwi zajmował duży kominek. Sufit przecinały grube drewniane belki. Z takich samych belek wykonano solidne, podwójne łóżko. Widać było, że jest to sypialnia mężczyzny. Zresztą Sydney tak właśnie ją sobie wyobrażała.

W pokoju panował okropny bałagan, jakby jego właściciel opuścił go w niezwykłym pośpiechu.

Rozejrzała się.

Więc to było mieszkanie człowieka, za którego miałam wyjść za mąż, pomyślała. No cóż... Przynajmniej nie będę musiała sprzątać po nim do końca życia.

Myśl ta wcale jednak nie podniosła jej na duchu. Jak również świadomość, że z takich czy innych powodów została wystrychnięta na dudka.

- Zrób sobie lemoniadę, Syd, zrób sobie lemoniadę - mruknęła. W ten właśnie sposób pocieszał ją ojciec, ilekroć wydawało jej się, że sytuacja ją przerasta.

Ponownie rozejrzała się wokoło. Nie mogła mieszkać w pokoju, który wyglądał, jakby przeszedł nad nim huragan. W jednej chwili podjęła decyzję, wzięła głęboki oddech i zdjęła puchową kurtkę.

Kiedy chciała ją powiesić, okazało się, że w szafie panuje taki sam bałagan jak w pokoju. Większość wieszaków leżała na dnie szafy, a nieliczne, które wisały na drążku, były beznadziejnie splątane. Nie miała nawet gdzie odłożyć kurtki. Cały pokój zasłany był ubraniami, książkami i papierami.

Jak jego właściciel potrafił tu cokolwiek znaleźć? Mogła tylko mieć nadzieję, że był lepszym lekarzem niż organizatorem. Bo jeśli nie, to szczerze współczuła jego pacjentom.

- Jaki okropny bałagan - rozległ się zza jej pleców cichutki głosik.

Odwróciła się. W progu stała onieśmielona Sara. Jej pierwszy gość.

- Masz rację. To pokój twojego wujka, a chłopcy na ogół są strasznie nieporządni.

Sara uśmiechnęła się nieśmiało. Widząc to, Sydney zachęcająco skinęła ręką.

- Chcesz wejść do środka? Poczekaj, zrobię ci trochę miejsca. - Szybko odsunęła na bok kilka swetrów, leżących na nie pościelonym łóżku, wygładziła koc i poklepała wolną przestrzeń. - No, chodź.

Sara podeszła bliżej, po czym z wahaniem wdrapała się na łóżko. Przez cały czas tuliła do siebie lalkę, ale kątem oka popatrywała na Sydney.

- Wygodnie ci? - zapytała Sydney.

- Wygodnie - szepnęła dziewczynka i rozejrzała się po pokoju. W jej oczach malował się smutek.

Nie tylko ty za nim tęsknisz, malutka, pomyślała Sydney.

- Kiedy tu posprzątam, będziesz miała więcej miejsca - obiecała Sarze.

Dziewczynka siedziała przez chwilę w milczeniu, marszcząc brwi.

- Będiesz naszą pokojówką? - zapytała wreszcie. Sydney roześmiała się cicho i

poślaskała małą po główce. Jedwabiste włosy dziewczynki owinęły się jej wokół palców.

- Nie. Ja tylko lubię mieć u siebie porządek. Sara rozsiadła się wygodniej na łóżku.

- Tam, w naszym domu, mieliśmy pokojówkę... - zaczęła, a jej usta nagle wygięły się w podkówkę. - Nazywała się Alice. Ale to było jeszcze zanim... zanim mama umarła - dokończyła szeptem i zalała się łzami.

Sydney spojrzała na nieszczęsną istotkę, skuloną na łóżku.

- Przykro mi z powodu twojej mamy, Saro. - Przysunęła się bliżej i objęła dziewczynkę, która natychmiast się do niej przytuliła. - Wiesz, że ona patrzy teraz na ciebie?

Sara podniosła na nią błękitne oczy.

- Naprawdę? - zapytała. Sydney poważnie pokiwała głową.

- Tak. Z nieba. - Wskazała na okno, za którym rozpościerało się czyste, szafirowe niebo. Co za niesamowity widok, pomyślała. - Właśnie teraz na ciebie patrzy. I martwi się, bo widzi, że jesteś smutna. - Malująca się w oczach Sary nadzieja kazała Sydney mówić dalej. - Jeżeli mocno zamkniesz oczy, poczujesz, że mama cię obejmuje.

Sara spojrzała na nią z niedowierzaniem. W końcu była także córką swojego ojca, nawet jeśli ani trochę nie przypominała go z wyglądu.

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Bo mój tata też jest w niebie.

Z ojcem łączyła ją niezwykle silna więź. Gdy dorastała, był jej mentorem i najlepszym przyjacielem. A kiedy zachorował, jako jedynaczka całkowicie mu się poświęciła, mimo iż uporczywie nalegał, by starała się żyć własnym życiem. Zmarł przed trzema laty, a jego śmierć wtrąciła Sydney w otchłań rozpacz. Pewnie dlatego tak szybko się zakochała, gdy na scenę wkroczył Ken. Brakowało jej po prostu kogoś, z kim mogłaby rozmawiać i dzielić swoje myśli.

Ken jednak nie spełnił jej oczekiwań i okazał się niegodny jej uczuć. A co do Bena...

No cóż, chyba będzie musiała się pogodzić z myślą, że nie ma już mężczyzn podobnych do jej ojca. Widocznie w dzisiejszych czasach takie zalety jak uczciwość i dobroć są czymś niebywale rzadkim.

Ale nawet gdyby było ich w nadmiarze, postanowiła wycofać się z placu boju. I to na dobre.

- Czasem, kiedy jest mi smutno i tęsknię za nim, zamykam oczy i przypominam sobie, jak bezpiecznie czułam się w jego objęciach. I wtedy czuję, jak mój tata mnie obejmuje. Może i ty spróbujesz? - zwróciła się do Sary. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli dziecko mocno w coś wierzy, wszystko jest możliwe. - Zobaczysz, że zaraz poczujesz się lepiej. Sara

zaczerpnęła tchu i niepewnie bąknęła:

- Sama nie wiem...

- Po co pani ją okłamuje? - Do pokoju wtargnął jak burza Mak. Miał zaciśnięte pięści, a jego oczy miały błyskawice. - Co to za bzdury? Kto pani pozwolił okłamywać moją siostrę?

Ten brutalny atak kompletnie zaskoczył Sydney, jednak szybko się opanowała. Wiedziała, że w konfliktach z dziećmi ważne jest, by nie wycofywać się z raz zdobytych pozycji.

Zamiast odpowiedzieć Makowi, spojrzała na Sarę.

- Widzę, że masz swojego rycerza, Saro. Dziewczynka, zdezorientowana, rozejrzała się wokoło.

- Tak? A gdzie on jest?

- Tutaj. - Sydney wskazała na rozgniewanego chłopca. - Rycerze zawsze bronią swoich dam. A twoim rycerzem jest Mak. On zawsze będzie cię bronił.

- Nie jestem żadnym rycerzem - obruszył się chłopiec, ale w jego głosie nie brzmiało już oburzenie. Widocznie ta wizja nie wydawała mu się aż tak niemiła, jak by chciał to okazać.

- Moim zdaniem jesteś i bardzo mi się podoba, że opiekujesz się siostrą. - Sydney wstała. Czas naglił. Bałagan sam się nie posprząta. - I nie musisz się denerwować. Wcale nie miałam zamiaru okłamywać twojej siostry. Wasza mama naprawdę patrzy na nią z nieba. Na ciebie też.

Makowi pociemniały oczy. Chwilowy rozejm został przerwany.

- Ona na nikogo nie patrzy. Nic jej nie obchodzimy - powiedział z uporem. - Przecież nas zostawiła. Zostawiła nas po to, żeby on mógł nas tu przywlec, tak daleko od naszych kolegów i od naszego domu. Nienawidzę tu być. Tu jest ohydnie - dodał ze złością.

Sydney straciła matkę, kiedy była niewiele młodsza od Maka. Mimo to doskonale pamiętała, jaki żal miała wtedy do niej, za to, że zostawiła ją samą. Chwilami była nawet na nią zła. Prawie tak zła, jak Mak na swoją matkę. Była jednak w tym szczęśliwym położeniu, że miała kochającego ojca, który pomógł jej uporać się z bólem. I oczywiście nie musiała wyjeżdżać z rodzinnego domu jak Mak i Sara. Spróbowała objąć chłopca, ale on znowu strząsnął jej rękę. Pozostało jej tylko udawać, że tego nie zauważa.

- Na początku zawsze trudno się przyzwyczaić do zmian. Chłopiec uniósł wyzywająco podbródek.

- Nie chcę się do niczego przyzwyczajać. Chcę wrócić do domu.

Podświadomie go rozumiała. Jakaś część jej samej marzyła o tym, żeby uciec do domu. Tylko że ona już nie miała żadnego domu. Podobnie jak Mak i Sara. A to znaczyło, że mają ze sobą coś wspólnego.

- Różne rzeczy się zdarzają - zwróciła się łagodnie do dzieci. - Często nie wiemy nawet, dlaczego. Musimy się starać, żeby jakoś z tego wybrnąć. Bo inaczej zawsze będziemy nieszczęśliwi i nikt nie wygra.

Sara uważnie chłoneła każde jej słowo.

- Czy to jakaś gra? - zapytała.

Sydney uśmiechnęła się. Często myślała, że życie to gra o wciąż zmieniających się regułach.

- W pewnym sensie tak - przyznała. - A wygrywa ten, kto jest najszcześniejszy.

Sara nieśmiało spojrzała na brata. Mimo iż wciąż próbował nią komenderować, kochała go jak nikogo na świecie. Bardziej nawet niż swoją mamę. Dlatego nie chciała wygrać, jeżeli oznaczałoby to przegraną Maka.

- A czy może być tak, że wygrają dwie osoby?

Co za słodkie dziecko, pomyślała Sydney. Usiadła z powrotem na łóżku i wzięła dziewczynkę na kolana. Sara przytuliła się do niej, jakby znały się od dawna.

- W tej grze może być wielu zwycięzców, kochanie. - Pogłaskała dziewczynkę po głowie, a jej wzrok napotkał spojrzenie chłopca. - Przegrywa tylko ten, kto z własnej woli nie chce być szczęśliwy.

Chłopiec zacisnął usta, ale Sydney była pewna, że jej słowa dały mu wiele do myślenia.

Rozkosznie było siedzieć tak z małą Sarą w ramionach, ale było jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Sydney delikatnie zdjęła dziewczynkę z kolan i wstała.

- Muszę się brać do roboty, jeżeli mam tu sprzątnąć przed nocą.

Sara zsunęła się z łóżka i z nadzieją w głosie zapytała:

- Mogę ci pomóc?

Sydney doskonale wiedziała, że para dziecięcych rąk będzie jej bardziej przeszkadzać niż pomagać, ale wiedziała też, że dziewczynka bardzo chciała stać się częścią tego domu.

Zresztą może i ona sama także była teraz w podobnej sytuacji.

- Oczywiście, kochanie - zapewniła ją z uśmiechem. - Miło, że o to zapytałaś.

Odwróciła się i zobaczyła, że Mak robi w tył zwrot i z rękoma w kieszeniach rusza do drzwi. Postanowiła zaapelować do jego męskiej ambicji.

- Mak, potrzebuję kogoś dużego i silnego, żeby mi przyniósł na górę drugą walizkę. Może ty mógłbyś mi pomóc?

Chłopiec nie zwolnił kroku i nie odpowiedział, tylko wyszedł, mruczając coś cicho pod nosem. Sydney przypuszczała, że były to jakiś obelgi pod jej adresem.

Pomyślała, że w przypadku chłopca trzeba będzie jeszcze poczekać. Ale nie szkodzi.

Czasu miała aż w nadmiarze.

- Czekają nas mnóstwo prac - zwróciła się do Sary. - Co ty na to, żeby najpierw wszystko pozbiierać i poukładać na łóżku? W ten sposób mogłybyśmy od razu posortować rzeczy i przy okazji rzucić okiem na podłogę. Bo przecież pod tym bałaganem musi być jakaś podłoga, prawda?

- Chyba tak - odparła Sara - ale ja jej nie widziałam. Trzymając lalkę pod pachą, dziewczynka zaczęła naśladować Sydney. Podnosiła po kolei wszystkie rzeczy i kładła je na łóżko. W końcu spod sterty papierów i ubrań wyjrzała zniszczona, drewniana podłoga.

Sydney zaczęła się zastanawiać, czy dałoby się przywrócić jej dawny blask, ale wątpiła, czy Shayne byłby w stanie jej pomóc. Wobec tego postanowiła zrobić porządek w szafie. Gdyby udało jej się rozplatać wieszaki, mogłaby powiesić na nich swoje rzeczy. Zajęta rozdzielaniem złośliwie splątanych drutów, nagle usłyszała za plecami jakiś łomot.

Odwróciła się, pełna niepokoju. W progu stał Mak, a przed nim jej walizka.

- No więc, przyniosłem ją na górę - odezwał się chłopiec wyzywającym tonem.

- Widzę. - Sydney podeszła do drzwi, wzięła walizkę i wniosła ją do pokoju. - Bardzo ci dziękuję, kochanie.

Chłopiec obojętnie wzruszył ramionami.

Sydney uśmiechnęła się. Oczywiście duszy widziała już, jak w dzielącym ich murze zaczyna zarysowywać się pierwsza szczelina. Może zaprzyjaźnienie się z tym dzieckiem nie zajmie jej aż tyle czasu, jak jej się początkowo zdawało?

- Masz wspaniałego brata, Saro - oświadczyła, celowo podnosząc głos tak, by cię rysujący się na podłodze korytarza mógł ją usłyszeć.

- Mak jest bardzo fajny - powiedziała Sara z dumą.

- Też tak uważam.

Cień trwał w miejscu jeszcze przez dłuższą chwilę i dopiero po jakimś czasie się oddalił.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Shayne, mocno spóźniony, wkroczył do kliniki, w poczekalni było już mnóstwo pacjentów. Natychmiast zapomniał o swojej nie uporządkowanej sytuacji rodzinnej. Za dużo innych spraw czekało, by się nimi zająć.

Shayne jak nikt potrafił skoncentrować się wyłącznie na pracy, zapominając o bożym świecie. Dlatego między innymi był takim dobrym lekarzem.

Również w dużej mierze dlatego Barbara zdecydowała się go porzucić. Nie mogła pogodzić się, że nie jest pępkiem jego świata. Skończyło się to tak, że zarzuciła mu, iż

wywiózł ją na to „lodowe pustkowie”, a potem zostawił własnemu losowi.

Był to ostatni gwóźdź do trumny ich małżeństwa.

Rozejrzył się wokoło. Czekał go ciężki dzień. Po wyjeździe Bena został zupełnie sam, bo ostatnia pielęgniarka zwolniła się przed miesiącem i z tego, co wiedział, przebywała obecnie w Meksyku. Jak na razie, mimo ponawianych ofert, nikt nowy nie zgłosił się do pracy.

W tej chwili gotów był nawet zrozumieć brata, który zaproponował wakujące stanowisko jakiejś nieznajomej osobie. Była w tym pewna logika. W końcu Ben zaoferował jej siebie na takich samych warunkach.

Pracowity dzień dobiegł końca. Składając papiery, Shayne zastanawiał się, czy Ben rzeczywiście ożeniłby się z Sydney, gdyby został w Hadesie.

Wreszcie zgasił lampę i znużony podniósł się zza biurka. Potarł czoło i zaczął masować sobie skronie, w których narastał pulsujący ból. Ból ten nie był jednak skutkiem zmęczenia, lecz został wywołany napięciem związanym z perspektywą rychłego powrotu do domu. Co go tam czeka? A może będzie miał szczęście i zastanie wszystkich w łóżku?

Ostatni pacjenci wyszli z kliniki dwadzieścia minut temu.

Nie miał już żadnych innych obowiązków oprócz obowiązków rodzinnych.

Musiał wracać do domu pełnego ludzi, z którymi źle się czuł.

Czy tak właśnie powinno być? - pytał sam siebie, nakładając puchową kurtkę. Człowiek nie powinien źle się czuć we własnym domu. A przede wszystkim nie powinien źle się czuć w towarzystwie swoich własnych dzieci. Z westchnieniem owinał szyję wełnianym szalikiem, zapiął suwak, naciągnął kaptur i wyszedł na dwór.

Lodowate powietrze wtargnęło mu do płuc, a mróz natychmiast zaatakował odsłoniętą twarz.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Mimo wełnianych rękawiczek czuł, że lodowata kierownica parzy mu palce. Nigdy by nie przypuszczał, że tak potoczy się jego życie. W przeszłości, która teraz wydawała mu się bardzo odległa, zawsze wyobrażał sobie siebie z rodziną u boku. Ta rodzina miała mu dać ciepło i poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo mu brakowało, kiedy walczył o to, by zapewnić przyszłość sobie i bratu.

Wypuścił powietrze z płuc. Szyba natychmiast zaparowała. Wytrzeł ją, po czym wyjechał z parkingu i skręcił w znajomą drogę.

Nie można powiedzieć, żeby on i Ben nie byli sobie bliscy. Ale Ben... no cóż, Ben to Ben. Jego brat miał wszystkie zalety, które on sam chciałby posiadać. Choćby tę bezpośredniość, dzięki której pacjenci byli przekonani, że bardzo się nimi przejmuje. Shayne także przejmował się swoimi pacjentami, może nawet bardziej, ale nie potrafił im tego okazać.

Dlatego większość z nich uważała, że jest mało kontaktowy i oschły. Po jakimś czasie zaczęło mu to nawet być na rękę. W końcu jego zadaniem było przede wszystkim leczyć ich chore ciała, a nie sfrustrowane dusze.

Na pewno żyłoby mu się łatwiej, gdyby rzeczywiście przestał się przejmować losem swoich pacjentów. Rzecz w tym, że nie potrafił, i na swój sposób bardzo przeżywał każdy przypadek.

Jeszcze mocniej przeżywał to, że jego dzieci spoglądały na niego wyłącznie z nienawiścią lub lękiem. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić. A teraz? Co ma począć teraz? - pytał sam siebie, słuchając, jak oplatane łańcuchami opony miażdżą świeży śnieg. Bez pośrednictwa Bena wszelkie próby nawiązania kontaktu z dziećmi są z góry skazane na niepowodzenie. Poza tym Mak obarczał go winą nie tylko za nieobecność Bena, ale i za śmierć matki oraz przeprowadzkę do Hadesu.

Zresztą może sprowadzenie ich na Alaskę było z jego strony błędem? Sam już nie wiedział, jak należało postąpić. Na początku uważał to za jedyne sensowne wyjście. Kiedy dowiedział się o śmierci Barbary, przede wszystkim pomyślał o dzieciach.

O tym, jak musiały się czuć - przerażone, zrozpaczone, w jednej chwili pozbawione jej miłości. Bo bez względu na to, jak ułożyło się ich małżeństwo, Shayne nie miał wątpliwości, że Barbara była dobrą matką.

A teraz, kiedy ściągnął do siebie swoje dzieci, nie miał pojęcia, jak być ich ojcem.

Światła reflektorów przebijały się przez otaczającą go wszechwładną biel. Jechał w stronę domu, próbując nie myśleć o zmęczeniu. Jako lekarz doskonale wiedział, jak łatwo jest zasnąć za kierownicą, jak bardzo monotonia otaczającego krajobrazu potrafi zahipnotyzować człowieka. I jak łatwo można wtedy zamarznąć na śmierć.

Wreszcie w smudze światła ukazała się jego cessa. Stała dumnie na lądowisku, gotowa do kolejnego lotu.

Był już prawie w domu.

Wjeżdżając do garażu, który zbudowali kiedyś z Benem, usłyszał trzask krokwi, uginających się pod ciężarem śniegu. Rano będzie musiał uprząć śnieg z dachu. Jeśli o tym nie zapomni.

Spojrzał w stronę domu. Po co się dłużej oszukiwać? Dzieci były z nim bardzo nieszczęśliwe. Minęły już dwa miesiące, a one nawet nie zaczęły się przyzwyczajać. Może, dla ich własnego dobra, powinien był jednak zostawić je u teściów? Nie chciał tego robić, ale może było to najlepsze wyjście? Padła nawet taka propozycja, kiedy przyjechał po Maka i Sarę, a jednak rodzice Barbary nie nalegali, mając na względzie dobro dzieci.

Może właśnie powinni byli nalegać?

Wchodząc na ganek, Shayne machinalnie otrzepał buty. Grudki śniegu oderwały się od grubych podeszew. Wziął głęboki oddech i wszedł do domu.

Różnica temperatury mile go zaskoczyła. Starannie zamknął za sobą drzwi i zaczął rozpinąć kurtkę, rozglądając się wokoło. W pierwszej chwili nie dostrzegł w pokoju nikogo i z jego ust wyrwało się westchnienie ulgi.

Niestety w tej samej chwili zorientował się, że jednak nie jest sam.

Przy kominku stała Sydney, a ciepły blask ognia oświetlał jej delikatny profil i nikał we włosach. Mimowolnie zauważył, że je rozpuściła i że są znacznie gęstsze i dłuższe, niż myślał. Teraz opadały jej na plecy lśniąca, bladozłota kaskadą. Z wrażenia zaparło mu dech. Zauważył też, że w pokoju było cieplej niż kiedykolwiek.

Sydney spojrzała w jego stronę, a jej powitalny uśmiech trafił go w samo serce. Poczł się tak, jakby znalazł się w innym świecie.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że wszedł w cudze życie. Może nawet w swoje własne, tylko w jakiejś innej galaktyce, gdzie wolno mu było mieć to wszystko, co innym mężczyznom przychodzi z natury i bez trudu.

Ale nie jemu...

Sydney zaczynała już myśleć, że będą musieli zjeść bez niego. I tak przesunęła obiad o dwie godziny i dzieci zaczynały być głodne. Dłużej nie dało się ich niczym zająć.

Stojący w drzwiach Shayne miał taką zaskoczoną minę, że aż się zaniepokoiła. Czyżby znowu coś było nie tak?

- Obawiałam się, że coś się wydarzyło. Myślałam, że może wezwano cię do wypadku. Dawno zrobiło się ciemno. - Słyszała, jak przed wyjściem mówił Asi, że wróci koło piątej. Teraz dochodziła ósma.

- Tutaj wcześniej robi się ciemno - powiedział sucho. - A słońce wschodzi dopiero po dziesiątej.

Zdjął kurtkę, bo zaczął się pocić. Wciągnął powietrze i poczuł jakąś miłą woń. Miłą, choć całkiem różną od delikatnego zapachu wody kwiatowej, którą-jak zdążył wcześniej zauważyć - pachniała Sydney.

Raz jeszcze pociągnął nosem, próbując rozpoznać ten zapach.

Wyraz zaskoczenia nadał jego surowej, posępnej twarzy jakiś bardziej ludzki rys. Tak przynajmniej pomyślała Sydney. Wyglądał teraz jak chłopiec - i to nawet czarujący chłopiec.

- To obiad tak pachnie - odparła z uśmiechem na jego nieme pytanie.

- Nie pamiętam, żebym mówił o jakimś obiedzie. - Obiady jadał tylko wtedy, kiedy

wstępowali z Benem do Salty Saloon, gdzie zamawiali cokolwiek, byle tylko się rozgrzać. Kiedy sprowadził dzieci, polecił Asi zająć się kuchnią, ale gotowanie wyraźnie nie było jej mocną stroną. Może gospodyni wreszcie nauczyła się czegoś od swojej młodej synowej?

- Pozwoliłam sobie sama zadysponować obiadem. Odniosłam wrażenie, że Asia potrzebuje pomocy.

Mówiąc to, sięgnęła po jego kurtkę, żeby ją powiesić w szafie. Wydawało jej się to zupełnie naturalne. Przecież robiła tak zawsze, kiedy jej ojciec wracał z pracy.

Tym razem jednak napotkała zdecydowany opór.

Shayne nie chciał puścić kurtki. Nie po to sprowadził tu tę kobietę, żeby zrobić z niej służącą.

- Nie musieliście na mnie czekać.

- Nie wiedziałam, jakie w tym domu panują obyczaje. - Aby uniknąć szarpaniny, opuściła rękę. - Dlatego wszyscy na ciebie czekaliśmy.

Shayne powiesił kurtkę na haku, a potem odwrócił się i spojrzał na Sydney. O czym ona mówi? Co to za „wszyscy”?

- Nie rozumiem - powiedział.

- Postanowiliśmy zaczekać z obiadem, aż wrócisz. Wydawało mi się to słuszne - dodała, widząc, że Shayne nadal nic nie rozumie.

Sara powiedziała jej, że ona i Mak zazwyczaj jadali sami w kuchni. Sydney wydało się to nie do przyjęcia. Rodzina, o ile to możliwe, powinna jadać razem. Wobec tego namówiła dzieci, by zgodziły się zaczekać, i starała się zająć je czymś do powrotu Shayne'a. Czytała Sarze bajki, a Mak udawał, że ich nie słucha.

Shayne spojrzał na nią podejrzliwie. O co jej chodziło?

- „Wszyscy”, czyli ty i dzieci? Skinęła głową.

- Asia wyszła tuż przed piątą. Jeden z jej wnuków po nią przyjechał.

Wyglądało to na jakiś nagły wypadek, a ponieważ Sydney doszła do wniosku, że talerz gorącej wody z żółtymi oczkami tłuszczu i kromką chleba nie jest prawdziwym obiadem, chętnie puściła kobietę do domu i przy okazji pomyślała, że Shayne w ogóle powinien ją zwolnić.

Na twarzy Shayne'a odmalował się gniew.

Może źle zrobiła, zwalnając Asię? Ale ona i tak pojechałaby z wnukiem.

- Puściłam ją do domu, bo w końcu i tak siedziałam z Makiem i Sarą.

Ich oczy się spotkały. Przecież to obca osoba, pomyślał Shayne. Co ona sobie wyobraża? Jakim prawem zwalnia gospodynię? On i Asia zawarli umowę - miała pilnować dzieci do

jego powrotu, bez względu na godzinę. Za to jej płacił. I to całkiem nieźle.

- Widzę, że zaczynasz się tu czuć jak u siebie w domu. Sydney nie była pewna, czy miał to być zarzut, czy zaczepka.

- Staram się tylko być pożyteczna, to wszystko - powiedziała, z trudem zachowując spokój.

Miała rację. Nie było powodu, żeby ją atakować. Wyglądało na to, że rzeczywiście chciała pomóc.

- Przepraszam - mruknął, wieszając szalik na haku. - Wieczorami rzadko bywam miły.

Sydney przyjrzała mu się z uśmiechem.

- Czy to ma znaczyć, że na lotnisku byłeś w swojej najlepszej formie?

Shayne parsknął śmiechem.

- Prawdę mówiąc, to w ogóle nie jest mój najlepszy dzień. Spojrzał w stronę alkowy, która czasem służyła również jako jadalnia. Stół, który jego ojciec własnymi rękami wykonał dla matki, był teraz nakryty na cztery osoby.

Wcale o tym nie marzył, żeby jeść pod oskarżycielskim wzrokiem swoich dzieci.

- Trzeba było zjeść beze mnie.

- Pomyślałam sobie, że lepiej będzie zjeść razem z tobą. W jego oczach odmalowało się pytanie.

- Twoje dzieci nie zdążyły się jeszcze przyzwycząić do zmian i do straty, jaką poniosły - wyjaśniła Sydney. - Każda próba wprowadzenia stałego porządku może im tylko pomóc w procesie przystosowania.

Dobre sobie! - pomyślał Shayne. Tego jeszcze brakowało. Okazuje się, że Ben zamierzał poślubić jakąś panią psycholog od siedmiu boleści!

- Przecież nie znasz moich dzieci.

- Racja - przyznała, idąc za nim do stołu - ale mam zamiar je poznać. Odbyłam z Sarą długą rozmowę, kiedy pomagała mi sprzątnąć w sypialni.

Zatrzymał się tak raptownie, że się zderzyli. Shayne chwycił Sydney za ramiona, żeby ją podtrzymać, ale zaraz ją puścił, jakby się oparzył.

- W czyjej sypialni? - zapytał. Sprowadził ją tu nie po to, żeby cokolwiek robiła, tylko żeby ofiarować jej dach nad głową, póki nie zmieni zdania i nie zdecyduje się wrócić tam, skąd przyjechała. A tymczasem ona zaczyna od wprowadzania w jego domu jakichś nowych porządków.

- W pokoju Bena. Ale nie bój się - dodała szybko - niczego nie wyrzucałam. Poskładałam tylko jego rzeczy i usunęłam je na bok. Teraz jest tam znacznie więcej miejsca. - Nie było to

wcale łatwe zadanie, ale jakoś sobie poradziła.

- Co jeszcze robiłaś? - zapytał z niepokojem, zapominając na chwilę o głodzie, rozbudzonym przez smakowite zapachy.

Zabrzmiało to prawie jak oskarżenie, ale Sydney zignorowała jego ton.

- Już ci mówiłam. Razem z Asią przygotowałam obiad. Sara mi pomagała.

Z kuchni wychyliła się jasna główka. Sydney skinęła z uśmiechem głową, przywołując dziewczynkę.

- Powiedz, Saro, co robiłaś?

Shayne odwrócił się i zobaczył wchodzącą do pokoju córeczkę. Dziewczynka spojrzała na Sydney.

- Soliłam zupę - powiedziała cichutko.

Spoglądając to na Sarę, to na Sydney, Shayne sam już nie wiedział, co ma o tym myśleć. Podczas jednego popołudnia Sydney osiągnęła większe porozumienie z jego córką niż on w ciągu dwóch miesięcy. Zaczynał powoli rozumieć Bena. Jego brat i Sydney posiadali pewne wspólne zalety. Cechowała ich bezpośredniość, której jemu brakowało, a którą zjednywali sobie ludzie.

- Widzę, że będę musiał spróbować zupy, skoro zadałaś sobie tyle trudu, Saro - stwierdził Shayne i ze zdumieniem zauważył, że jego córeczka odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

W pokoju panowała przygnębiająca cisza. Czy tak wyglądały wszystkie posiłki w tym domu? Nic dziwnego, że Shayne wcale się nie ucieszył, kiedy mu powiedziała, że zaczekali na niego z obiadem. Nie było na co czekać. Ale Shayne zdawał się nie pamiętać o jednym - że do rozmowy potrzeba co najmniej dwóch stron, tymczasem on milczał tak samo uparcie jak jego dzieci.

Sydney przypomniały się te wszystkie rozmowy, które prowadziła przy stole z ojcem. To właśnie przy obiedzie wymieniali poglądy i dzielili się doświadczeniami. Była to jej ulubiona pora dnia.

W tym domu obiad przypominał raczej wymyślną torturę.

Na początku także milczała, bo wydawało jej się, że jako obca osoba nie ma prawa ingerować w ich zwyczaje, jakiegokolwiek by one były. Później jednak zdała sobie sprawę, że po prostu nie ma tu żadnych zwyczajów.

Czy oni naprawdę zamierzają zjeść cały posiłek bez jednego słowa? Kiedy Shayne odstawił wazę z zupą, Sydney chrząknęła.

Spojrzał na nią pytająco. Wskazała wzrokiem wazę z miną, której nie potrafił zrozumieć. Wzruszył ramionami i nadal milczał.

Sydney westchnęła, a potem zwróciła się do Sary:

- Zupa była pyszna, Saro. Myślę, że to dzięki tej dodatkowej szczypcie soli.

Co ona próbowała dać mu do zrozumienia? Że chce, żeby powiedział coś na temat zupy?

- Tak, zupa rzeczywiście była bardzo smaczna. Sara rozpromieniła się.

- Mama pozwalała mi czasem pomagać w kuchni. Mak ze złością odsunął talerz.

- Zupa jest za słona - zwrócił się do ojca wyzywającym tonem.

- To mogła być ryba - wtrąciła szybko Sydney, pragnąc zażegnać konflikt w zarodku. -

Może dodałam za dużo soli do panierki. - Niczego takiego nie zrobiła, ale w tym przypadku kłamstwo było usprawiedliwione. Uśmiechnęła się do chłopca. - Przepraszam cię, Mak.

Chłopiec umilkł, zdumiony. Nie przywykł do tego, żeby dorośli go przepraszali. A już na pewno nie przywykł do tego, by go pytali o zdanie. Wzruszył ramionami i mruknął:

- Nie ma za co. Ta ryba wcale nie była taka słona. - Spojrzał na siostrę. - A zupa była w porządku.

- Naprawdę? - Sara spojrzała na niego z uwielbieniem.

- Przecież ci powiedziałem, no nie? - burknął Mak.

- Rzeczywiście, powiedziałeś - szybko przyznała Sydney, nie chcąc, by rozmowa zesłała na śliskie tory. Spojrzała na Shayne'a. Jak dotąd, poza wymuszoną pochwałą nie odezwał się ani słowem. Postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę. - No więc, jak minął ci dzień?

- Jak minął mi dzień? - powtórzył zdumiony.

- Właśnie - odparła ze sztuczną swobodą.

O co jej tym razem chodziło? Był zbyt zmęczony, żeby łamać sobie nad tym głowę. Nałożył na talerz kawałek ryby.

- Jak każdy inny - mruknął i zabrał się do jedzenia.

Czy rzeczywiście był taki małomówny, czy po prostu taki uparty?

- Nic ciekawego nie zdarzyło się w klinice? Żaden przypadek nie został ci w pamięci?

Shayne podniósł wzrok na Sydney. Na moment ich oczy się spotkały. Po co zadawała mu te wszystkie pytania? Niby czemu miałyby interesować się jego pracą? Przecież nawet się nie znali. Co mogli ją obchodzić jego pacjenci? Ich także nie znała.

- Nie - odparł.

Co za trudny człowiek! Wprawdzie Ben uprzedzał ją, że jego brat jest małomówny, ale nigdy by nie podejrzewała, że aż do tego stopnia. Jeżeli ktoś potrzebował tu pomocy, to na

pewno doktor Shayne Kerrigan.

- Nie operowałeś nikogo?

Mak wychylił się do przodu. Słowo „operować” przypomniało mu program, który oglądał kiedyś w telewizji.

- A może ktoś nadział się na haczyk na ryby? - zapytał Mak. Po raz pierwszy w jego głosie nie było wrogości.

- Nie - odparł Shayne, czując, że swoją odpowiedzią sprawił chłopcu zawód. - Dziś nie - dorzucił. - Za to w zeszłym tygodniu miałem pacjenta, który przebił sobie haczykiem kciuk.

Po raz pierwszy od dwóch miesięcy Shayne poczuł na sobie skupiony wzrok syna.

- Kciuk? Czy to bardzo bolało? - z lękiem zapytała Sara. Mak spojrział na nią z pogardą.

- Pewnie, że bolało, ty głuptasko. Spróbuj sobie wbić haczyk w palec, to sama zobaczysz.

- Mak, nie mów tak do siostry - przerwał mu ostro Shayne. Krucha więź została przerwana. Chłopiec hałaśliwie odsunął talerz.

- Nie jestem już głodny. - Z wyzywającą miną spojrział na ojca. - Mogę odejść?

Shayne chciał, żeby syn został przy stole, ale wiedział też, że wszelkie dyskusje na ten temat są z góry skazane na niepowodzenie. Machnął ręką bez słowa.

Mak wybiegł z pokoju.

Sara zaczęła się kiwać, ze wzrokiem wbitym w talerz.

- Ty też możesz już iść - zwrócił się do niej Shayne. Starł się mówić łagodnym tonem, ale dziewczynka poczuła się urażona i w jednej chwili także zniknęła.

Sydney zaczekała, póki nie była całkiem pewna, że dzieci jej nie usłyszą, a potem spojrzała na Shayne'a, który siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie trzeba było ich przeganiać - powiedziała cicho.

Rozdrażniony niemożnością nawiązania kontaktu z własnymi dziećmi, Shayne zaatakował jedyny cel, jaki pozostał w pokoju, czyli Sydney.

- Nie przypominam sobie, żebym pytał cię o radę.

Ona natomiast nie przypominała sobie, żeby ktoś kiedykolwiek patrzył na nią równie onieśmielającym wzrokiem.

- Nie, ale to nie znaczy, że jej nie potrzebujesz - stwierdziła. Shayne z hałasem odsunął krzesło.

- Droga pani, przyjąłem cię pod swój dach tylko dlatego, że mój brat wyciął ci brzydki numer. Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

- Wcale nie chcę nadużywać niczyjej cierpliwości. Chcę ci tylko pomóc. Shayne zerwał się i rzucił serwetkę na stół. Co za dzień! Chyba najgorszy w jego życiu.

- Jeśli będę potrzebował twojej pomocy, to o nią poproszę. Sydney także wstała.

- Nie. Wiem, że nigdy nie poprosisz. - Nawet bez listów Bena to wiedziała. Widziała jego uparty wzrok. - Trzy osoby w tym domu nieustannie zadają sobie ból. Tylko że ty jesteś dorosły i to ty pierwszy musisz wyciągnąć rękę do dzieci. Inaczej nigdy nie przestaniecie ranić się nawzajem.

Shayne zawsze pilnie strzegł swojej prywatności. Nie lubił, gdy ktoś obcy wtrącał się w jego życie.

- Ben nie wspominał mi, że jesteś również filozofem.

- Bo nie jestem - powiedziała, nie zrażona jego sarkazmem. - Jestem tylko człowiekiem, do tego obcym, ale może właśnie dlatego widzę z zewnątrz więcej niż wy z bliska.

- Niepotrzebnie zadajesz sobie tyle trudu.

- To żaden trud - odparła, z determinacją unosząc brodę. Shayne odetchnął głęboko, próbując powściągnąć gniew. Co ona sobie właściwie wyobraża? Że będzie nim rządzić?

Zresztą może rzeczywiście trochę się zagalopował? Może ona jednak ma rację? Jak dotąd jego stosunki z Sarą i Makiem tkwiły w martwym punkcie. A ta krótka namiastka rozmowy przy stole była najdłuższą ze wszystkich dotychczasowych prób.

Patrzył w milczeniu na Sydney. Chyba naprawdę w takich sytuacjach radziła sobie znacznie lepiej niż on.

- Sara ci pomagała? Sydney skinęła głową.

- Tak, sama się do mnie zgłosiła. A Mak wniósł mi na górę walizkę.

Nie do wiary, pomyślał Shayne. Przecież Mak był dotąd jak skała. Nawet Benowi trudno było sprawić, żeby chłopiec choć trochę się otworzył.

- Mak?

- Mak - potwierdziła z triumfalnym uśmiechem.

- Coś podobnego! - mruknął Shayne.

Może więc jednak cuda się zdarzają? Potarł w zamyśleniu kark. Może to tylko kwestia czasu i cierpliwości? A także właściwego podejścia? Wyglądało na to, że ta kobieta ma takie podejście.

Stary zegar na kominku wydzwonił ósmą. Zegar należał niegdyś do jego matki i był przekazywany w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Ósma? Właściwie to jeszcze wcześniej, ale w jego pojęciu już późno. Spojrzał na Sydney. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Pomyślał, że powinna odpocząć po ciężkich przejściach minionego dnia.

- Miałaś ciężki dzień - powiedział łagodnie. - Idź już spać. Sydney z uśmiechem uniosła

brwi.

- Odsyłasz mnie do łóżka?

Było mu wszystko jedno, czy pójdzie sobie, czy zostanie. I tak zamierzał jeszcze poczytać.

- To tylko propozycja.

- W tym wypadku całkiem słuszna. - Na stole zostały brudne talerze, ale Sydney nagle poczuła, że uszły z niej wszystkie siły. Poza tym Shayne powiedział przecież, że nie chce jej pomocy. Wobec tego zostawi mu tę robotę.

- Chyba rzeczywiście pójdę się położyć - powiedziała. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Za plecami usłyszała brzęk talerzy. To Shayne sprzątał ze stołu. Zatrzymała się.

- Pomóc ci?

- Nie.

- Tego się właśnie spodziewałam - mruknęła, bardziej do siebie niż do niego. Była już u stóp schodów, kiedy Shayne zawołał:

- Panno Elliot! Spojrzała przez ramię.

- Tak?

Shayne stał ze wzrokiem wbitym w stos brudnych talerzy. Zachował się w stosunku do niej bardzo niegrzecznie i wiedział o tym. To przecież nie jej wina, że znalazła się na polu bitwy. A skoro trafiła tam wbrew własnej woli, próbowała tylko sprostać sytuacji.

- Moim zdaniem Ben popełnił kapitalny błąd.

Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jak rozpaczliwie pragnęła usłyszeć coś takiego i jak wielką przyjemność sprawiły jej jego słowa. Uśmiechnęła się do czubka jego pochylonej głowy.

- Dziękuję.

Shayne milczał. Jak na siebie, już i tak powiedział o wiele za dużo.

ROZDZIAŁ 6

Shayne z westchnieniem odłożył książkę. Dłuższe siedzenie i udawanie, że czyta, nie miało już sensu. Od kwadransa wpatrywał się wciąż w tę samą stronę, nie mogąc zrozumieć jej treści.

Nie miał głowy ani do Dumasa, ani do tajemniczego księcia, który zaginał w wirach historii. Podniósł się z fotela i podszedł do jednej z półek tworzących ramę wokół kominka, po czym odłożył oprawny w skórę tom na swoje miejsce. Niestety dzisiejszego wieczoru książka nie pomogła mu oderwać się od rzeczywistości.

Zazwyczaj, gdy długa, polarna noc spowijała świat, Shayne potrafił zapomnieć o

napięciach minionego dnia, zatracając się na kartach książek, które kolekcjonował od wielu lat.

Jednak dzisiejszy wieczór był inny. Tego wieczoru nic nie było w stanie uwolnić go od stresu połączonego z uczuciem rozdrażnienia i dziwnego, niczym nie usprawiedliwionego niepokoju.

Niepokoju, który zaczął się w momencie, gdy wszedł do domu i zobaczył Sydney stojącą przy kominku. Ilekroć zamknął oczy, jawiła mu się pod powiekami jak ucieleśnienie dawnych snów. Snów o domu z kominkiem. I o rodzinie.

W miarę upływu lat stał się zbyt wielkim realistą, żeby wierzyć w sny. Dawno już zrozumiał, że świat to miejsce niezbyt przyjazne człowiekowi, a życie jest ciężkie i wymagające.

Zaczął krążyć po pokoju, ale napięcie nie ustępowało.

Może to po prostu reakcja na najświeższy wybryk Bena? Nawet jeśli jego wyjazd miał być tylko chwilowy, pozbawił go fachowej pomocy w klinice, obarczając w zamian osobą, z którą Shayne nie wiedział, co począć.

Tutaj, na Alasce, na siedmiu mężczyzn przypadła jedna kobieta. Prawdopodobnie wielu facetów nie miałyby problemu, co robić z tak atrakcyjną kobietą. Shayne jednak nigdy nie był zwolennikiem przypadkowych związków. Dlatego też tak głęboko przeżył odejście Barbary.

Pomyślał, że gdyby miał skłonność do alkoholu, pewnie upiłby się w sztok tej nocy. Ale nawet gdyby naszła go taka chęć, nie miałby po temu możliwości. Lekarz nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, jak picie w środku nocy. Zwłaszcza jeśli był jedynym lekarzem w promieniu stu mil.

Skoro nie miał się na kim oprzeć i nie mógł się napić, a książki nie pomagały, pozostawał jeszcze sen.

O ile uda mu się zasnąć tej nocy.

Kilkoma zręcznymi ruchami zgasił ogień na kominku, a potem po kolei pogasił wszystkie światła, zostawiając tylko małą lampkę w korytarzu na piętrze.

Kiedy wchodził na górę, jego myśli mimowolnie powędrowały ku kobiecie, która wprowadziła tyle zamętu w jego życie. Pewnie już spała kamiennym snem. Jak długo zamierzała pozostać w jego domu? Mógł tylko mieć nadzieję, że niezbyt długo. Miał wystarczająco wiele spraw na głowie i bez tej nieszczęsnej ofiary lekkomyślności Bena.

Słyszał trzask gałęzi, uderzających w okno na końcu korytarza. Wiatr wzmagął się z godziny na godzinę i wył teraz potępieńczo w koronach drzew otaczających dom. To jeszcze bardziej powiększało rozdrażnienie Shayne'a.

Przystanął na podeście i spojrzał na drzwi pokoi położonych naprzeciw jego sypialni. Pokoi Maka i Sary. Co noc, kiedy kładł się spać, zaglądał do nich, ale tylko wtedy, gdy miał pewność, że jego dzieci już śpią.

Na początku robił to, żeby się upewnić, że po tylu latach rozłąki mają wreszcie pod swoim dachem. Z czasem zagładanie do ich pokoi stało się jego zwyczajem, choć prawdę mówiąc, nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robi. Chyba z jakiejś wewnętrznej potrzeby, żeby ujrzeć ich buzie odprężone i pozbawione wrogości.

Najpierw uchylił drzwi do pokoju Maka. Chłopiec leżał na brzuchu, z kołdrą skopaną na nogi. Shayne podszedł na palcach do łóżka i ostrożnie naciągnął kołdrę na chude ciało synka. Sypia jak Ben, zamieniając łóżko w pole bitwy, pomyślał Shayne, uśmiechnął się i wyszedł po cichu z pokoju.

Zbliżając się do drzwi Sary, usłyszał przyciszony głos Sydney. A może mu się tylko zdawało? Wyteżył słuch. Głos brzmiał jednak zbyt prawdziwie, żeby mógł być grą wyobraźni. Zaintrygowany, otworzył drzwi.

Sara leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, trzymając Sydney za rękę. Wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie.

Co ta kobieta robiła w pokoju jego córki?

Dopiero po chwili zobaczył na kolanach Sydney otwartą książkę. Jedną z książek Sary.

Sydney usłyszała go, gdy tylko otworzył drzwi. Odwróciła się z palcem przytkniętym do ust, jakby chciała go ostrzec, żeby nie budził małej. Potem znowu spojrzała na śpiące dziecko - widocznie chciała się upewnić, czy Sara śpi - i ostrożnie wysunęła dłoń z jej rączki.

Wstała i ruszyła ku drzwiom. Jej ruchy były płynne i niespieszne, jak na zwolnionym filmie. Shayne patrzył jak zahipnotyzowany, gdy sunęła na palcach przez pokój.

Kiedy podeszła do niego, cofnął się, żeby ją przepuścić. Wyszli na korytarz. Sydney zamknęła cicho drzwi i odwróciła się w jego stronę. Stali teraz naprzeciw siebie, niemal się stykając.

Jej ciało znajdowało się zaledwie na odległość oddechu.

I o ten oddech za blisko.

Shayne nie cofnął się, choć czuł, że powinien. Zamiast tego, ścisząc głos, by nie obudzić dzieci, zapytał:

- Co robiłaś w pokoju Sary?

To chyba jasne, pomyślała. Mimo to wyjaśniła:

- Sara miała koszmary. Usłyszałam, że płacze przez sen, więc ją obudziłam. Była przestraszona. Miało to jakiś związek z burzą i ze śmiercią matki. - Przypomniała sobie

przeżalone spojrzenie dziewczynki. - Nie rozumiałam wszystkiego, ale musiało to być coś bardzo nieprzyjemnego. Obiecałam jej, że zostanę z nią, póki nie zaśnie, i pomyślałam sobie, że najlepiej będzie jej coś poczytać. - Poklepała z uśmiechem trzymaną w ręku książkę. - Z doświadczenia wiem, że to zawsze działa.

Ilu dzieciom czytała tak przed zaśnięciem? Shayne chciałby to wiedzieć. I dlaczego nie miała własnych dzieci? Czy poza urodą posiadała jeszcze jakieś zalety? Wciąż nie był w stanie pojąć, jak taka kobieta mogła nawiązać korespondencyjny romans z kimś, kogo nigdy nie widziała. Przecież w jej życiu musieli już być jacyś mężczyźni. Co się z nimi stało?

- Nie słyszałem jej - przyznał.

- Bo ona nie krzyczała, tylko cicho płakała. - Słowa Sydney zagłuszał stukot okiennic, poruszanych wiatrem. - A te hałasy też są przerażające. - Skinęła głową w stronę okien. - I mogą zagłuszyć płacz dziecka. Usłyszałam ją tylko dlatego, że mój pokój jest obok jej sypialni. Na dole nie mogłeś jej usłyszeć.

Właściwie powinien jej być wdzięczny za to, że poszła uspokoić Sarę. Ale nie przywykł do tego, by ktoś chciał mu pomóc. To raczej zawsze on udzielał innym pomocy.

- Dziękuję ci - mruknął.

Uśmiechnęła się, uśmierzając tym uśmiechem jego podejrzliwość. Poczul rozlewające się w jego piersi ciepło.

- Nie ma za co - odparła. - Jak już mówiłam, lubię dzieci i ich towarzystwo wcale mnie nie męczy.

Skoro sobie wszystko wyjaśnili, nie było o czym mówić. Mimo to Shayne dziwnie się ociągał z odejściem. Nie chciał tak od razu rozstawać się z Sydney, więc tkwił nadal w tym samym miejscu, coraz bardziej zażenowany. A ona patrzyła na niego ciepło tymi swoimi niebieskimi oczami.

W końcu Shayne chrząknął, jakby miało mu to pomóc w uporządkowaniu myśli, które były w tej chwili bardzo chaotyczne. Czyżby był aż tak bardzo zmęczony?

- Myślałaś już o tym, co chcesz robić? Mam na myśli szukanie pracy. O ile oczywiście nadal zamierzasz tu zostać.

Nie zabrzmiało to dobrze. Nie po raz pierwszy Shayne boleśnie odczuł własną nieumiejętność prowadzenia konwersacji.

Słuchając go, Sydney pomyślała, że powinni byli porozmawiać o tym wcześniej, na przykład przy stole, kiedy żadne z nich nie było jeszcze tak zmęczone.

- Miałam nadzieję, że ta posada w klinice, o której wspominał mi Ben, jest jeszcze wolna - powiedziała, zastanawiając się jednocześnie, czy nie jest to z jej strony nadmierna pewność

siebie. Kiedy wcześniej o tym wspomniała, pan doktor nie wydawał się zachwycony.

Shayne pomyślał o minionym dniu i o tym, jak ciężko mu było bez pary dodatkowych rąk do pomocy. A gdyby tak ją zatrudnił, choćby na okres próbny? W końcu co miał do stracenia? Paliła się przecież do pracy, poza tym lepszy rydz niż nic.

Zmierzył Sydney wzrokiem, od stóp do głowy. Miała na sobie jedwabną koszulę nocną, która oblepiała ją jak druga skóra.

Tak, chyba trzeba będzie ją zatrudnić, pomyślał z narastającym rozdrażnieniem. Ale teraz pora kończyć tę rozmowę. Jest już późno, a on musi rano iść do pracy.

- Ta propozycja jest wciąż otwarta - oświadczył. - Moglibyśmy spróbować, chociaż przez kilka dni, żeby zobaczyć, co z tego wyjdzie. Ja zazwyczaj zaczynam o ósmej.

- Ósma jest w porządku - odparła szybko Sydney.

- Asia przychodzi na siódmą i pilnuje Maka i Sary po moim wyjściu. - Słowa padały z jego ust jak rozkazy. Jakby był tu dowódcą. Mówiąc to, sam siebie nie rozumiał. Po co podawał jej te wszystkie szczegóły? Przecież nie musiała ich znać.

- Nie chciałabym się wtrącać w nie swoje sprawy - odezwała się Sydney - ale co z ich nauką?

Omam nie parsknął śmiechem. W sam raz pytanie jak na osobę, która nie chciała się wtrącać. Nie jej interes.

- Uczą się, uczą - zapewnił ją sucho. - Asia zabiera Maka i Sarę do miasta. Shirley Kellogg, żona właściciela domu towarowego, uczy okoliczne dzieci przez trzy godziny dziennie.

- Trzy godziny? - Pomyślała, że to niewiele, zwłaszcza gdy dzieci są niezdyscyplinowane. Z doświadczenia wiedziała, że większość czasu traci się wtedy na próby zażegnania konfliktów. Ile może się dziecko nauczyć w takiej atmosferze?

- To zupełnie wystarczy, jeśli lekcje są prowadzone na odpowiednim poziomie - zapewnił ją pośpiesznie, bo wydało mu się, że w jej pytaniu usłyszał krytyczną nutę.

Sydney miała na ten temat własne zdanie, ale na razie wołała zachować je dla siebie. Zwłaszcza że bardzo chciała dostać tę pracę u Shayne'a.

- Może masz rację - mruknęła.

Zapadła cisza. Korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie, Shayne obrócił się na pięcie i zanim Sydney zdążyła powiedzieć coś, co znowu by go zatrzymało, pożegnał się szybko:

- Zobaczymy się rano.

- Do zobaczenia, do rana - odparła.

Bez względu na to, co mówiła poprzedniej nocy, ósma wcale nie była w porządku.

Uświadomiła to sobie w chwili, gdy dźwięk budzika wyrwał ją z głębokiego snu. A jeśli ósma nie była w porządku, to co dopiero wpół do szóstej?

Wprawdzie sama zgodziła się na tę godzinę, ale zrobiła to wieczorem, kiedy była pełna energii i chciała jak najprędzej pchnąć swoje życie na nowe tory. Teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

Mimo wciąż ponawianych postanowień, że będzie wstawać wcześniej, Sydney nigdy nie należała do rannych ptaszków. Potrafiła czasem się zmusić do ранnego wstania pod warunkiem jednak, że za oknem panował już dzień.

Tymczasem tutaj za oknami panowały nieprzeniknione ciemności.

Pewnie to wina budzika. Albo go źle nastawiła, albo się zepsuł.

Z głową wciąż pełną snu sięgnęła po zegarek, tłumiąc w sobie impulsywną chęć, by rąbnąć nim o podłogę. A on, jakby robiąc jej na złość, dzwonił i dzwonił w ciemnościach.

Ten przeraźliwy dźwięk rozsadzał jej czaszkę. Nagle drzwi jej pokoju otworzyły się. Światło z korytarza oświetliło drobną postać w piżamce.

- Sydney? Nie śpisz już?

Walcząc z sennością, uniosła głowę z poduszki, próbując zidentyfikować głos. Po chwili jej się to udało.

- Sara?

Usiadła i odrzuciła włosy, które zasłaniały jej oczy. Odetchnęła głęboko.

- Tak, już nie śpię, kochanie - wymamrotała. Sara wsunęła się do pokoju.

- Co to za hałas?

Sydney wreszcie udało się zatrzymać wzrok na tarczy zegara. Podpierając się jedną ręką, drugą wcisnęła guzik. Nareszcie! Z westchnieniem oparła się o wezglowie łóżka.

- To coś, co sobie kupiłam, żeby się jeszcze bardziej denerwować. Sarze wydało się to bez sensu, ale zdążyła już polubić Sydney i chciała wszystko zrozumieć.

- Ale dlaczego?

- To długa historia - mruknięła Sydney i roześmiała się na widok zaskoczonej miny Sary. - To budzik, kochanie. Nastawiłam go, bo chciałam dziś wcześniej wstać. - Westchnęła, ponieważ uświadomiła sobie, że rzeczywiście będzie musiała wstać. - Mam trudności z porannym wstawaniem.

Sara rozważała przez chwilę jej wyznanie.

- Jeżeli chcesz, mogę cię budzić codziennie rano - powiedziała, zaglądając Sydney w oczy.

- Na pewno robiłabyś to lepiej niż ten stary budzik - przyznała Sydney. Uśmiechnęła się

do małej. - To miło z twojej strony, Saro. Kto wie, może skorzystam z twojej propozycji?

Zadowolona z komplementu, dziewczynka zapytała:

- Czy dzisiaj też z nami zostaniesz? - W jej głosie zabrzmiała nadzieja. Sydney ogarnęło wzruszenie.

- Nie. Jadę z twoim tatą do kliniki. Będę z nim pracować. Ale wrócę wieczorem.

- Będziesz tam pracować jak wujek Ben?

- Niezupełnie. Nie jestem lekarką - odparła. Powiedziała to z żalem, z którego dotąd nie zdawała sobie sprawy.

- Załóżę się, że gdybyś tylko chciała, mogłabyś zostać lekarką. Co za urocze dziecko! Sydney chwyciła dziewczynkę w objęcia i mocno ją uściskała.

Sara zaczęła się wiercić i kręcić, chichocząc z zadowoleniem. Sydney przytuliła ją do piersi. Dziewczynka śmiała się teraz na cały głos i nieoczekiwanie ucałowała ją w oba policzki.

W tym momencie Sydney zupełnie straciła głowę i pocałowała złocistą główkę Sary.

- Dziękuję ci, kochanie. Bardzo mi tego brakowało. Strasznie chciałam, żeby ktoś mnie uściskał.

Dziewczynka wdrapała się jej na kolana.

- Naprawdę potrzebujesz, żeby ktoś cię uściskał?

- Każdy tego potrzebuje. - Tylko że niektórzy ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, dodała w myślach. Na przykład pewien doktor. - A ty nie?

Sara energicznie pokiwała głową, jej loki podskakiwały jak złote sprężynki.

- Ale nie wszyscy tego potrzebują - oświadczyła. - Na przykład Mak. Albo mój tata.

- Chyba się mylisz. Oni również bardzo tego potrzebują. A twój tata pewnie najbardziej. - Sydney sięgnęła po szlafrok, ale kiedy zobaczyła pełen powątpiewania wzrok dziewczynki, wyjaśniła: - On tylko nie umie o to poprosić. Wiesz co - dodała, wstając z łóżka - spróbuj go uściskać, gdy zejdziesz na dół. - Narzuciła szlafrok i zawiązała pasek. - Sprawisz mu bardzo miłą niespodziankę.

Sara przechyliła główkę i zmarszczyła brwi.

- Tak myślisz?

Sydney ze śmiechem rozwichrzyła jej włosy.

- Tak myślę.

Shayne patrzył na zegarek i zastanawiał się, czy powinien obudzić Sydney. A może, zgodnie z zapowiedzią, powinien wyjechać sam o ósmej. Była już siódma trzydzieści. Jeżeli Sydney rzeczywiście zamierzała jechać z nim do kliniki, powinna już być na dole. Pewnie

zaspała, pomyślał. Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczać do wstawania po ciemku. Może jej organizm nie zdołał się jeszcze przestawić na tutejszy czas. W końcu przyleciała aż z Nebraski.

Zresztą pewnie i tak nie byłoby z niej wiele pożytku. A on bardzo nie lubił, kiedy ktoś mu zawadzał.

Na górze skrzypnęły schody. Shayne odwrócił się i podniósł wzrok, ale zamiast Sydney zobaczył swoją córeczkę. Mak pewnie został w swoim pokoju, żeby - jak zwykle - uniknąć porannego spotkania.

- Dzień dobry, Saro.

- Dzień dobry - odparła, a potem pociągnęła go za rękaw, żeby się nachylił.

Nie wiedząc, czego ma się spodziewać, Shayne ukląkł.

- Coś się stało, Saro?

Nie odpowiedziała, tylko przygryzła wargi. A potem zarzuciła mu rączki na szyję i z całych sił go uściskała.

Na moment osłupiał. Czy coś się stało? Może się czegoś przestraszyła? Spojrzał jej w twarz, ale miała pogodną buzię. Tylko w jej oczach mignęło coś jakby niepewność.

- Co to ma znaczyć?

Sara zawahała się. Może źle to zrobiła?

- Chciałam cię tylko uściskać, tatusiu.

- Wiem, ale dlaczego?

Jej serdeczny gest kompletnie go zaskoczył. Nie uściskała go nawet wtedy, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. A potem nie było już powodu - przynajmniej on go nie znalazł. Nigdy też nie nazwała go tatusiem. Kiedy ją widział po raz ostatni, miała pół roku. Był dla niej bardziej obcym człowiekiem niż tatusiem.

Sara ze zniecierpliwieniem zacisnęła usteczka. Czyżby Sydney się pomyliła? Może jej tata nie lubi, żeby go obejmować?

- Sydney mi powiedziała, że tego potrzebujesz.

- Naprawdę tak powiedziała? - Co ta kobieta sobie myśli? Jak na obcą osobę, zdecydowanie pozwala sobie na zbyt wiele. Choć właściwie w tym przypadku miała rację. - Powiem ci, że ona chyba ma rację - mruknął.

Delikatnie pogłaskał złociste włosy córeczki. Zalała go fala czułości. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu kontaktu z dziećmi i ich miłości.

Tuląc do piersi Sarę, zastanawiał się, jak to możliwe, że ta krucha istotka wyzwoliła w nim tak potężne uczucia.

Oszołomiony tymi nowymi doznaniem, nie od razu uświadomił sobie, że nie są w pokoju sami. Podniósł wzrok i zobaczył Sydney. Stała w progu i patrzyła na nich z życzliwym uśmiechem. Nie słyszał nawet, kiedy schodziła po schodach.

Poczuł, że ma ściśnięte gardło. Chrząknął.

- Podobno tobie mam to do zawdzięczenia.

Sydney machnęła lekceważąco ręką.

- Jeżeli już chcesz komuś dziękować, to tylko Sarze. - Spojrzała w stronę kuchni. Nie dochodziły z niej żadne zapachy. - Śniadanie gotowe? Bo jeśli nie, mogę usmażyć naleśniki.

- Nie trzeba. Asia się tym zajmie.

Asia... Sydney pomyślała o wczorajszej zupie. Jedzenie po to, żeby przeżyć, a nie dla przyjemności. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie dziś, kiedy musiała stawić czoło porankowi bez słonecznego światła.

Zacząła się wycofywać z pokoju.

- Zobaczą, czy nie trzeba jej pomóc.

Shayne wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać. Sydney należała do ludzi, którzy słyszą tylko to, co chcą usłyszeć. Niech jej będzie, pomyślał. Na razie.

Sara patrzyła w ślad za nią, a potem spojrzała na ojca.

- Ona jest bardzo miła. Lubię ją - oświadczyła, a kiedy Shayne nie odpowiedział, przechyliła głowę i uważnie mu się przyjrzała. - A ty? Lubisz Sydney?

Chciała koniecznie, żeby potwierdził, postanowił jednak być z nią szczery. Tak, by wiedziała że zawsze może mu ufać.

- Jeszcze nie wiem - powiedział i spojrzał jej w twarz. Uśmiechała się, a w jej oczach błyskały radosne iskierki.

Nigdy jeszcze nie widział, żeby była tak ożywiona. Ulegając impulsowi, serdecznie ją uściskał. Sara, uszczęśliwiona, mocno się do niego przytuliła.

Ta kobieta, którą Ben wprowadził w ich życie, wiedziała czego chce, i umiała do tego dążyć. Może to i dobrze, pod warunkiem, że nie zacznie wchodzić mu w drogę.

ROZDZIAŁ 7

Co ci jest? - zapytał Shayne, marszcząc niecierpliwie brwi.

Spojrzał na mężczyznę, który siedział - a raczej niepewnie przycupnął - po drugiej stronie biurka.

Shayne i Klondyke LeBlanc przyjaźnili się od dziecka. Chodzili także razem do szkoły, co oznaczało wówczas siedzenie na podłodze w pełnej przeciągów chacie Faye Elliot i słuchanie,

jak czyta im na głos, przy akompaniamencie wycia polarnych wiatrów. „Ike”, bo tak nazywali go przyjaciele, wraz z Benem i Shayne'em należał do tej garstki idealistów, którzy nie uciekli z Alaski natychmiast po dojściu do pełnoletności.

Ike został współwłaścicielem Salty Saloon, gdy tylko zdołał zaoszczędzić odpowiednią sumę. Z czasem przejął lokal na własność i teraz prowadził go wraz z kuzynem, Jeanem Lukiem.

Ani Ike, ani Jean Luc nigdy nie chorowali. Z tego właśnie powodu Shayne patrzył teraz podejrzliwie na przyjaciela, który wyglądał jak okaz zdrowia.

Szerokie usta Ike'a rozciągnęły się w niepewnym uśmiechu. Unikał wzrokiem Shayne'a. Nie umiał kłamać, co niektórym wydawało się wadą, zwłaszcza w jego zawodzie.

- To ten kaszel, Shayne.

Ike walnął się w pierś i ostentacyjnie zakasłał. Podczas tego wzruszającego przedstawienia jego piwne oczy zezowały w stronę uchylonych drzwi, w nadziei ponownego ujrzenia pięknej nieznajomej, która urzędowała w rejestracji.

Shayne nie dał się nabrać.

- Niepokoi mnie raczej twoje kolano - powiedział, krzyżując ręce na piersi i kiwając głową.

- Moje kolano?! - Ike z niepokojem zmarszczył brwi.

- Tak. - Shayne wskazał wzrokiem nogę Ike'a. - Jeśli będziesz się tak wychylać, spadniesz z krzesła. - Shayne podszedł do drzwi i zamknął je. - Po co tak naprawdę przyszedłeś? - zapytał, jakby sam tego nie wiedział.

- Już ci mówiłem. To przez ten kaszel... - Ike uśmiechał się teraz od ucha do ucha. On i Shayne wypili razem niejedną beczkę piwa. A to wiąże mężczyzn na całe życie. - No i chciałem też obejrzeć twój nowy nabytek.

Zaczął z roztargnieniem zapinać koszulę. Skoro prawdziwy powód jego wizyty wyszedł na jaw, nie miał już po co udawać pacjenta.

- Takiej ładnej kobiety nie widziałem tu od... - Urwał i zaczął się zastanawiać, wpychając koszulę w spodnie. Podniósł się. Jak na mężczyznę tak potężnej postury, poruszał się lekko i z gracją. - Skąd ona się tu wzięła?

- Ty mi to powiedz - mruknął Shayne. - Jestem pewny, że plotki już krążą. - A zaczęły się z chwilą, gdy wysiadła na lotnisku w Hadesie, dodał w duchu.

- Krążą, krążą, ale ty pewnie wiesz najlepiej, skoro ona zamieszkała właśnie u ciebie - odparł Ike. - Sprowadziłeś ją tu? - Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie chodziło o Shayne'a. Korespondencyjne narzeczone nie były czymś niespotykanym w tych okolicach.

Ethan Parks, na przykład, także poznał w ten sposób swoją Emmę, a ich małżeństwo uchodziło za całkiem udane.

- Nie.

Shayne zdjął z szyi stetoskop. Prawdę mówiąc, pojawienie się Sydney przerwało monotonię jego codziennej praktyki. Od tamtego dnia miał mnóstwo pacjentów, choć nikomu z nich nic nie dolegało. Wszyscy za to cierpieli męki ciekawości.

Ta sama, niemal bolesna ciekawość, malowała się teraz na twarzy Ike'a.

- To Ben ją tu sprowadził - wyjaśnił Shayne. Ike gwizdnął cicho przez zęby.

- To ona jest Bena? - A potem nagle podrapał się po głowie. - Przecież on...

- Wyjechał z Lila. Tak, wiem. - Shayne pomyślał o liście, który wciąż trzymał w kieszeni kurtki. - Wiem...

Ike klepnął się po udach i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Niezły numer z tego Bena. Potrzebne mu aż dwie baby naraz?

Shayne nie widział w tym niczego śmiesznego.

- To nie tak. On uciekł z Lila. A tamta - skinął w stronę drzwi - postanowiła zostać tu na jakiś czas. To wszystko.

Ike z entuzjazmem zatarł ręce.

- Dobra, w porządku. - Włożył podbitą futrem kurtkę i nasadził kapelusz na głowę. - A tak przy okazji, jak ona się nazywa?

Shayne zdumiał się. Był pewny, że także i to wszyscy już wiedzą.

- Sydney.

- Sydney? - powtórzył z namysłem Ike, a potem się skrzywił. - Co za głupie imię dla kobiety. Zwłaszcza takiej ładnej kobiety. Gdybyś mnie pytał o zdanie...

- Nikt cię nie pyta o zdanie.

Ike spojrzał na niego przez zmrużone powieki.

- Coś ty dziś taki obraźliwy? Bardziej niż zazwyczaj. Co ci jest? - Nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie. - Chyba wy ze sobą nie...

- Nie! - pospiesznie przerwał mu Shayne.

Obawiał się, że jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo może dać początek nowym plotkom. A jego zdaniem mężczyźni byli znacznie większymi plotkarzami niż kobiety.

- Nie lubię, gdy ktoś przychodzi tu pod fałszywym pretekstem i zajmuje mi czas. - Podszedł do drzwi i wymownie spojrzał na Ike'a. - Od trzech dni nachodzą mnie tłumy zdrowych byków. Wszyscy kręcą coś o bólach brzucha, wypadających włosach, katarze i tak dalej... byle tylko tu przyjść i obejrzeć ją sobie.

- Co się dziwisz, Shayne. - Ike wcale nie dopatrzył się w jego słowach ironii. - Dostałeś piękną bombonierkę, pozwól ludziom przynajmniej powąchać. - Spojrzał na niego z wyrzutem. - Czekolada to rzadkość w tych okolicach. A co dopiero w takim eleganckim opakowaniu.

Kobiety zawsze były czymś pożądanym w Hadesie. Miasteczko żyło głównie z tartaku, w którym pracowali prawie wyłącznie mężczyźni. Oczywiście z wyjątkiem wdowy Turner, jego właścicielki, która zdążyła już pochować trzech mężów. Każda kobieta, która pojawiła się w Hadesie, stawała się z miejsca bardzo atrakcyjną partią.

Shayne często się zastanawiał, dlaczego Ike, który był tak bardzo wrażliwy na kobiece wdzięki, nie wyjechał z Alaski. A przynajmniej z Hadesu.

Z wyrozumiałym uśmiechem otworzył przed Ike'em drzwi.

- Uważaj, żebyś się nie potknął o własny język, jak będziesz wychodził.

Ike rzucił mu urażone spojrzenie, ale tak naprawdę nigdy się nie obrażał. Był na to zbyt dobroduszny i bezpośredni.

- Spokojna głowa... - zaczął, a potem nagle się ożywił. -Wiesz co? - Dźgnął Shayne'a palcem w pierś. - Moglibyśmy coś zrobić.

Shayne nie miał pojęcia, do czego Ike zmierza, ale trochę niezręcznie było mu zapytać. Zresztą nie musiał. Wiedział, że Ike i tak mu powie.

- No co? - mruknął.

- Wydajmy dla niej przyjęcie. Prawdziwą uroczystość. Niech wie, że jest tu mile widziana.

- Ike natychmiast zaczął snuć entuzjastyczne plany. - Może zechce zostać na zawsze?

Shayne'owi wcale nie spodobał się ten pomysł.

- Nie wydaje mi się... - zaczął.

Ale Ike już nie popuścił. Wyszedł do poczekalni i nachylił się nad biurkiem, przy którym urzędowała Sydney.

- Cześć, kotku. Nie miałabyś ochoty przyjść na przyjęcie? - zapytał z promiennym uśmiechem.

- Na przyjęcie? - zdumiała się Sydney.

- Tak. - Ike spojrział przez ramię na Shayne'a, jakby spodziewał się z jego strony wsparcia.

- Przyjęcie na twoją cześć.

Sydney nie od razu zrozumiała. Ona także spojrzała na Shayne'a, ten jednak nie kwapił się z wyjaśnieniami.

- Na moją cześć?

Jeden z mężczyzn siedzących w poczekalni głośno wyraził swoją aprobatę.

Shayne pomyślał z politowaniem, że połowa pacjentów gotowa była wykorzystać każdy pretekst, byle tylko się napić. Czy można było im się dziwić? Większość z nich nie знаła innych rozrywek po ciężkim dniu pracy w tartaku niż wypicie kilku piw w Salty Saloon, w towarzystwie kumpli.

- Tak. W Hadesie mieszkają bardzo mili ludzie. - Ike chrząknął i wyprostował się. Boże, pomyślał, jak ona ślicznie pachnie. - Najwyższa pora poznać sąsiadów. Co ty na to? Dziś wieczorem o szóstej?

- Dziś wieczorem? - Kiedy zapadła taka decyzja? Czy Shayne maczał w tym palce? Jeden rzut oka na zaszępionego Shayne'a powiedział jej, że nie była to jego inicjatywa. Brat Bena nie należał do ludzi, którzy lubią duże towarzystwo i hałaśliwe imprezy. - Czy to trochę nie za szybko?

- Tutaj trzeba kuć żelazo póki gorące - powiedział ze śmiechem Ike i mrugnął do niej znacząco. - Shayne też wie coś niecoś na ten temat. A jeżeli cię nie przywiezie, kotku - oświadczył - to ja sam po ciebie przyjadę.

W proggu zatrzymał się i rozejrzał po poczekalni, wypełnionej stałymi bywalcami jego baru.

- Wszyscy jesteście zaproszeni. Oświadczenie to spotkało się z ogólną aprobatą. Ike odwrócił się i wycelował palcem w Sydney.

- Do zobaczenia wieczorem, kotku.

- Co za miły człowiek - odezwała się Sydney, kiedy za Ike'em zamknęły się drzwi. Jego zaimprovizowane zaproszenie sprawiło jej przyjemność.

Shayne patrzył przez okno, póki Ike nie zniknął mu z oczu.

- Może i tak - mruknął.

Sydney spojrzała na niego zaintrygowana.

- Masz na jego temat inne zdanie?

- Nie. Ale wiem, o co mu chodzi.

- O co?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Shayne rozejrzał się po poczekalni. Wszystkie krzesła były zajęte, a ci, którzy przyszli później, podpierali ściany albo siedzieli na podłodze. On sam z trudem mógł przejść między pacjentami.

Uznał, że pora oczyścić pole działania.

- Słuchajcie wszyscy, to jest Sydney Elliot, ale nie ma nic wspólnego z Faye Elliot - oznajmił gromkim głosem. - Zostanie tu przez jakiś czas jako moja asystentka, póki nie przekona się na własnej skórze, jak tu cholernie zimno, i nie wyjedzie. Jeżeli chcecie ją sobie

obejrzeć, zróbcie to gdzie indziej, a mnie nie zajmujcie czasu i miejsca. - Podszedł do drzwi i otworzył je. Lodowate powietrze wtargnęło do poczekalni, on jednak nadal trzymał drzwi otwarte na oścież i czekał. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby wszyscy ci, którzy nie są naprawdę chorzy, opuścili poczekalnię. Potrzebuję miejsca dla prawdziwych pacjentów.

Z pomrukiem niezadowolenia większość mężczyzn wstała i wyszła na dwór.

Przechodząc obok Sydney, niektórzy z nich żegnali się i wyrażali nadzieję, że zobaczą ją wieczorem w Salty Saloon.

Wreszcie wszyscy wyszli i Shayne zamknął drzwi. Poczekalnia opustoszała.

- Wiem, że to twoja klinika - odezwała się Sydney - ale mógłbyś traktować ich trochę uprzejmiej.

Shayne nie znosił krytyki, nawet konstruktywnej. Teraz poczuł się naprawdę dotknięty. Jakim prawem Sydney go poucza? Przecież on zna tych ludzi znacznie dłużej niż ona.

- Uprzejmością nie zaszedłbym z nimi daleko - burknął. Trzeba ich gonić jak stado mułów.

- Skoro tak twierdzisz... - Pomyślała, że chciałaby to zobaczyć. - A tak na marginesie, mylisz się.

Czyżby znowu zamierzała się kłócić?

- Powiedziałem już, że to jedyny możliwy...

- Nie - przerwała mu Sydney, potrząsając głową. - Nie o to mi chodzi. Mam na myśli pokrewieństwo z Faye Elliot.

Musiał przyznać, że go zaskoczyła. Faye Elliot nigdy nie wspominała o żadnej rodzinie poza ojcem, wielbnym Elliotem, który zmarł wiele lat przed urodzeniem Shayne'a.

- Jesteś spokrewniona z Faye Elliot? Sydney skinęła głową.

- Była ciotką mojego ojca. Od czasu do czasu pisywała do niego z Alaski. - Wciąż pamiętała, z jakim podnieceniem czytywała korespondencję od ciotki. W jej listach Alaska jawiła się jako daleka, egzotyczna kraina. Uśmiechnęła się. - Mam do dziś wszystkie jej kartki i listy. - Były to długie, ciekawe listy, pełne opisów trudnego, pionierskiego życia. Przychodziły rzadko, co kilka lat, kiedy już zaczęli myśleć, że ciotka Faye o nich zapomniała.

- Zawsze wyobrażałam ją sobie jako odważną kobietę-pioniera, która po śmierci ojca postanowiła wziąć swój los we własne ręce.

Ciotka Faye wyjechała na Alaskę z ojcem pastorem, by szerzyć wiarę wśród tubylców. Jej ojciec często powtarzał, iż zamiast ratować ich dusze, tak jak planował, uratował własną, nabierając nowej chęci do życia.

Shayne oparł się o biurko i patrząc na Sydney, próbował dopatrzeć się podobieństwa między nią a tamtą drobną, dumną kobietą, która nauczyła go czytać i pisać i często snuła barwne opowieści.

Może w ustach jest jakiś rys podobieństwa, pomyślał. Pamiętał mocno zaciśnięte usta panny Faye, ilekroć usiłowała wydobyć z ucznia właściwą odpowiedź. W taki właśnie sposób Sydney patrzyła na niego na lotnisku.

- Ludzie powiadają, że jej ojciec zamarzył, kiedy próbował dotrzeć do chorego dziecka w odległej wiosce. - Shayne potrząsnął głową i znowu spojrzął na Sydney. - Więc jesteś krewną panny Faye?

Rozbawiła ją jego zaskoczona mina. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie dowiedział się w sekrecie, że dwa plus dwa jest pięć.

- Chyba już to mówiłam.

- Była moją nauczycielką. Moją pierwszą nauczycielką - dodał. A także jedną z najlepszych osób, jakie znał. Ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział jej uśmiech. Sprawiała wrażenie osoby, która nosi w sercu jakąś zadawnioną ranę.

- Jaki ten świat jest mały - westchnęła Sydney. I staje się coraz mniejszy, pomyślał Shayne.

- Posłuchaj, może później chciałabyś...

Drzwi frontowe trzasnęły, zagłuszając jego słowa.

Do poczekalni wpadł wysoki mężczyzna o oszalałym spojrzeniu. Na rękach trzymał krzyczące dziecko, może pięcioletnie. Mężczyzna miał twarz i ubranie zalane krwią. Dopiero po chwili Sydney udało się zlokalizować źródło krwawienia. Lewa rączka chłopca owinięta była ręcznikiem, nasączonym krwią. Shayne podszedł i wziął chłopca na rękę.

Rozpaczliwe krzyki dziecka odbijały się echem od ścian poczekalni.

- Panie doktorze, to jego ręka, jego palec... - W głosie mężczyzny zabrzmiała histeria. - A mówiłem, żeby tego nie dotykał!

- Co się stało? - Shayne musiał podnieść głos, żeby ich przekrzyczeć.

- Nie wiem! - odparł mężczyzna, nie odstępując Shayne'a ani na krok. - Bawił się z kolegami. Pokazywał im mój sprzęt wędkarski. Aż tu nagle usłyszałem jego krzyk i zobaczyłem tryskającą krew.

Sydney podeszła do przerażonego ojca i położyła mu rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uspokajającym tonem. - Proszę tu poczekać. - Zastawiła sobą drzwi do gabinetu. Nie chciała, żeby przeszkadzał Shayne'owi. - Niech pan tam nie wchodzi.

- Przecież to mój syn!

Sydney twardo spojrzała mu w oczy.

- Nikt w to nie wątpi. Jeżeli pan chce, żeby pańskiemu synowi udzielono pomocy, to proszę nie przeszkadzać.

Przez moment obawiała się, że mężczyzna odtrąci ją i siłą wdrze się do gabinetu, on jednak nagle zwiesił głowę i bezradnie opuścił ramiona.

- To mój chłopak... on mnie potrzebuje - powiedział z rozpaczą.

- Ale jeszcze bardziej potrzebuje spokoju. - Sydney cofnęła się do drzwi, patrząc, czy mężczyzna za nią nie idzie. - Poradzimy sobie z jego palcem - zapewniła go trochę na wyrost.

Odwróciła się i wbiegła do gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rozłożyła świeże prześcieradło na stole operacyjnym.

- Narzędzia proszę... - zaczął Shayne, kładąc chłopca.

- Tu są. - Pchnęła wózek z narzędziami.

Chłopiec krzyczał coraz głośniej, teraz już nie tylko z bólu, ale i ze strachu. Poderwał się, jednak Sydney chwyciła go za prawą rączkę i zacisnęła dłoń wokół jego nadgarstka.

- Popatrz na mnie - powiedziała łagodnie. Chłopczyk nie przestawał się wyrywać. Nie można było dać mu zastrzyku. Podniosła wzrok na Shayne'a.

- Jak on się nazywa?

- Joseph. - Shayne otworzył nowe opakowanie rękawic chirurgicznych i naciągnął je na ręce.

- Joseph, popatrz na mnie - powtórzyła cicho, lecz stanowczo, a kiedy chłopczyk nie zareagował, wolną ręką ujęła go za podbródek i odwróciła ku sobie jego buzię. - Wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie? Doktor Shayne wyleczy twój palec. To nie będzie bolało. Zobaczysz.

Jej oczy napotkały krytyczny wzrok Shayne'a.

- Obiecuję ci - powtórzyła.

Chłopcu te zapewnienia były bardzo potrzebne. Oddychał z trudem, zmęczony krzykiem. A kiedy Shayne napełniał strzykawkę, zadrzał.

- Nie, nie chcę zastrzyku! To boli! To boli! - rozszlochał się mały.

Sydney serce podeszło do gardła. Widziała już wiele skaleczeń u dzieci, ale nigdy nie asystowała przy opatrywaniu tak poważnego obrażenia.

Puściła rączkę chłopca i objęła go, próbując dodać mu odwagi.

- Wiem, że teraz cię boli. Miałeś bardzo poważny wypadek - mówiła szybko, starając się odwrócić uwagę chłopca od Shayne'a, który przygotowywał zastrzyk znieczulający. - Pan

doktor ci pomoże i nie będzie cię więcej bolało. Będiesz miał też wielką bliznę. Zobacysz, jak koledzy będą ci zazdrościć. Jednak najpierw musisz przestać płakać, żeby pan doktor mógł ci pomóc.

Łzy jak groch popłynęły po policzkach chłopca. Joseph skinął głową.

- Pan doktor zszyje ci teraz palec, żebyś mógł się znowu bawić. Ale musisz być grzeczny, dobrze?

Łzy wciąż płynęły, ale już wolniej, i chłopiec zaczął się uspokajać. A gdy po kilku minutach zadziałał środek znieczulający, przymknął oczy i zrobił się senny.

Przez cały ten czas Sydney nie przestawała mówić do niego o wszystkim, co tylko mogło go, jej zdaniem, zainteresować, póki zabieg nie dobiegł końca.

Sydney odetchnęła dopiero wtedy, gdy Shayne przekazał oszołomionego, zabandażowanego Josepha w ręce ojca. Potem poklepał mężczyznę po plecach.

- Myślę, że nie powinno być żadnych trwałych uszkodzeń. Przywiózł go pan w samą porę.

Lany Elder przytulił synka do piersi.

- Proszę mu dzisiaj podawać po dwie tabletki środka przeciwbólowego co cztery godziny.

- Shayne wyjął z szafki buteleczkę i przesypał z niej do koperty osiem białych pigułek. Potem ostrożnie zakleił kopertę i wsunął ją Elderowi do kieszeni na piersi. - Wkrótce mały poczuje się lepiej. A jeśli nie, będę chciał go zobaczyć. Natomiast jeśli wszystko pójdzie dobrze, proszę go przywieźć za cztery dni. Zmienię mu wtedy opatrunek i obejrzę szwy.

Po każdym jego poleceniu Larry Elder kiwał z przejęciem głową.

- Tak, tak, dobrze. I jeszcze raz dziękuję. - Jego ciemne oczy napełniły się łzami. - Naprawdę.

- Po to tu jestem - odparł Shayne. - A na przyszłość proszę pilnować swojego sprzętu wędkarskiego - dodał.

Zamknął drzwi za Elderem i pomyślał, że wydał już ostatnie pigułki kodeiny. Będzie musiał wybrać się do szpitalnej apteki w Anchorage po nowe zapasy.

Odwrócił się i zobaczył, że Sydney mu się przygląda.

- Dobra robota - powiedziała z uznaniem. Wzruszył ramionami. Nie nawykł do komplementów.

- Dziękuję - mruknął, bo nagle uświadomił sobie, że podczas trwania zabiegu Sydney ani na chwilę nie straciła głowy, co nagminnie zdarzało się jej poprzednicze. Sydney Elliot sprawiała wrażenie osoby, która, gdy trzeba, potrafi zachować zimną krew. Może te jej opowieści, że chciała zostać lekarzem, nie były pozbawione podstaw. - Myślę, że to samo mógłbym powiedzieć o tobie.

- Owszem, gdybyś zechciał - odparła.

Ta kobieta umie ciągnąć za język, pomyślał z niezadowoleniem.

- No więc chcę. Świetnie się spisałaś. Wspaniale uspokajałaś tego chłopca. Miałaś rację, dzieci rzeczywiście cię lubią.

- Dorośli na ogół też - oświadczyła z uśmiechem. Pomyślał o mężczyznach, których wcześniej wyprosił z poczekalni.

- Zdążyłem to zauważyć. - Przeczesał palcami włosy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Rozumiem, że masz ochotę wybrać się dziś do Salty Saloon?

Sydney zdumiała się, że w ogóle o to zapytał. Ale Shayne był tego typu człowiekiem.

- Jak mogłabym nie przyjść? Przecież mam być honorowym gościem. - Spojrzała mu w twarz. - Pójdiesz ze mną?

Shayne znowu wzruszył ramionami.

- Chyba będę musiał. Lokal będzie pełen strasznie napalonych facetów. Będziesz potrzebowała kogoś w rodzaju ochroniarza.

Tak więc, chcąc nie chcąc, miał zostać jej rycerzem. Ta myśl nawet jej się spodobała. Ale za nic nie chciała, by sobie pomyślał, że jest jakąś bezradną istotą, której trzeba strzec. Bo ona dawno już przestała być bezradna.

- Sama potrafię o siebie zadbać.

Shayne powoli zaczynał w to wierzyć. Jednak póki Sydney mieszkała pod jego dachem, czuł się za nią odpowiedzialny.

- Tak czy owak pójdę.

- Będzie mi miło - powiedziała Sydney z uśmiechem.

Jej może tak, pomyślał Shayne, ale problem tkwił w tym, czy jemu będzie miło. Wcale nie był tego taki pewny.

A jeśli mimo wszystko będzie się dobrze bawił? Nagle przeraził się tej myśli.

ROZDZIAŁ 8

Shayne'owi ani trochę nie podobał się sposób, w jaki Jean Luc patrzył na Sydney - zupełnie jak wygłodniały wilk na bezbronną owieczkę. A jeśli już miałby być całkiem szczerzy, nie podobało mu się również i to, jak patrzyli na nią wszyscy pozostali mężczyźni, stłoczeni w barze.

Jeden z bliźniaków McGregorych wpadł z impetem na Sydney, kiedy przepychał się przez otaczający ją tłum. Wszyscy chcieli zbliżyć się do niej choćby na chwilę. Shayne'owi przypominali stado fok, walczących o najlepsze miejsce na oświetlonej słońcem skale.

Sydney była jedyną kobietą na sali. Samo w sobie nie było to może takie dziwne, ale Shayne był coraz bardziej poirytowany.

Tymczasem Sydney sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej z okazywanych jej względów. Nie flirtowała wprawdzie jak Lila, dziewczyna Bena, ale Shayne widział Lilę po raz ostatni kilka lat temu, kiedy była jeszcze podlotkiem, wypróbowującym swoje wdzięki na mężczyznach.

Sydney jednak nie była już podlotkiem, lecz dojrzałą kobietą, w pełnym rozkwicie swojej urody.

Shayne mocniej zacisnął palce na uchu kufła i pomyślał, że była narzeczona jego brata nie musi wypróbowywać na nikim swoich wdzięków, bo jest ich w pełni świadoma.

Grająca szafa, pełna płyt z piosenkami z poprzedniego sezonu, na próżno próbowała zagłuszyć gwar podniesionych głosów i śmiechów, wypełniających szeroki drewniany budynek.

Shayne dziwił się, że mimo tych wszystkich hałasów słyszy wybijający się ponad wszystko śmiech Sydney, mimo iż nie był on ani zbyt głośny, ani zbyt piskliwy. Był za to upajający.

Jak zapach jej perfum.

Jak spojrzenie jej oczu.

Podniósł kufel do ust, ale zaraz go odstawił. Na widok Nilsa O'Hary, szepczącego dziewczynie coś do ucha, zapomniał o piwie. W odpowiedzi na słowa O'Hary Sydney roześmiała się, a dźwięk jej śmiechu boleśnie przeszył uszy Shayne'a. Coś poruszyło się w jego duszy, ale nie miał pojęcia, co by to mogło być. Podobnego uczucia doświadczył, gdy zgubił się kiedyś w szybie opuszczonej kopalni, z której udało mu się wyjść dopiero po dwóch dniach. Z głodu ssało go wtedy w żołądku, który sprawiał wrażenie przyrośniętego do grzbietu.

Teraz też doświadczał podobnych cierpień. Tyle że znacznie gorszych.

Skrzywił się z niesmakiem. W końcu to nie jego sprawa, co ona robi. Ale oczywiście nie musi mu się to podobać.

I wcale mu się nie podoba.

- Następnym razem, kiedy będziesz się widział z bratem, podziękuj mu ode mnie - odezwał się stojący za kontuarem Ike.

Shayne uniósł wzrok.

Ike ścierał właśnie z blatu wyimaginowaną plamę. Polerował drewno w każdej wolnej chwili, gładząc je jak obsesyjny kochanek. Nawet w przerwach pomiędzy nalewaniem

drinków. Widać było, że kochał to miejsce.

Shayne spojrział na bursztynowy płyn, pieniący się w kuflu, a potem podniósł wzrok.

- Za co mam mu podziękować? - zapytał, siląc się na spokój. Tego wieczoru miał wielkie kłopoty z utrzymaniem w ryzach swojego temperamentu. A przecież na ogół przychodziło mu to bez trudu.

Ike roześmiał się.

- Nie pamiętam już, kiedy interes szedł tak dobrze jak dzisiaj. Chyba wtedy, kiedy zamieć zaskoczyła w barze grupę pracowników tartaku. Wypili podczas tej burzy wszystko, co było.

- Ike pamiętał, że pieniądze nie mieściły mu się w kasie. - Kiedy pogoda wreszcie się poprawiła, wszyscy byli pijani w sztok.

- Na jego twarzy ukazał się wyraz rozmarzenia. - Musieliśmy z Jeanem Lukiem rozwozić ich do domów, ale opłaciło się. To właśnie wtedy zarobiłem na grającą szafę i antenę satelitarną.

Shayne spojrział na uśmiechniętego Ike'a.

- Cieszy mnie twoja radość.

Jean Luc obsługiwał gości na drugim końcu baru. Ike spojrział na brata i uznał, że może zrobić sobie chwilową przerwę. Przestał polerować kontuar i nachylił się do Shayne'a.

- Co cię gryzie, bracie? - zapytał. - Jakies kłopoty z Benem?

Shayne nie miał ochoty rozmawiać o swoim stanie ducha. Nie zamierzał otworzyć serca nawet przed kimś, z kim był tak bardzo zżyty.

- Można by tak powiedzieć - odparł wymijająco.

- Miałeś od niego jakieś wiadomości?

- Nie, jeszcze nie.

Prawdę mówiąc, wcale się ich nie spodziewał. Ben i Lila wyjechali zaledwie przed tygodniem. Ben na pewno mocno przeżywał zmianę stanu cywilnego. Za jakiś czas pewnie zadzwoni, ale Shayne nie zamierzał czekać aż tak długo.

- To nawet lepiej - powiedział Ike. - Przynajmniej coś ci zostawił. - Wskazał wzrokiem Sydney.

Ike'owi udało się pokonać trudy Alaski dzięki optymistycznej naturze, która pozwalała mu widzieć wszystko z lepszej strony. Nawet w najgorszych opałach zawsze był dobrej myśli.

- To kobieta, Ike - ostro powiedział Shayne. - Nie koszula. Ike spojrział ku Sydney, otoczonej gronem wielbicieli. Patrzył

na jej ruchy, na jej spojrzenia. Taka kobieta potrafi sprawić, że każdy mężczyzna zapragnie domu, pomyślał.

- Chętnie bym ją tu zatrzymał - mruknął z podziwem. I wtedy zobaczył wyraz oczu Shayne'a. Zdarzało mu się już widywać takie spojrzenie, wyraźnie mówiące „nie wchodź na mój teren”. No, no... kto by się spodziewał? - Będziesz musiał się zdecydować, Shayne - oświadczył.

Shayne spochmurniał. Czego ten Ike od niego chce?

- O co ci chodzi?

Ike udał, że nie słyszy groźnych tonów w jego głosie. Ilekroć czuł, że powinien porozmawiać z Shayne'em, robił to bez wahania. Nawet wtedy, gdy się dowiedział, że jego przyjaciela porzuciła żona. Całe miasto unikało tego tematu, tylko nie on.

Spojrzał Shayne'owi w oczy.

- No to chcesz ją czy nie? - zapytał wprost.

Jakim prawem Ike podejrzewa go o jakiegokolwiek zamiary w stosunku do tej kobiety? - pomyślał Shayne.

- Za dużo sobie wyobrażasz, Ike. Jak już mówiłem...

- Wiem, co mówiłeś - przerwał mu Ike. - Twoja mina świadczy o czym innym - ciągnął dalej Ike, ośmielony tym, że przyjaciel nie skoczył mu jeszcze do gardła. - Moim zdaniem ona uświadomiła ci, że jesteś mężczyzną z krwi i kości, a nie tylko miejscowym konowalem.

Co za bzdura! Skąd u Ike'a takie podejrzewania? Shayne machnął ręką, krzywiąc się z niesmakiem.

- Co ty wygadujesz!

Ike z westchnieniem pokiwał głową.

- Zrobisz, jak zechcesz. - Spojrzał na wciąż pełny kufel Shayne'a. - Masz zamiar to wypić, czy dalej będziesz się modlił nad swoim piwem? Robisz to już od dwóch godzin.

Kątem oka Shayne dostrzegł, że siedzący trzy stołki dalej mężczyzna podniósł rękę, żeby przywołać Ike'a. Wskazał go przyjacielowi.

- Zobacz, Ike, ktoś jednak chce coś zamówić. Mnie wystarczy to, co mam.

Ike wyszedł zza kontuaru, mrucząc coś pod nosem.

Po jego odejściu Shayne dumął jeszcze przez jakiś czas nad swoim piwem, aż wreszcie podniósł kufel do ust i pociągnął długi łyk. Tego wieczora piwo miało dziwnie gorzki smak.

Znowu spojrzał w stronę Sydney. Otaczał ją nowy krąg wielbicieli.

Przełknął i pomyślał, że może to nie piwo, tylko jakaś gorycz w ustach.

Ale to i tak bez znaczenia.

Ktoś przepchnął się obok niego, próbując przejść do toalety. To dziwne, ale tego wieczoru nie wila się przed nią długa kolejka. A przecież Ike otworzył już trzecią beczkę.

Chyba jednak przyjaciel miał rację. Było tu dziś mnóstwo ludzi. Nigdy jeszcze nie widział w Salty Saloon takich tłumów.

Hades liczył sobie zaledwie pięć tysięcy mieszkańców. Shayne miał wrażenie, że tego wieczora w tym niewielkim budynku zgromadziło się dwie trzecie miasta.

Nacisk rozgrzanych ciał powoli stawał się ponad jego siły. Robiło się coraz bardziej gorąco. Zdjął kurtkę już przed godziną, ale i tak czuł, że zaczyna spływać potem. Musi zaczerpnąć trochę powietrza, nawet gdyby miał zamarznąć na dworze. Musi wyjść. Choćby na kilka minut.

Podjął decyzję. Zdjął kurtkę z haka i zaczął się wolno przepychać ku drzwiom. Czuł się jak łoś pływający w górę strumienia i zderzający się z ławicą dążącą w przeciwnym kierunku.

Sydney przez cały wieczór nie spuszczała z niego oka, bez względu na to, z kim właśnie rozmawiała. Teraz rozmawiała z siedmioma braćmi Rileyami jednocześnie, a także z ich kuzynami, pracownikami tartaku, w wieku od siedemnastu do siedemdziesięciu lat. Mimo to zdążyła dostrzec, że Shayne zmierza w kierunku drzwi.

Shayne wychodzi! Myśl ta rozpaczliwie kołatała jej w głowie. Czyżby miał zamiar iść do domu bez niej? Nie może do tego dopuścić. A może Shayne w ogóle zapomniał, że ją tu przyprowadził? Ale ona nie pozwoli się porzucić po raz kolejny. Dwa razy w ciągu jednego tygodnia... I o dwa razy za dużo.

- Przepraszam - mruknęła do mężczyzny, który blokował jej drogę. Próbowała go obejść, ale nie było to wcale łatwe.

Najmłodszy z braci Rileyów, który uchodził za wielkiego podrywacza, również nie chciał jej puścić.

- Już wychodzisz? - zapytał.

- Zostań jeszcze trochę - odezwał się ktoś za jej plecami. - Jest jeszcze wczesnie.

Była już w połowie drogi do wyjścia. Spojrzała przez ramię i zapytała z uśmiechem:

- Skąd wiesz?

Odpowiedział jej gromki wybuch śmiechu, który ścigał ją przez całą drogę do drzwi, podczas gdy mężczyźni rozstępowali się, żeby jej zrobić przejście.

Kiedy wyszła na dwór, mróz natychmiast zaczął ją szczypać w policzki. Miała uczucie, jakby weszła pod lodowaty prysznic. Ciepły kokon, który otaczał ją jeszcze przed chwilą, nagle pękł, wystawiając ją na ataki mrozu.

Trzęsąc się z zimna zaczęła ciasno zawijać poły puchowej kurtki, którą w pośpiechu zapomniała zapiąć. Co gorsza, dopiero teraz zauważyła, że wychodząc, posiadała gdzieś rękawiczki. A przecież pamiętała, że schowała je do kieszeni.

Trzasnęły drzwi.

Shayne odwrócił się, kiedy uderzyła go fala głosów, która zaraz potem przycichła. Na widok Sydney zdumiał się. Po co wyszła na dwór?

- Masz już dość tych godowych tańców?

- Godowych tańców? - Zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się to określenie.

- Tak - odparł, a widząc jej minę dodał: - Tych żalosnych prób zbliżenia się do ciebie. Już ci się znudziło?

Był zły i Sydney podświadomie czuła, że to z jej powodu. Czym znowu go uraziła?

- Przecież nie po to tu przyszłam - odparła. Drżała, bo mróz wciskał jej się pod kurtkę. Czemu ten człowiek zawsze musi wszystko widzieć z najgorszej strony? Jest taki inny niż jego brat. A jednak Ben odszedł, on zaś był na miejscu. I zaproponował jej dach nad głową oraz pracę, która tak wiele dla niej znaczyła. Jej wzrok złagodniał. - Przecież oni tylko próbowali być mili.

- Akurat, mili - mruknął Shayne. Czy to się tak nazywa w dzisiejszych czasach? Parsknął śmiechem. - Jeszcze trochę i zaczęliby cię wszyscy zapraszać na nocleg.

Sydney uniosła głowę i zmrużyła oczy. Miała dość obu doktorów Kerriganów. Tego nieobecnego i tego na miejscu, który świadomie nie chciał być miły.

- Co usiłujesz mi dać do zrozumienia, Shayne?

- Nic - burknął, odwracając wzrok. Już i tak powiedział za dużo.

Jednak ona nie dała się tak łatwo zbyć.

- Zapomniałam, że ty z natury nie jesteś rozmowny. Ale to chyba nie znaczy, że również nie myślisz?

- O ile mi wiadomo, mężczyźni wolno myśleć i mieć swoje własne zdanie.

Przecież nie zrobiła nikomu krzywdy. Po prostu dobrze się bawiła. Czy to aż taka zbrodnia, zważywszy na to, przez co musiała przejść na skutek lekkomyślności jego brata? Czemu on od niej chce? Czemu ciągle zachowuje się tak, jakby miał jej coś za złe?

- Oczywiście, że tak - powiedziała. - Masz je wypisane na twarzy. Mimo to chciałabym je usłyszeć.

Ich spojrzenia się spotkały -jego chmurne, jej pełne zniecierpliwienia.

- A po co? Jeżeli mam je wypisane na twarzy, to już je znasz. Co za nieznośny, irytujący facet!

- Czy ty ślubowałeś, że będziesz się porozumiewał tylko półsłówkami? - zapytała, czując, że ogarnia ją gniew. - W życiu nie spotkałam człowieka, z którego tak trudno byłoby wydusić bezpośrednią odpowiedź.

Miała takie piękne oczy. Nawet w półmroku. Hipnotyzujące. Nie wolno mu poddać się ich mocy.

- Udzielam bardzo prostych odpowiedzi. I nie kłamię. Więc na przyszłość, zanim zapytasz, upewnij się, czy chcesz usłyszeć odpowiedź.

A więc wystawiał ją na próbę.

- Mam wrażenie, że niezbyt mnie lubisz - powiedziała, chowając ręce pod kurtkę, bo palce zaczynały jej drętwieć z zimna.

Shayne nie chciał, żeby jego odpowiedź zabrzmiała zbyt osobiście. Nie był na to przygotowany.

- Nie mam nic przeciwko tobie - mruknął. Skoro tak, wniosek nasuwał się sam.

- To znaczy, że nie lubisz płci przeciwnej - oświadczyła.

- Nie żywię uprzedzeń do żadnej płci - odparł. Starał się, jak mógł, jednak utrzymywanie kontaktów z tą konkretną przedstawicielką płci przeciwnej okazywało się wyjątkowo trudne.

- Nie jestem taki jak ci faceci... - skinął głową w stronę baru - nie strzelam do wszystkiego, co się rusza. Nie szukam też miłości ani towarzystwa. I bardzo nie lubię, kiedy ludzie robią z siebie durniów. To wszystko.

Nie chciała potraktować jego wypowiedzi jak obelgi, ale chyba zamierzał ją obrazić. Jakie miał prawo, żeby ją osądzać? Zmrużyła oczy.

- Mówisz o mnie czy o nich?

Żar, który wygnał Shayne'a na dwór, dawno już wygasł. Pomyślał, że jeśli jemu jest zimno, to co dopiero Sydney. Stała przed nim w rozpiętej kurtce i bez rękawiczek. Co za bezmyślność. Pewnie zostawiła rozum wśród tych naparzonych kozłów. Gotowa się rozchorować. Po co mu dodatkowa pacjentka? Tylko tego mu jeszcze potrzeba.

- I o tobie, i o nich. - Marszcząc z niezadowoleniem brwi, zbliżył się do Sydney, chwycił poły jej kurtki i jednym energicznym ruchem zapiął suwak. - Gdzie masz rękawiczki? - zapytał.

Zwracał się do niej, jakby była małym dzieckiem. I tak też się nagle poczuła.

- Nie wiem - przyznała zawstydzona. Potrząsając głową, zdjął własne i podał jej.

- Masz.

Były na nią o wiele za duże.

- Nie mogę zabierać ci rękawiczek.

Ale on już naciągał swoje rękawiczki na jej zziębnięte dłonie.

- Jeżeli masz dla mnie pracować, nie chcę, żebyś zaczynała od zwolnienia.

Sydney potrząsnęła głową, rozbawiona i zarazem jakby zawiedziona. Mogłaby to być

bardzo wzruszająca scena, gdyby Shayne nie zachowywał się jak skąpy pracodawca. Mimo to uśmiechnęła się.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że potrafisz wszystko zepsuć? Nawet najpiękniejsze momenty?

Kobiety rzeczywiście musiały pochodzić z jakiejś innej planety. Nie miał pojęcia, co tym razem chciała mu dać do zrozumienia.

- Jakie znowu momenty? - zapytał, czując jednocześnie, że wraca to dziwne i niewytłumaczalne uczucie rozdrażnienia. Nagle zadał sobie pytanie, co on właściwie robi? Zamiast siedzieć w samochodzie, stoi tu z tą kobietą i patrzy na nią. I zagląda jej w oczy.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że znalazł się w pułapce. Sydney tak go omotała, że chyba nie zdoła już się wyzwolić spod jej uroku.

Czuł, że zaczyna gubić wątek. I sam także się gubi.

- Chcę ci dać jedną radę - powiedział, usiłując myśleć logicznie. - Przestań się perfumować. Niedźwiedzie reagują na zapach perfum i wody kolońskiej. To je przywabia.

- Nie używam ani perfum, ani wody kolońskiej.

A więc to był jej naturalny zapach. Shayne aż jęknął w duchu.

Rozdrażnienie ustąpiło miejsca impulsywnemu pragnieniu, które przyszło nie wiadomo skąd i nie zamierzało ustąpić. Opanowało go podstępnie i zawładnęło całym jego jestestwem.

Pomyślał, że ilość piwa, jaką wypił, nie wystarczyłaby nawet, by upić chomika. Nie mógł zrzucić winy za to, co się miało za moment stać, na alkohol.

Winien był on sam, jako mężczyzna. Nic już nie było w stanie go powstrzymać. Naciągnął Sydney na ręce swoje rękawice, po czym chwycił ją w objęcia z zamiarem uczynienia czegoś, czego na pewno będzie gorzko żałował.

Ale i tak to zrobił.

Czując, że puls rozsadza mu skronie, pochylił się i pocałował ją.

Może z czystej ciekawości... A może dlatego, że postradał rozum. No bo jaki rozsądny mężczyzna stałby na mrozie bez rękawiczek i całował jakąś prawie obcą kobietę?

Była to ostatnia rzecz, jakiej Sydney się spodziewała - i jednocześnie pierwsza na liście jej pragnień. Nagle poruszyło się w niej to wszystko, co dotąd pozostawało w stanie głębokiego uśpienia. Były tysiące powodów, dla których powinna kogoś pocałować.

I tylko jeden, dla którego oddała pocałunek temu mężczyźnie.

Ale w tym momencie nie myślała w kategoriach rozsądku czy wyjaśnień. W ogóle nie myślała, tylko całowała. I walczyła o życie, bo ziemia nagle usunęła jej się spod nóg.

Ramiona Shayne'a zacisnęły się wokół niej. Przytulił ją do siebie. Czuła, jak jego ciało reaguje na jej bliskość.

Całował ją, wciąż nienasycony, jego usta raz po raz atakowały jej usta - za każdym razem mocniej i bardziej natarczywie. Ofiarowywał samego siebie kawałek po kawałku - póki nie poczuł, że oddał się w całości.

Świadomość, że znalazł się na krawędzi przepaści, nagle go otrzeźwiła. Resztką sił oderwał wargi od ust Sydney.

Sydney, bardziej oszołomiona niż wtedy, gdy otworzyła oczy tego ranka, próbowała skupić na nim wzrok.

- Czy ten „moment” też zaraz zepsujesz?

- Co? - Shayne próbował uchwycić sens tego pytania, a potem przypomniał sobie jej wcześniejsze słowa. - Może i tak - burknął.

Dlaczego ciągle musiała zadawać mu pytania? I to takie, które rodziły w jego głowie nowe pytania? Nie chciał pytać, chciał odpowiedzi.

Cofnął się gwałtownie, próbując zebrać rozbiegane myśli. Nie udało mu się to jednak.

- Jesteś gotowa, żeby wracać do domu?

Sama nie wiedziała, na co była gotowa. Wiedziała tylko jedno - że jest o krok od popełnienia największego błędu w swoim życiu. Nie była jeszcze przygotowana na to, co się stało. Ani na to, żeby być z kimkolwiek. Ani nawet na pocałunki. A jednak pozwoliła, by Shayne ją całował, i sama oddała mu pocałunek.

I co teraz?

Czekając na odpowiedź, odwrócił wzrok.

Sydney zacisnęła usta.

- Tak - odpowiedziała.

Shayne ujął ją pod rękę i zaprowadził do samochodu. Zaczął padać drobny śnieg. Sydney odwróciła się i spojrzała w stronę baru.

- Może powinnam im powiedzieć, że wracam do domu? - Pomyślała, że nie wypada wychodzić tak bez słowa.

Shayne nie chciał, żeby tam wracała. Jeśli pójdzie się pożegnać, nie wiadomo, kiedy wróci.

- Nie przejmuj się nimi, sami się domyśla - zapewnił ją. Śnieg padał coraz większymi płatkami. Pogoda mogła się szybko popsuć, a on zamierzał dotrzeć bezpiecznie do domu. Nie chciał, żeby jego dzieci zostały na noc same. Nawet z Asią.

- Muszę rano wcześniej wstać, ale ty możesz pospać dłużej. - Otworzył przed Sydney drzwi, po czym obszedł wóz.

Spojrzała na niego, mrugając oczami. Na jej rzęsach osiadły drobniutkie płatki śniegu.

- Wyrzucasz mnie z pracy?

Zabrzmiało to jak kwestia z kiepskiego melodramatu. Właściwie powinien się z tego śmiać.

- Nie. - Tłumiąc w sobie natarczywą chęć sprawdzenia, jak smakują płatki śniegu topniejące na jej rzęsach, wsiadł do samochodu. - Muszę rano polecieć do Anchorage po kodeinę. - Jeśli pogoda na to pozwoli, dodał w duchu. - Ostatnie tabletki dałem Josephowi.

Sydney przypomniała sobie, że Shayne nie wziął pieniędzy od ojca chłopca. Był nie tylko dobrym lekarzem, ale i dobrym człowiekiem, choć wstydził się do tego przyznać.

- Mogę z tobą pojechać? - zapytała.

- Po co? - zapytał i spojrzał na nią podejrzliwie, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Myślałem, że nie lubisz latać.

- Właśnie dlatego - powiedziała i pomyślała, że pewnie uzna ją za stukniętą. - Nie chcę się więcej denerwować - wyjaśniła. - Chcę pokonać każdy rodzaj strachu. - Nie będzie już więcej niewolnicą emocji i uczuć. Żadnych uczuć. - Skoro mam zamiar zostać tu na dłużej, chyba powinnam się nauczyć prowadzić samolot.

Nie chciałbym lecieć tym samolotem, pomyślał Shayne, wyjeżdżając z parkingu.

- Nie nauczysz się niczego, siedząc na fotelu pasażera.

- Nie, ale mogłabym zająć miejsce pilota. - Odwróciła się i spojrzała na Shayne'a. Nawet z bliska nie potrafiła rozszyfrować wyrazu jego twarzy, ale mogła bez trudu odgadnąć, co myślał. - Mógłbyś mnie nauczyć.

- Mógłbym też przypiąć sobie skrzydła i polecieć - prychnął. Nie był przygotowany na taką prośbę. - Nie licz na to.

Sydney westchnęła. Co za trudny człowiek. Pomyślała, że podobnie jak nad Makiem, trzeba będzie jeszcze nad nim sporo popracować.

- Ciężko z tobą przebywać. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Wiedział, że to prawda, ale nie zamierzał iść na żadne ustępstwa.

- Nie - burknął.

Sydney oblizwała dolną wargę, czując smak ust Shayne'a. Pomyślała, że stoi przed nią wielkie wyzwanie. Jednak ona potrafi mu sprostać.

Odwróciła się i spojrzała na niego z łagodnym uśmiechem.

Shayne nie potrafił powiedzieć, dlaczego odniósł wrażenie, że Sydney wystawia go na próbę.

ROZDZIAŁ 9

Shayne prowadził swoją cessnę przez jedyne skupisko chmur, jakie można było dostrzec w promieniu wielu mil. Chmury były nieskazitelnie białe, jak leżący w dole śnieg.

Leciał z wiatrem i cieszył się każdą minutą lotu. Tylko podczas lotów miał czas, żeby się odprężyć. Tym razem, na szczęście, nie musiał się spieszyć, bo nikt go pilnie nie potrzebował. Mając niebo w górze i bezkresne połacie śniegu w dole, mógł się wreszcie oderwać od problemów, z którymi musiał sobie radzić na co dzień.

Tego dnia było jednak inaczej. Miał pewien problem. Chodziło o osobę, która zajmowała miejsce pasażera.

Już po raz kolejny.

Spojrzał w prawo. Sydney znowu siedziała obok niego, jak zawsze, kiedy leciał po nowe zapasy leków. Robiła to już co najmniej tuzin razy, odkąd wprosiła się na pierwszy lot przed kilkoma tygodniami. A on wciąż nie mógł zrozumieć, jak udało jej się namówić go na coś takiego.

W dniu, w którym po raz pierwszy pozwolił jej wsiąść do swojego samolotu, musiał raz na zawsze pożegnać się ze swoją prywatnością.

Nawet gdyby Sydney nie odzywała się ani słowem, już sama jej obecność wystarczała, by wypełnić cały kokpit. Emitowała z siebie fale, które wprawiały go w stan rozdrażnienia.

Może zresztą „rozdrażnienie” nie było właściwym słowem na określenie tego, co odczuwał przy każdym kontakcie z tą kobietą.

Poza tym Sydney rzadko milczała. Zasypywała go pytaniami. Świadczyło to wyraźnie o tym, że zrobiła wielki krok naprzód od pierwszych lotów, podczas których siedziała jak trusia, usiłując zapanować nad rozkołatym sercem. Widocznie, zgodnie z zapowiedzią, udało jej się pokonać strach i teraz próbowała wykorzystać każdą minutę podróży na naukę latania. I była równie zdecydowana zmusić go, żeby nauczył ją latać, jak on, żeby tego nie zrobić.

Widocznie, opierając się na doświadczeniach z poprzednich tygodni, doszła do wniosku, że jeśli będzie mówiła wystarczająco długo i z wystarczającym przekonaniem, osiągnie w końcu swój cel.

Ale on nigdy nie pozwoli jej dotknąć sterów swojej cessny.

Ku jego zdumieniu ta kobieta nie chciała się poddać. I to bez względu na to, czy ją ignorował, czy usiłował zniechęcić. Słowo „podać się” nie istniało dla niej. Podobnie jak słowo „zrezygnować”.

Sydney wychyliła się do przodu, żeby się przyjrzeć stadu dzikich gęsi, znikających za linią horyzontu. Zadziwił ją instynkt tych ptaków. Każdy z nich znał swoje miejsce w szyku, a ona wciąż nie mogła się odnaleźć w istniejącym stanie rzeczy. Ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że przeprowadzka do Hadesu to właściwy krok w tym kierunku.

Odwróciła się i spojrzała na surowy profil Shayne'a. Nie wyglądał na człowieka skłonnego do ustępstw, ale to tylko potęgowało jej determinację. Po wyjeździe Bena w okolicach Hadesu poza Shayne'em został już tylko jeden pilot. Ben Kellog był jednak zbyt zajęty, żeby móc jej dawać lekcje latania. W tej sytuacji była zdana wyłącznie na Shayne'a.

Kiedy mu zaproponowała, że zapłaci za lekcje, popatrzył na nią z kamienną twarzą. Mimo to postanowiła, że będzie tak długo próbować, aż Shayne wreszcie się zgodzi.

- Jestem pewna, że byłabym bardzo dobrym pilotem, gdybyś tylko dał mi szansę - oświadczyła.

Powinien był wiedzieć, że krótka przerwa w rozmowie wcale nie oznacza, iż Sydney się poddała. Wbił wzrok w bezkresny horyzont, choć w głębi ducha musiał przyznać, że jego pasażerka stanowiła znacznie wdzięczniejszy obiekt.

- To nie to samo co prowadzenie samochodu - odparł. Ile razy już jej to mówił? Ale ona nie chciała przyjąć tego do wiadomości. - Jeżeli raz się pomylisz, nie naprawisz już błędu. Pierwszy błąd to pierwszy krok ku katastrofie, Sydney.

Ona jednak zdawała się nie słyszeć tego ostrzeżenia, podobnie jak wszystkich wcześniejszych. Była zbyt niepoprawną optymistką, by zastanawiać się nad gorszym wariantem jakiegokolwiek sprawy.

- Nie zniechęcisz mnie - oświadczyła. - Będę miała przecież znakomitego nauczyciela, który przygotuje mnie na każdą ewentualność.

Shayne roześmiał się, potrząsając głową. Dobrze mu tak. Po co ją brał ze sobą? Przecież wiedział, że rozmowa znowu zejdzie na śliskie tory. Więc dlaczego się zgodził?

Odpowiedź nasuwała się sama, ale wołał jej nie zgłębiać.

- Pochlebstwem daleko nie zajdziesz - mruknął.

- No to czym? - zapytała po chwili.

Pytanie samo w sobie było niewinne. Mimo to wywołało falę gorąca, która rozlała się po całym ciele Shayne'a, prowokując zdecydowanie niepożądaną reakcję.

Nie odpowiedział. Tego rodzaju myśli oznaczały dodatkowe kłopoty, a on i tak miał ich zbyt wiele. Jedno nieopatrzne słowo wystarczy, by wkroczyć na drogę bez odwrotu. Nie chciał zakłócać tej wątej równowagi, którą ostatnio udało mu się osiągnąć. Wbrew jego przypuszczeniom Sydney nie tylko znakomicie spisywała się w klinice, ale również ochoczo

zajęła się uzupełnianiem wiedzy, jaką pani Kellogg przekazywała dzieciom. Nawet Mak zdawał się pilnie wyglądać wieczorów, kiedy mieli odrabiać lekcje z Sydney. Shayne musiał przyznać, że jego obawy się nie sprawdziły. Przyjmując Sydney pod swój dach, więcej zyskał, niż stracił.

Co oczywiście nie znaczyło, że liczył na jej stałą pomoc w klinice i przy dzieciach. Ale na razie ten stan mu odpowiadał.

Nawet jeżeli czasem jej głos, czytający Sarze bajkę, sprowadzał jego myśli na manowce, radził sobie z tym sam, nie dzieląc się z nikim swoimi myślami.

Usłyszał, jak Sydney gwałtownie wciąga powietrze do płuc. Zaraz zaleje go nowym potokiem słów. Mówiła bez względu na to, czy jej odpowiadał, czy nie. Sam już nie wiedział, co robić, ale był w sytuacji bez wyjścia.

Próbując zmienić temat, wskazał ciemną plamkę na nieskazitelnie białej śnieżnej płaszczyźnie.

- To chata panny Faye - powiedział. - O ile cię to interesuje - dodał. Wiedział jednak doskonale, że tak. Sydney zdawała się interesować wszystkimi sprawami, bez względu na ich przyziemność. A tutaj chodziło przecież o jej rodzinę. Tak przynajmniej twierdziła.

Sydney spojrzała we wskazanym kierunku. Wyciągnęła szyję i wyteżyła wzrok. Na białym tle dostrzegła samotny brązowy punkcik.

- To tutaj mieszkała? Shayne skinął głową.

- Tak. Podobno przez czterdzieści lat. - On sam mógł zaświadczyć o ostatnich osiemnastu.

Chatka natychmiast przykuła jej uwagę. Od dawna miała zamiar zapytać Shayne'a, czy dom ciotki Faye się zachował, ale tymczasem wydarzyło się tyle spraw, że zupełnie o tym zapomniała.

- Ktoś tam teraz mieszka? - zapytała. W okolicy nie widać było wprawdzie żadnych oznak życia, ale Sydney wiedziała już, że to o niczym nie świadczy. Jednak wokół chaty nie było śladów stóp, a jedna ze ścian była rozwalona. Gdyby ktoś tam mieszkał, na pewno by ją naprawił.

Po chwili chata zniknęła w tyle.

- Nie, od jej śmierci dom stoi pusty - odparł Shayne.

Z wysokości chata wydawała się taka mała i krucha. Jak sama ciotka Faye na fotografiach, pomyślała Sydney. Odwróciła się do okna.

- Może mnie tam zabierzesz któregoś dnia?

W pierwszej chwili chciał odmówić, ale potem pomyślał, że sam chciałby obejrzeć to miejsce. Nie widział go od piętnastu lat. Może uda mu się znaleźć czas na taką wyprawę.

Ostatnio miał go jakby trochę więcej. Było to zasługą Sydney, która bezboleśnie przejęła wszystkie sprawy związane z prowadzeniem kliniki - poza samym przyjmowaniem pacjentów.

Oczywiście próbowała i tego. W błahych przypadkach, takich jak katar czy drobne skaleczenia, uznała, że sama sobie poradzi. Brała się za wszystko, gdy tylko miała szansę być użyteczna.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że byłaby idealną żoną dla jego brata. Na pewno dobrze by nim pokierowała.

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli będzie taka możliwość...

Sydney natychmiast zwietrzyła okazję i z miejsca go zaatakowała:

- Gdybym umiała prowadzić samolot, nie musiałabym sprawiać ci kłopotu.

Shayne roześmiał się głośno.

- Już sama świadomość, że jesteś w górze, w moim samolocie, byłaby wystarczającym kłopotem. Z dwojga złego wolę już sam cię tam zawieźć.

W jej oczach pojawiły się błyski rozbawienia.

- Mam się cieszyć czy obrazić?

Znowu dopadło go to męczące rozdrażnienie, wywołane jej obecnością. Skoro jednak wiedział, że tak na niego działa, po co ciągle ją ze sobą zabierał?

- Masz wreszcie zamilknąć - powiedział bez przekonania. - Ale chyba nie ma na to zbyt wielkich szans, prawda?

W odpowiedzi Sydney tylko się uśmiechnęła.

Drzwi skrzypnęły, jakby chciały zaprotestować. Sara cofnęła się i chwyciła Sydney za rękę. Jej dotyk, nawet przez grube rękawiczki, dawał dziewczynce poczucie bezpieczeństwa. Wprawdzie jej ojciec i brat także tu byli, ale tylko Sydney potrafiła rozproszyć jej wątpliwości. I tylko ona rozumiała, czemu Sara tak się przestraszyła.

- To tylko pusta chata, kochanie - szepnęła Sydney, czując niepokój dziewczynki. - Stara, opuszczona chata.

Rozejrzała się dokoła. Wnętrze było pełne brudu, gruzu i połamanych mebli. Brakowało połowy schodów na stryszek, wiatr świstał w szparach między belkami, a jedna ze ścian była częściowo zawalona.

Trudno jej było wyobrazić sobie ciotkę mieszkającą w takiej ruderze. Jej listy były tak barwne i plastyczne. A teraz życie ciotki Faye zostało pogrzebane pod grubą warstwą

pajęczyn i kurzu. Sydney nawet nie przypuszczała, że tak daleko na północy można spotkać pająki. Zaczęła krążyć po chacie, próbując wyobrazić sobie czasy, kiedy wszystko wokół było nowe. Próbowała spojrzeć na ten dom oczyma ciotki Faye.

Przystanąła, żeby postawić przewrócone krzesło, ale znowu się przewróciło, bo jedna z nóg przegniła. Na widok przewracającego się krzesła Sara krzyknęła ze strachu.

- Dzidzius! - zarechotał Mak i zerknął spod oka na ojca, spodziewając się reprimendy.
- Wcale nie jestem dzidzius - oburzyła się Sara, mocniej ściskając Sydney za rękę.
- Oczywiście, że nie - powiedziała łagodnie Sydney. - To całkiem normalne, że się boisz.
- Czy ty naprawdę chodziłeś tu do szkoły? - zapytała Sara, z niedowierzaniem spoglądając na ojca.

Shayne stał przed wygasłym kominkiem, pogrążony we wspomnieniach. Tutaj właśnie siadywał, patrząc w roztańczone płomienie, gdy panna Faye czytała im albo opowiadała o dalekich krainach, które równie dobrze mogły leżeć na Księżycu.

Ale on lubił słuchać jej melodyjnego głosu.

Chata wydawała mu się wtedy taka duża. Zaczął niemal żałować, że w ogóle się tu wybrał. Wspomnienia należały do przeszłości i powinny pozostać nietknięte.

Odwrócił się od kominka.

- Tak, przychodziłem tu codziennie, póki nie stałem się na tyle duży, żeby pójść do szkoły w Shelbyville.

Spojrzał na Maka, który grzebał patykiem w kącie. To Sydney zaproponowała, żeby zabrać Sarę i Maka na tę wycieczkę. Shayne przystał na to bez przekonania, głównie dlatego, że Sara bardzo się zapaliła do tego pomysłu. Natomiast Mak, który nie miał ochoty nigdzie lecieć, przez całą drogę siedział w tyle kabiny z kwaśną miną. Teraz nagle się rozchmurzył.

Shayne podszedł do niego.

- Co tam znalazłeś?

Chłopiec podniósł wyblakłą, podartą fotografię, przedstawiającą kobietę na tle chatki. Podał ją ojcu.

- Tylko to - powiedział.

Shayne strzepnął grubą warstwę kurzu pokrywającą zdjęcie i uśmiechnął się. Sara podbiegła do niego i wspięła się na palce, żeby też je zobaczyć.

- Kto to? - zapytała.

- To panna Faye. - Shayne pochylił się i pokazał jej zdjęcie.

- Och, pokaż! - zawołała Sydney i szybko do nich podeszła. Pomyślała, że Shayne pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ciepło zabrzmiał jego głos. Musiał bardzo lubić swoją

pierwszą nauczycielkę. Wzruszyło ją to. Shayne nadal w zadumie wpatrywał się w fotografię.

Sara spojrzała na Sydney.

- Ona wcale nie jest do ciebie podobna.

- Tutaj nie. Ale mam w albumie jej zdjęcia, kiedy była dzieckiem -powiedziała Sydney. -

Na tamtych zdjęciach widać pewne rodzinne podobieństwo.

- Co to jest rodzinne podobieństwo? - nieśmiało zapytała Sara.

- To znaczy, że mam jej podbródek i oczy - wyjaśniła Sydney z uśmiechem.

- I jej głos - dodał Shayne. Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do chwili, kiedy usłyszał, jak Sydney tłumaczy coś Sarze. W jej głosie brzmiała ta sama cierpliwość, miał tę samą śpiewną intonację jak głos panny Faye, kiedy odpowiadała na nie kończące się pytania swoich uczniów.

Sydney spojrzała na niego ze zdumieniem. Nigdy nie poznała ciotki Faye, a jej ojciec nic o tym nie wspominał.

- Naprawdę?

- Tak. - Odwrócił wzrok, jakby znowu doszedł do wniosku, że za bardzo się otworzył. -

Oczywiście ty mówisz o wiele szybciej.

Uśmiechnęła się.

- Bo teraz czas płynie szybciej.

Shayne pomyślał, że jak dla niego czas płynie zdecydowanie zbyt szybko.

Podchodząc do zawałonej ściany, potknął się o stos czerniałego drewna i omal nie runął na ziemię.

- Co jest, u diabła...

Sydney podbiegła, odgarnęła śmieci i pod ich warstwą odkryła fragment klawiatury.

Przyklękła, żeby dokładniej obejrzyć instrument.

- Pianino. - Podniosła oczy na Shayne'a. - To jej pianino. A raczej jego pozostałości.

Mak wcisnął się między nich, odpychając Sarę łokciem.

- Co się z nim stało?

- Wygląda, jakby niedźwiedź na nim usiadł - powiedział Shayne. Dzieci zachichotały, a jemu nagle zrobiło się ciepło na sercu.

- Jaka szkoda - westchnęła Sydney. Otarła ręce o spodnie i wstała.

Shayne próbował na nią nie patrzeć, ale trudno było patrzeć na cokolwiek innego, gdy krążyła jak kot, oglądając wnętrze chaty.

- Obejrzałaś sobie wszystko? - zapytał wreszcie zniecierpliwiony. Nagle zaczęło mu się spieszyć.

- Tak. - Po raz ostatni rozejrzała się wokoło, a potem spojrzała na Shayne'a. - Ta chata jest idealna - stwierdziła.

Shayne parsknął śmiechem. Tej ruinie daleko było do ideału.

- Na co? Na domek Baby Jagi?

- Nie, na to, żeby w niej zamieszkać. - Przy odrobinie wysiłku udało jej się zobaczyć tę chatę w takim stanie, w jakim musiała być za życia ciotki Faye. Tak jak ją sobie wyobrażała z jej listów.

- Kto miałby w niej zamieszkać?

- Ja - odparła. Czemu miał taką zdumioną minę? Nie mogła przecież wiecznie mieszkać u niego. Tak nie wypada. A poza tym czuła, że jej obecność go krępuje. Gdy tylko przekroczyła próg chaty, zrozumiała, że tutaj jest jej miejsce. - Jeżeli mam zostać w Hadesie, muszę gdzieś zamieszkać - dodała.

Myśl, że przestanie mieć ją przed oczyma przez cały dzień, straciła nagle cały swój powab. Jak miał to rozumieć? Oczywiście chciał, żeby się od niego wyprowadziła, ale to przecież nie znaczy, że musi zamieszkać w jakiejś rozpadającej się chałupie. Czy ta kobieta nie ma za grosz zdrowego rozsądku?

- Przecież to miejsce leży całkiem na uboczu - zaprotestował.

- Tutaj wszystko leży na uboczu - powiedziała.

O tak, tu postawi sofę, w miejscu, gdzie pada światło z okna i blask ognia od kominka, pomyślała. Oczywiście kiedy będzie już miała tę sofę.

Z czego ona tak się cieszy? - zastanawiał się Shayne, marszcząc brwi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile pracy trzeba by w to włożyć? Ale Sydney już przemierzała chatę wzdłuż i wszerz, snując plany.

- Nie tak znowu dużo. Wystarczy para rąk i trochę drewna. - Półki, pomyślała. W tym kącie postawiłaby półkę. Wkrótce przywiozą jej książki. Transport już i tak był spóźniony. - Na szczęście mój tato lubił roboty stolarskie i nauczył mnie wszystkich swoich sztuczek.

Mak, który jak dotąd udawał, że niczego nie słyszy, nie wytrzymał. Ściągnął brwi i zapytał:

- Twój tata robił sztuczki?

Sydney kumpłowskim gestem położyła mu rękę na ramieniu. Shayne z zazdrością zauważył, że chłopiec tym razem jej nie odtrącił.

- Kiedy robił coś z drewna, ocierał się o magię.

Wygląda na to, że ona posiada niezliczone umiejętności, pomyślał Shayne. A przynajmniej tak jej się wydaje.

- Niedoszły lekarz i cieśla-samouk, który do tego uczy w szkole. Jednym słowem, bezcenny nabytek dla Hadesu.

- Można i tak to ująć - łaskawie zgodziła się Sydney. - A co ty o tym sądzisz?

Nie miał zamiaru wypowiadać się na temat jej obecności ani w jego życiu, ani w tym mieście.

- Nie wiesz, na co się porywasz, angażując się w remont tej rudery.

Ale Sydney wcale to nie przerażało.

- Przecież możesz mi pomóc.

Ta kobieta potrafiła kuć żelazo, póki gorące.

- Nie to miałem na myśli - mruknął.

- Ale ja miałam to na myśli.

Wiatr coraz głośniejsz zawodził w szczelinach ścian. Trzeba będzie włożyć dużo pracy w ten dom.

- Jeżeli będziemy pracować we dwójkę, szybciej się z tym uporamy.

Sara wymownie chrząknęła. Sydney ze śmiechem pogłaskała ją po policzku.

- We trójkę - poprawiła się, a potem spojrzała na Maka i zapytała: - A gdybyśmy tak popracowali we czwórkę?

Chłopiec spuścił wzrok, żeby ukryć błysk zadowolenia w oku. Jeszcze przed chwilą czuł się wyrzucony poza nawias.

- Może... - mruknął.

Sydney i Shayne wymienili spojrzenia.

- „Może” to coś znacznie lepszego niż „nie”, prawda? - powiedziała Sydney, a Shayne pomyślał, że ta kobieta ma gotową odpowiedź na każdą okoliczność.

- Jak ci się to udało? - zapytał Shayne z podziwem. W ciągu minionych kilku tygodni wiele razy zadawał Sydney to pytanie.

Ułynęło już pięć dni, odkąd Sydney oznajmiła, że zamierza zamieszkać w chacie, a on chciał się dowiedzieć, w jaki sposób udało jej się namówić tych kręcących się wokół mężczyzn, żeby jej pomogli wyremontować domek panny Faye. Bo wciągnęła do pracy wszystkich, którzy byli pod ręką - i kawalerów, i żonatych. Niektórzy przyprowadzili nawet swoje żony i rodziny i przynieśli dość jedzenia, żeby wykarmić całe miasto.

Kilku mężczyzn przywiozło generatory prądu, bo druty prowadzące do chaty dawno zostały zniszczone,

Patrząc na uwijających się zwawo robotników, Shayne pomyślał, że powinni podłączyć

swoje generatory do Sydney, która zdawała się posiadać niewyczerpane zasoby energii. Ku swemu zdumieniu przekonał się też, że naprawdę zna się na robotach ciesielskich i stolarce.

Zaczynał wierzyć, że rzeczywiście potrafi robić wszystko, o czym mówiła.

Sydney podstawiła kufel pod otwór w beczce i przekręciła kurek. Jasną strugą trysnęło z niego piwo.

- Jak mi się to udało? Poprosiłam Ike'a, żeby rozgłosił wśród swoich klientów, że zamierzam wyremontować chatę ciotki Faye i potrzebuję pomocy - powiedziała, wręczając mu kufel.

W pierwszej chwili chciał podać go dalej, potem jednak doszedł do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli wypije jedno piwo. Był na budowie od wczesnego rana i pomyślał, że pora na małą przerwę.

Łyknął haust piwa i od razu poczuł się lepiej.

Rozejrzał się wkoło. Sara bawiła się z Gem, córeczką Billa Hansona. Nawet Mak przestał się boczyć i wbijał z zapałem gwoździe pod nadzorem Tate'a Kellogga. Widać było, że świetnie się przy tym bawi.

Sydney także spojrzała w tę stronę.

- Idź i pomóż mu - powiedziała.

Kiedy ta kobieta wreszcie przestanie wtrącać się w jego życie? Nie prosił jej o radę.

- Mak dobrze sobie radzi sam - burknął. „Dobrze” to nie było słowo, którego Sydney by użyła.

- Chłopcy potrzebują towarzystwa swoich ojców.

Co ona mu proponuje? Czyżby nie zauważyła, jak sprawy stoją?

- Mak mnie nie znosi - oświadczył. Nie masz racji, pomyślała Sydney.

- Mak nie może znieść bota, który draży go od środka. A ty jesteś tylko podręcznym celem, na którym próbuje się wyładować.

Kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, że być może posunęła się za daleko. Mimo to uznała, że nie powinna się wahać przed powiedzeniem czegoś, co kiedyś musiało zostać powiedziane. W końcu, gdyby wszystko potoczyło się tak, jak się tego spodziewała, byłiby teraz rodziną. A ona została wychowana w przeświadczeniu, że członkowie rodziny mają prawo ingerować nawzajem w swoje życie.

- Skąd Mak może wiedzieć, że go kochasz, jeżeli mu tego nie okazujesz? - zapytała.

Znowu to samo, pomyślał. Znowu próbuje urządzić mu życie. Całe szczęście, że się wyprowadza.

- Nie potrzebuję tłumy świadków, żeby mu to powiedzieć - oświadczył.

- Nie musisz tego wyrażać słowami. A przynajmniej nie tutaj - stwierdziła Sydney. Przecież jest wiele innych sposobów, jeżeli chce się okazać komuś uczucie. Na przykład czuły dotyk, życzliwy uśmiech, serdeczny gest.

Shayne dopił piwo i odstawił kufel.

- Masz jeszcze dla mnie jakieś zadania?

Uśmiechnęła się. Ten facet uwielbiał grać zrzędę. I uczynił sobie wygodny parawan ze swojego zrzędzenia.

- Już i tak zrobiłeś dość dużo.

Skąd ona to wie? Przecież dokoła aż roi się od mężczyzn, którzy coś robią.

- Śledziłaś mnie?

- Nie, tylko patrzyłam. Zawsze staram się zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół mnie.

Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Otarł ręce o spodnie.

- Mówiłaś mi, że jesteś praktyczna. Rzeczywiście jesteś praktyczna... jak Tomek Sawyer. Pamiętasz, jak malował płot? Zaczaj sam, ale wszystko zrobili za niego koledzy.

Od razu zgadła, do czego zmierzał.

- Czytałam „Tomka Sawyera” - odparła z uśmiechem. - Ale Tomek tylko udawał, że lubi pracować. A ja nie udaję. Naprawdę lubię tego typu prace. I lubię dotyk drewna.

- Tak? To znaczy, kotku, że trafiłaś na właściwe miejsce - odezwał się Ike, który wynurzył się zza ich pleców. Machnął ręką w stronę tartaku. - Mamy tu masę drewna. Mogłaś oczywiście wybrać cieplejszą porę - dodał, siadając na odwróconej skrzynce.

- Ale wystarczy na ciebie popatrzeć, a człowiekowi robi się gorąco. - Zaczął się ostentacyjnie wachlować.

Sydney roześmiała się. Zdążyła już polubić tego wesołego kolegę Shayne'a.

- W twoim towarzystwie miło być kobietą - powiedziała. Ike uniół brwi i uśmiechnął się łobuzersko.

- To tylko drobny ułamek moich możliwości, kotku. Słyszac to, Shayne nagle poczuł się urażony. Jeżeli ona ma ochotę flirtować z jego przyjacielem, jej wola. On nie musi przy tym asystować.

- Pójdę zobaczyć, czy Mak nie potrzebuje pomocy - oświadczył.

Sydney długo patrzyła za nim, a potem powiedziała:

- Wiesz co, Ike, on mnie chyba nie lubi. - Nie przywykła do tego, by ktoś tak uporczywie odtrącał jej życzliwość.

Ike pociągnął łyk piwa.

- Ciekawe, bo ja sobie właśnie pomyślałam, że on cię bardzo lubi.

- Po czym to poznać? Po tym, że ciągle mnie krytykuje? Ike roześmiał się i ścisnął ją za rękę.

- Tak jest, właśnie po tym, kotku.

Sydney zauważyła, że nigdy nie zwracał się do niej po imieniu.

- Czemu nie mówisz do mnie Sydney? - zapytała.

- Bo żadna kobieta, której Pan Bóg dał takie kształty, nie może się nazywać Sydney, kotku. A wracając do naszego dobrego doktora... - Ike skinął głową w stronę Shayne'a - jego była żona nieźle dała mu w kość, zanim wyjechała. A i potem też.

Shayne był bardzo skryty i rzadko zwierzał się ze swoich kłopotów, ale Ike potrafił czytać między wierszami.

- On nigdy nie był spontaniczny. Raz w życiu otworzył się i dostał wtedy takie cięgi, że boi się ryzykować po raz drugi. - Ike spojrzał Sydney w twarz i dostrzegł na niej coś, czego pewnie sama nie była świadoma. - To dobry człowiek, kotku, wart tego, by go wyciągnąć z tej jego skorupy - dodał.

O nie, pomyślała Sydney. Nie dam się zwabić w pułapkę. Już dwukrotnie poniosłam klęskę.

- Nie interesują mnie te sprawy - odparła. - Dwa razy w życiu zaangażowałam się i za każdym razem przegrałam. Nie wystawię się po raz trzeci.

- To nie ty przegrałaś, kotku, tylko mężczyźni, którzy usunęli cię poza nawias swojego życia. - Ike mrugnął znacząco, a potem z westchnieniem podniósł wzrok na schody, które właśnie były naprawiane. - Pójdę zerknąć, co robi mój kuzyn. Muszę pilnować, żeby sobie nie poprzybijał palców do poręczy, bo wtedy nie będę miał z niego żadnego pożytku. - Odwracając się, poklepał beczkę z piwem. - A ty przemyśl sobie to, co ci powiedziałem.

ROZDZIAŁ 10

Szukając papieru, Sydney odważyła się zajrzeć do królestwa Shayne'a, który wysadził ją pod domem, a sam poleciał do pacjenta. Od zeszłego tygodnia, kiedy zaczął się remont chaty, starał się utrzymywać między nimi jeszcze większy dystans. Czuła, że nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że mu grzebała w szufladach, ale przecież przyświecał jej całkiem niewinny cel. Potrzebowała tylko kartki papieru, żeby sporządzić listę rzeczy potrzebnych do urządzenia chaty. Dzięki szczodroblewości ludzi, którzy życzliwie powitali nową mieszkankę Hadesu, miała już prawie cały komplet mebli.

Trzeba było jeszcze zainstalować w domku telefon i doprowadzić przewody elektryczne, a także skończyć naprawianie schodów, ale reszta była już prawie gotowa.

Kiedy otworzyła środkową szufladę, natrafiła na plik zapisanych kartek.

- Zawsze myślałam, że lekarz powinien utrzymywać większy porządek - mruknęła sama do siebie. Ale nie powinno jej to dziwić. Widziała już wcześniej jego gabinet i wiedziała, że utrzymywanie porządku nie było najmocniejszą stroną Shayne'a.

Wsunęła pierwszą szufladę i zaczęła otwierać kolejne. W żadnej nie znalazła ani jednej czystej kartki papieru. Chciała już dać za wygraną, kiedy nagle odkryła spore pudełko ukryte na dnie podwójnej szuflady. Otworzyła je, mimo iż była pewna, że zawiera stare czasopisma medyczne albo coś równie nieciekawego.

Tymczasem, ku jej zdumieniu, zniszczone pudełko zawierało dziesiątki fotografii różnych rozmiarów. A wszystkie przedstawiały Maka i Sarę.

Sięgnęła po jedno ze zdjęć z samego spodu. Data na odwrocie informowała, że pochodziło sprzed sześciu lat. Zaintrygowana, wyciągnęła na chybił trafił jeszcze kilka fotografii. Okazało się, że Shayne posiada pełną dokumentację fotograficzną życia swoich dzieci z ostatnich sześciu lat.

- No, no - mruknęła, uśmiechając się do siebie. - Okazuje się, że nasz pan doktor jest jednak trochę sentymentalny...

- Sydney! Sydney! Gdzie jesteś? - zawołała Sara. Jej buciki zastukały o drewnianą podłogę. Trzasnęły frontowe drzwi.

Sydney szybko zamknęła pudełko i wsunęła je na swoje miejsce. Potem nakryła je papierami, w nadziei, że Shayne nie zauważy, iż grzebała w jego rzeczach. Na pewno nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że odkryła jego słabości.

Wyjrzała na korytarz, przygotowana na najgorsze. Choć Sara zdążyła się już przyzwyczaić do Hadesu, życie wciąż czymś ją zaskakiwało.

Kiedy Sydney ją zobaczyła, zapytała z niepokojem:

- Co się stało, Saro?

- Przyjechała ciężarówka! - Dziewczynka chwyciła ją za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Meblowóz - poprawiła małą Sydney. Zdjęła kurtkę z wieszaka i odwróciła się. Mak wyglądał z góry, przewieszony przez poręcz. Widocznie ruch na podwórku zaciekał i jego. Z kuchni przydreptała podekscytowana Asia. W Hadesie nawet najbliższe wydarzenie stawało się sensacją. Nuda była tu równie powszechna jak ziąb i niemal tak samo zabójcza. Sydney posłała przodem Maka.

- Bierz kurtkę i idź do nich - poleciła, po czym sama ubrała się i wyszła na dwór. Na podwórzu rzeczywiście stał wielki meblowóz. Kierowcy nadal siedzieli w kabinie. Widać było, że nieśpieszno im wyjść na mróz.

Sydney zimno zawsze dodawało energii. Wsunęła rękę do kieszeni i podeszła do szoferki.

- Gdzie się podziewaliście, chłopaki? - Straciła już niemal nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy swoje rzeczy. - Obiecaliście tu być trzy tygodnie temu.

Kierowca otworzył drzwi i wysiadł z kabiny.

- Mieliśmy po drodze trochę kłopotów. Dwa razy złapała nas śnieżycy - wyjaśnił, patrząc na nią jak na jakieś kuriozum.

Okrążył przyczepę i szarpiąc się z zamrzniętym zamkiem, usiłował otworzyć podwójne drzwi z tyłu.

- Tom, chodź tu! - zawołał.

Jego towarzysz, wysoki, postawny mężczyzna, wyskoczył z kabiny, podszedł do niego i szarpnął mocno za klamkę. Drzwi ustąpiły.

Kierowca wrócił do szoferki, wziął listę i spojrzał na Sydney.

- To nie moja sprawa, ale czy jest pani pewna, że chce pani te wszystkie graty? Zapłaciła pani tyle za transport!

Zapłaciłaby i więcej. Były przecież częścią niej samej.

- Oczywiście, że tak - odparła.

- Co oni przywieźli, Sydney? - dopytywała się Sara, podskakując u jej boku.

Sydney odsunęła się, żeby zrobić przejście.

- Trochę rzeczy, które są mi bardzo drogie.

Mebłowóz przywiózł wszystko, co było jej potrzebne, a także rzeczy, do których była szczególnie przywiązana. Książki, ubrania, komputer oraz kufer zawierający albumy, pełne starych fotografii. Wszystko to zresztą można było wysłać drogą lotniczą - poza jednym przedmiotem, zbyt dużym, który przesądził o wyborze środka transportu.

- Pospiesz się, Tom, wnieśmy to wreszcie do środka - zrzędził kierowca, kiedy taszczyli do domu pokazną skrzynię. - Chcę wrócić do cywilizowanego świata, zanim znowu zaskoczy nas śnieżycy.

Sara stała na palcach, usiłując zobaczyć, co wnosili.

- Co tam masz, Sydney? Powiedz mi - błagała.

Sydney tylko się uśmiechnęła. Chciała zrobić wszystkim niespodziankę.

- Zobaczysz. Wejźmy do środka i pozwólmy tym panom skończyć pracę. Możesz im zrobić kawy, Asiu?

Obaj mężczyźni jak na komendę zatrzymali się i spojrzeli na nią z wdzięcznością.

Najpierw wniesiono pudła. Sydney kazała postawić je w korytarzu, żeby nie zaważały przy rozładunku. A potem przyszła kolej na to, na co najbardziej czekała. Przedmiot, którego

transport tutaj oznaczał, że naprawdę zamierza zapaść korzenie na Alasce.

Kiedy Mak go zobaczył, spojrzął na Sydney ze zdumieniem. Oczy miał okrągłe jak spodki.

- Pianino? - wykrzyknął, kiedy wyższy z mężczyzn wtoczył je na wózek. - Masz prawdziwe pianino?

- Tak, mam prawdziwe pianino - przytaknęła Sydney, tłumiąc śmiech. Chłopiec starał się dotąd zachowywać obojętność. Nie wytrzymał jednak, gdy mężczyźni wytoczyli z przyczepy pianino.

Sydney powitała instrument w kolorze miodu z uczuciem podobnym temu, z jakim przywitałaby zaginionego przyjaciela, który niespodziewanie się odnalazł. Kiedy robotnicy zahaczyli jednym bokiem o ścianę, aż podskoczyła.

- Proszę, ostrożnie - powiedziała błagalnym tonem.

Ale mężczyźni za bardzo się spieszyli, żeby chciało im się uważać.

- Gdzie mamy je postawić? - sapnął ten wyższy. Sara natychmiast znalazła najlepsze miejsce.

- W salonie! - wykrzyknęła, pokazując palcem kierunek.

Sydney pomyślała, że instrument będzie tam dobrze wyglądał. Oczywiście umieści go tam tylko na kilka dni, ale nawet to pewnie nie będzie się podobało Shayne'owi. Spojrzała z wahaniem w głąb pokoju.

- Jak myślicie, co na to powie wasz tata? - zapytała.

- Szybciej, miła pani, bo dostanę przepukliny - niecierpliwił się kierowca.

- Mój tata jest doktorem, to pana wyleczy - oznajmiła Sara.

- Szkoda że nie jest czarodziejem - wysapał kierowca. - Mógłby sobie sam poustawiać te meble za pomocą czarów.

- Salon to dobre miejsce - stwierdziła Sydney. I tak pianino będzie stało tu tylko chwilowo, póki nie będzie mogła się przeprowadzić do siebie.

Kiedy instrument stanął w salonie, Mak zaczął krążyć wokół niego, jakby nigdy nie widział z bliska prawdziwego pianina. Podniósł wzrok na Sydney.

- Umiesz na nim grać?

- Tak. Gram od czwartego roku życia.

Zalała ją fala wspomnień - zobaczyła siebie przy pianinie podczas długich, zimowych wieczorów. Nie mogła wtedy wiedzieć, że przygotowuje się do życia na Alasce.

We wzroku Maka podziw mieszał się z podejrzliwością. Ludzie mówili tyle rzeczy, które miały się z prawdą. Przesunął dłonią wzdłuż pokrywy.

- Zagraj coś, Sydney.

Nie trzeba jej było długo namawiać. W pół sekundy stała już obok chłopca i grała. Przestała dopiero wtedy, gdy zjawił się kierowca z wyściełaną ławeczką.

Lot trwał dłużej, niż się spodziewał. W którymś momencie wydało mu się, że na skrzydłach tworzy się lód, stwierdził jednak, że to tylko słońce odbija się od mokrej plamy. Ale kosztowało go to pięć długich minut śmiertelnego strachu, podczas których zastanawiał się, co poczną ci wszyscy ludzie rozproszeni na lodowym pustkowiu, jeżeli coś złego przytrafi się jego cessenie. No i oczywiście jemu.

Ktoś będzie musiał nauczyć się prowadzić samolot na wypadek, gdyby Ben nie wrócił. Na syna Kellogga nie można raczej liczyć. Chłopak na pewno wyjedzie, jak tylko nadarzy się okazja. Miał to wypisane na twarzy. Czyli zostawał tylko on sam.

Przypomniał sobie o Sydney. Te jej bezustanne uparte błagania, żeby nauczył ją prowadzić cessenę... Tym razem wybrał się bez niej. Kiedy zaproponowała, że z nim poleci, wykręcił się pod pierwszym lepszym pretekstem. Ku jego zdumieniu nie nalegała. Może latanie przestało ją interesować.

Tak czy inaczej, był to jego pierwszy samotny lot, odkąd Sydney tak niespodziewanie wtargnęła w jego życie.

Spodziewał się, że wyprawa w pojedynkę sprawi mu większą przyjemność, zwłaszcza że ostatnio rzadko bywał sam. Tymczasem, zamiast napawać się ciszą i spokojem oraz świadomością, że nie musi uczestniczyć w nie kończących się dyskusjach z Sydney, poczuł ze zdumieniem, że zaczyna mu doskwierać samotność.

A może to sygnał, że powinien stąd wyjechać? Może przejadło mu się już życie, jakie prowadził? Może stąd brało się to dziwne rozdrażnienie, którego ostatnio doświadczał?

Wyskoczył z kabiny i skrzywił się na widok ciężarówki przed domem. Nagle przypomniał sobie fragmenty rozmowy z Sydney na lotnisku, tuż po jej przylocie. Wspomniała mu wtedy o jakiejś ciężarówce, którą miały przyjechać jej rzeczy. Nie zaprzętał sobie tym głowy, bo był pewny, że Sydney i tak wkrótce wyjedzie z Hadesu. Teraz jednak wiedział już, że naprawdę zamierza się tu osiedlić...

A niech ją diabli! Przecież jego dom jest już i tak zapchany gratami. Jeżeli ona sobie wyobraża, że oprócz samej siebie zwali mu na głowę jeszcze te swoje klamoty, to się grubo myli. Będzie sobie musiała znaleźć jakieś inne miejsce.

Szybkim krokiem ruszył w stronę domu. W połowie drogi wydało mu się, że słyszy dźwięki pianina. A także chóralny śpiew. Nasunęły mu się jakieś wspomnienia, ale natychmiast je odpędził.

Przyspieszył kroku. Śpiew stawał się coraz głośniejszy. Co to ma znaczyć?

Kiedy otworzył drzwi, Sydney oderwała wzrok od klawiatury. Ich oczy się spotkały. Jej uśmiech sprawił, że z miejsca zniknął chłód, który zagościł w jego duszy. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęła go irytacja.

- Cześć - odezwała się Sydney po chwili wahania. Patrząc na Shayne'a, nie mogła oprzeć się myśli, że wygląda, jakby był po kilku głębszych.

Spoglądała na niego wzrokiem niewiniątka, mimo iż ciągle usiłowała przewrócić mu życie do góry nogami. Wskazując na obcych mężczyzn i na pianino, Shayne zapytał:

- Co to ma być?

- Ach, to ekipa przeprowadzkowa. - Sydney wstała. - Panowie się poznają: doktor Shayne Kerrigan, Boyd Hanes i Tom Kelly.

- Przywieźli rzeczy Sydney - zapiszczała podniecona Sara. Shayne ledwo ją zauważył. Cała jego uwaga skupiona była na meblu koloru miodu, królującym pośrodku salonu. Jego salonu! A ona urządziła tu sobie jakiś festiwal piosenki. I to z kim? Z robotnikami!

- Nie mówiłaś mi, że masz pianino. Sydney z uśmiechem rozłożyła ręce.

- Tak się jakoś złożyło. Nie było okazji.

Przecież ten grat będzie wszystkim zawadzać. Czy ona tego nie widzi? Oczywiście, że nie. Sama też ciągle wchodzi wszystkim w paradę. I tego także nie dostrzega. No cóż, ktoś musi być tu mężczyzną i powiedzieć „basta”!

- Ono nie może tu stać!

Ku jego zdumieniu Sydney bez oporów przyznała mu rację.

- Oczywiście, że nie. Jak tylko skończę remont domku ciotki Faye, zaraz je tam zabiorę.

- Jak? Weźmiesz je na plecy?

Sydney nie podobała się nuta hysterii, którą wychwyciła w jego głosie. Odniosła też wrażenie, że z niej szydzi. Może Ike będzie mógł jej pomóc. Odwróciła się i spojrzała na Shayne'a.

- Jakoś sobie poradzę.

Dobrze wiedział, że sobie poradzi. Zdążył już ją na tyle poznać. Ta uparta kobieta gotowa zaprząć wszystkich mężczyzn z miasta do sań, byle tylko osiągnąć swój cel.

Kierowca spoglądał niepewnie to na Shayne'a, to na Sydney. Ich nieoczekiwana sprzeczka trochę go krępowała. Sięgnął po kurtkę i zaczął ją wkładać. Jego towarzysz również się ubrał. Potem obaj mężczyźni podziękowali za kawę i wyszli.

Sara i Mak wybiegli na dwór, żeby im pomachać na pożegnanie. Shayne musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie widział, żeby jego syn był tak ożywiony.

Na chwilę zapomniał o obecności Sydney. Kiedy położyła mu rękę na ramieniu, drgnął.

- Nie lubisz muzyki?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Poczuł, że coś się w nim poruszyło. Mało brakowało, a byłby się przyznał, że się za nią stęsknił, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Gotowa sobie pomyśleć Bóg wie co.

- Czemu nie? Może być.

Sydney patrzyła na niego przez chwilę, a potem zapytała:

- Ale nie w twoim życiu, prawda?

Chciał powiedzieć, że nie, że nie ma czasu na takie rzeczy, ale znowu naszły go wspomnienia. A zwłaszcza jedno - to, które trafiło go prosto w serce, kiedy idąc do domu, usłyszał dźwięki pianina.

Potrząsnął głową i ruszył w stronę drzwi.

- Już nie - powiedział.

Sydney schodziła cicho po schodach. Mak i Sara już spali. Shayne też pewnie spał. Dochodziła jedenasta, a kiedy mijala drzwi jego pokoju, widziała, że były zamknięte, nie dobiegały też zza nich żadne odgłosy. Pewnie wszyscy spali oprócz niej.

Nie mogła zasnąć, chociaż była bardzo zmęczona.

Musiało to mieć coś wspólnego z pianinem. Grała na nim już jako mała dziewczynka, choć wtedy był to przykry obowiązek. Nienawidziła palców. Jedyne związane z instrumentem historia czyniła tę mitręgę znośną. Pianino należało niegdyś do jej prababki, która wraz ze swoim przyszłym mężem podróżowała z miasta do miasta, koncertując wszędzie tam, gdzie tylko chcieli jej słuchać. Dlatego ilekroć Sydney dotykała klawiszy, odnosiła wrażenie, że dotyka historii.

Teraz także zapragnęła dotknąć pianina, aby się upewnić, że dotarło bezpiecznie na miejsce i że to nie sen.

Kiedy zeszła na dół, zdziwiła ją smuga światła, padająca z salonu. Pamiętała, że Shayne najdłużej siedział tego wieczora na dole. Czyżby zapomniał zgasić światło? To raczej do niego niepodobne.

Zajrzała ostrożnie do pokoju. Przy pianinie siedział Shayne, dotykając klawiszy, ale spod jego palców nie płynęły żadne dźwięki.

Pomyślała, że chyba powinna zostawić go w spokoju, jednak ciekawość wzięła górę.

- Grałeś kiedyś na pianinie? - zapytała.

Drgnął, jakby wyrwany ze snu. Pogrążony we wspomnieniach, nawet nie słyszał, jak

schodziła na dół. Co za piekielna baba, pomyślał. Dlaczego musi zepsuć mu każdą chwilę samotności?

- Nie, raczej nie - mruknął. Czuł się zażenowany, że go przyłapała.

Sydney nachyliła się i delikatnie dotknęła pianina.

- Aprobowałeś?

Znał ją już na tyle, żeby wiedzieć, że nie da mu spokoju, póki nie wyciągnie z niego wszystkiego, czego chciałaby się dowiedzieć. W tej sytuacji zaoszczędzi sobie kłopotów, jeżeli od razu jej odpowie. Zresztą nie był to żaden sekret.

- Panna Faye próbowała mnie nauczyć.

Sydney przypomniała sobie instrument, znaleziony w chacie. Ojciec opowiadał jej, że ciotka bardzo lubiła grać. Z pewnością starała się obudzić w małym Shaynie miłość do muzyki. Widocznie uznała, że drzemie w nim talent.

- No i co? Udało jej się?

Shayne wzruszył ramionami. Nigdy nie lubił mówić o sobie.

- Potrafiłem zagrać kilka piosenek, ale to było dawno temu. - Odsunął stółek i chciał wstać.

- Zagraj coś - poprosiła cicho Sydney.

- Mówiłem już, że to było dawno temu... - mruknął. Sydney zignorowała jego wymówkę, stanęła za nim, położyła ręce na jego dłoniach i naprowadziła je na klawiaturę.

- Spróbuj. - Twarz Sydney znalazła się znacznie bliżej jego twarzy, niżby sobie tego życzył. - Każdy potrzebuje w życiu trochę muzyki.

To samo mówiła mu panna Faye, kiedy go namawiała, żeby brał u niej lekcje. Chciała go nawet uczyć za darmo, ale on w zamian pomagał jej w pracach domowych. Miał przecież swoją dumę. Pamiętał też, jaki był z siebie zadowolony, kiedy dla niej grał.

Delikatny dotyk Sydney sprawił, że nagle zrobiło mu się ciepło na sercu. Uświadomił to sobie z niezadowolaniem, bo to uczucie go osłabiało.

- Nic mi o tym nie wiadomo - mruknął. A potem poddał się z westchnieniem. - Dobrze, mogę zagrać. Ale pamiętaj, że sama o to prosiłaś.

- Będę o tym pamiętać - obiecała, siadając obok niego.

Sztywnymi palcami zaczął grać starą piosenkę, której tony dziwnym trafem zachował w pamięci. Nie pamiętał jednak ani słów, ani nawet tytułu. Była w niej mowa o pijanym żołnierzu, a może chodziło o marynarza. Próbując znaleźć właściwe dźwięki, uderzał w klawisze w tak powolnym tempie, że nie przypominało to jakiegokolwiek melodii.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

Kiedy przedzierał się w pocie czoła przez gęstwinę odpornej pamięci, Sydney zaczęła powtarzać te same tony, tylko o oktawę wyżej. Grała z uśmiechem i większą niż on pewnością siebie. Teraz można już było usłyszeć wyraźną melodię.

- Tak, to jest to! - zawołał. Nie zdawał sobie sprawy, że w jego głosie zabrzmiało radosne podniecenie.

Palce Shayne'a podchwyciły tempo i już po chwili grali oboje w zgodnym duecie. Kiedy skończyli, z uczuciem satysfakcji odsunął się od pianina. Cichy śmiech Sydney złączył się z zamierającymi dźwiękami piosenki. Widać było, że cieszy ją jego sukces.

- A nie mówiłam, że wszystko sobie przypomnisz? Tego się nigdy nie zapomina. Trzeba tylko chcieć sobie przypomnieć.

To trochę tak jak z miłością, podszeptował jej jakiś cichy głos.

Rozpromieniona spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich całą gamę uczuć. Uczuć, których się bał i które odtrącał. Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. Miała nadzieję, że zdoła go w końcu przekonać, żeby dał upust tym tłumionym emocjom.

Nie lubił być bezradny. Gdyby potrafił dojść z samym sobą do ładu, nie zrobiłby czegoś takiego - nie wziąłby jej w objęcia i nie przechylił jej głowy tak, by ich usta się spotkały. Nie siedziałby nawet przy tym cholernym pianinie, pogrążony we wspomnieniach, kiedy miał tyle innych zajęć.

Zajęć, które nie obejmowały całowania i nie wywoływały tak niezwykłych uczuć.

W chwili gdy usta Shayne'a zaatakowały jej usta z zapierającą dech gwałtownością, Sydney poczuła, że znowu żyje. Im głębszy i bardziej natarczywy stawał się pocałunek, tym szybciej biło jej serce. Poddała się żywiołowi, choć wiedziała, że popełnia wielki błąd. Bo niby czemu tym razem miałyby się skończyć inaczej niż poprzednio?

Mimo to chciała, żeby stało się to, co się stało. I to od chwili gdy weszła do pokoju i zobaczyła Shayne'a przy pianinie.

A może już od dawna tego pragnęła?

W końcu Shayne cofnął się, przerażony myślą, że jeszcze chwila, a da się ponieść uczuciom, które go przepełniały. Że porwie Sydney na ręce i zanieśie na górę, do swego pokoju.

Sydney zaczęła gorączkowo szukać jakichś słów, żeby rozładować atmosferę. Nie może dopuścić do tego, by Shayne pomyślał, że ma to dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

- Och - powiedziała wreszcie, próbując zyskać na czasie, żeby móc się opanować. Chrząknęła i przygładziła włosy. - Całe szczęście, że nie graliśmy „Lotu trzmiela”, bo nie wiem, jak daleko byśmy zaszli.

- Nigdzie byśmy nie zaszli - odparł z naciskiem - bo razem nam nie po drodze.

Wyprostowała się dumnie, choć jego słowa boleśnie ją ugodziły. Kto jak kto, ale Shayne umiał wskazać każdemu jego miejsce. Mała pociecha, że nie zamierzał na nią nastawać.

- Masz rację. - Wstała. - Chodźmy lepiej na górę. Najwyższa pora już się kłaść. - O ile w ogóle uda jej się zasnąć, pomyślała.

Przygryzła wargi. Jest tylko jeden sposób, by zachować twarz. Musi mu okazać, że jeśli ten pocałunek nic dla niego nie znaczył, to dla niej znaczył jeszcze mniej.

- Myślę, że mogłabym się już przeprowadzić, chociaż domek nie jest jeszcze gotowy - oświadczyła po chwili. - Zesłabym ci z oczu...

Co za wspaniała propozycja! Czemu jednak myśl ojej przeprowadzce wydaje mu się teraz równie irytująca, jak wcześniej perspektywa mieszkania pod jednym dachem? A nawet bardziej.

- To niezbyt dobry pomysł. Najpierw trzeba doprowadzić prąd i założyć telefon. - Nie podobało mu się, że Sydney miałaby tam mieszkać sama, na dodatek odcięta od świata. A jeśli będzie potrzebowała pomocy?

Sydney wzruszyła ramionami. Jak brzmi to przysłowie? „Goście i ryby po trzech dniach cuchną”? Nie miała zamiaru dłużej się narzucać, skoro jej obecność nie była mile widziana.

- Jakoś sobie poradzę.

Znowu to samo. Za kogo ona się uważa? Za jakąś super-kobietę, która jednym uśmiechem rozbroi nawet dziką bestię?

- Przypadki chodzą po ludziach. Nie bądź niemądra, Sydney.

Zmrużyła oczy. Nie będzie jej pouczał ani jej rozkazywał.

- Zrobię, co mi się podoba... - odparła, po czym odwróciła się na pięcie i pomaszerowała na górę.

Patrzył, jak wchodziła po schodach, i nie mógł się oprzeć myśli, że ma przed sobą plecy najbardziej upartej istoty pod słońcem. Gdyby miał za grosz rozumu, przystałby na jej propozycję. Ale on musiał chyba do reszty zgłupieć...

Ledwo otworzył usta, a już wiedział, że gorzko pożałuje swoich słów. Jednak same wyrwały się z jego ust.

- Jeżeli zaczekasz z przewodzką, póki dom naprawdę nie będzie nadawał się do zamieszkania... nauczę cię latać - wymamrotał ledwo zrozumiale.

Odwróciła się powoli, niepewna, czy dobrze go usłyszała, czy jej się tylko zdawało.

- Co?

Nie chciał powtarzać tego po raz drugi. Raz to aż nadto.

- Tracisz słuch?

- Może. - Zrobiła krok w jego stronę. A potem drugi i trzeci, aż wreszcie znalazła się u jego boku, pełna radosnej nadziei. - To znaczy pewnie tak. Gdyby było inaczej, nie zdawałoby mi się, że powiedziałeś...

Shayne nabrał powietrza do płuc. Czemu ta kobieta tak mu wszystko utrudnia?

- Powiedziałem, że jeśli zostaniesz, nauczę cię latać. Nie chcę, żeby mnie później wzywali do identyfikacji twoich zamarzniętych zwłok tylko dlatego, że jesteś zbyt uparta, by posłuchać głosu zdrowego rozsądku.

Pokiwała głową z powagą, jednak na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Cóż, jeżeli ona nie zamierza się położyć, on idzie do łóżka. Zanim znowu przyjdzie mu do głowy, by chwycić ją w ramiona. Bo tym razem na pewno nie skończy się na pocałunku.

Co za przerażająca perspektywa!

Ruszył ku schodom. Kiedy ją mijał, rzucił od niechcienia:

- Dobranoc.

W połowie drogi na górę usłyszał dźwięki piosenki „Wróciły szczęśliwe dni”. Towarzyszyły mu aż pod drzwi jego pokoju.

Uśmiech, który rozjaśnił mu twarz, pojawił się całkowicie wbrew jego woli.

ROZDZIAŁ 11

Sydney raz po raz zadawała sobie pytanie, kiedy frontowe drzwi kliniki były oliwione po raz ostatni. Doszła do wniosku, że bardzo by im się to przydało, choć z dwojga złego wołała już, by o przybyciu pacjentów informował ją piskliwy zgrzyt zawiasów, a nie natarczywy dzwonek.

Kiedy drzwi znowu zazgrzytały, spojrzała w stronę wejścia. Do poczekalni wtargnęła fala mroźnego powietrza, a za nią krępa siwowłosa kobieta, na której widok Sydney uśmiechnęła się serdecznie.

- Miło mi panią widzieć, pani Hatcher.

W odpowiedzi kobieta skinęła głową i ciężkim krokiem przeszła przez poczekalnię, zostawiając na podłodze grudki topniejącego śniegu.

Ursula Hatcher miała sześćdziesiąt trzy lata, z których czterdzieści przepracowała jako kierowniczka poczty oraz listonoszka. Była z tego niesłychanie dumna i twierdziła, że żadna wiadomość - czy to dobra, czy zła - nie miała prawa ujrzeć światła dziennego bez jej błogosławieństwa.

Mieszkańcy Hadesu i jego okolic woleli nie dyskutować na ten temat, bo większość z nich i tak była przekonana, że pani Hatcher ma rację. I choć nikt nigdy nie ośmielił się zarzucić jej, że otwiera listy, nikt nie miał również najmniejszych wątpliwości, że Ursula albo wiedziała, albo wyczuwała, co jest w roznoszonych przez nią listach. Nie mówiąc już o tym, że sama Ursula była postacią znacznie bardziej interesującą i barwną niż miejscowa gazeta.

Sydney poznała ją wtedy, kiedy po raz pierwszy wybrała się na zakupy do miasteczka. Pani Hatcher zmierzyła wówczas nową mieszkankę Hadesu przenikliwym wzrokiem, jak podejrzaną przesyłkę, w której może być ukryta bomba. Wynik tych oględzin musiał jednak wypaść korzystnie dla Sydney, bo pani Hatcher z miejsca ją zaakceptowała i darzyła odtąd wielką życzliwością.

- Mam list dla pana doktora. Pomyślałam też sobie, że przy okazji przyniosę i resztę. - Pani Hatcher pogrzebała w sfatygowanej skórzanej torbie, po czym wyjęła plik listów oraz najnowszy egzemplarz czasopisma medycznego i położyła to wszystko na biurku przed Sydney.

Sydney uniosła ze zdumieniem brwi. Pani Hatcher rzadko już teraz roznosiła listy. Mieszkańcy Hadesu odbierali na ogół swoją pocztę w okienku, które mieściło się w domu towarowym.

- Czy pani chciałaby się zobaczyć z panem doktorem prywatnie? - zapytała, zastanawiając się, jaka to dolegliwość skłoniła panią Hatcher, by sama pofatygowała się do kliniki. - Czy przysłała pani tylko w sprawach służbowych?

Ursula wybuchnęła gromkim śmiechem i zaciśniętą pięścią grzmotnęła się w pierś.

- W życiu nie byłam chora - oświadczyła, a w jej niebieskich oczach zamigotały wesołe iskierki. - Co zresztą wcale nie znaczy, że nie miałabym ochoty na osobiste spotkanie z naszym doktorem.

- Czy on nie jest dla pani trochę za młody? - roześmiała się Sydney i pomyślała, że pani Hatcher musi być ze trzydzieści lat starsza od Shayne'a.

Ursula wyrozumiale pokiwała głową.

- Nasz doktor goli się już, prawda? Czyli jest w sam raz. - Uniosła list leżący na wierzchu i pomachała nim przed nosem Sydney. - Myślę, że ten będzie chciał zobaczyć od razu. Są w nim ważne rzeczy.

Z powrotem rzuciła list na biurko, zrobiła w tył zwrot i po swoich mokrych śladach wymaszerowała z poczekalni.

Sydney, zaintrygowana, spojrzała na kopertę i serce zamarło jej w piersi. Już na pierwszy rzut oka rozpoznała pismo. W Omaha zawsze niecierpliwie czekała na listy zaadresowane tą

samą ręką.

Ostrożnie wzięła w palce kopertę i zaczęła jej się przyglądać. Ku jej zdumieniu list wcale nie wywołał w niej tak burzliwej reakcji, jak by się tego mogła spodziewać. Nie odczuła też przy tym spodziewanego bólu. A przecież od chwili, gdy została tak bezlitośnie porzucona przez Bena, minął zaledwie miesiąc.

Postanowiła natychmiast zanieść list Shayne'owi, musiała jednak poczekać, aż z gabinetu wyjdzie pacjent.

Czekając, zerknęła co chwilę na zegarek, zastanawiając się, czy Ben w ogóle wspomniał o niej w tym liście. Czy żałuje swego postępu? Zdążyła się już pogodzić z myślą, że przyjazd na Alaskę był jej pisany, a Ben był tylko katalizatorem, który go przyspieszył. W sumie była mu wdzięczna za to, że ułatwił jej rozstanie z dawnym środowiskiem, i nie żywiła już do niego żalu. Poza tym uznała, że ostatnio zrobiła duży krok naprzód i powoli zaczynała odnajdywać się w nowej rzeczywistości.

Wreszcie, po kolejnym kwadransie, drzwi gabinetu otworzyły się i do poczekalni wkroczył Rob Harris, mruczając pod nosem słowa podziękowania.

- Zapisz to, ślicznotko, na mój rachunek - zwrócił się do Sydney, nasadzając futrzaną czapkę na łysą głowę, okrągłą i lśniąca jak marmurowa kula. - Zapłacę po pierwszym.

Sydney zdążyła się już dowiedzieć, że pracownikom tartaku płacono dwa razy w miesiącu. Wypłata pierwszego przeznaczona była na pokrycie rachunków, a ta z piętnastego szła na życie oraz rozrywki. To wtedy właśnie Salty Saloon pękał w szwach.

Po wyjściu Harrisa Sydney zapisała w jego karcie wizytę. Mimo iż wielokrotnie proponowała, że zainstaluje w klinice swój komputer, Shayne uporczywie odmawiał wejścia w dwudziesty pierwszy wiek. Ten człowiek był zdeklarowanym tradycjonalistą, co zresztą miało swój urok.

Był także uparty jak muł.

Zamknęła książkę wizyt, wzięła głęboki oddech, sięgnęła po list od Bena i weszła do gabinetu Shayne'a. Mimo iż nie wiedziała, jakiego rodzaju wiadomości przynosi, była przygotowana na najgorsze.

Shayne stał zwrócony plecami do drzwi i patrzył przez okno. Nieopodal zaczynał się rezerwat leśny, do którego drwale nie mieli wstępu. Shayne nie myślał jednak o rosnących w nim drzewach. Myślami był zupełnie gdzie indziej - w sąsiednim pokoju.

Nagle przypomniało mu się powiedzenie: „Lekarzu, lecz się sam”. Ale jak się to miało do jego przypadku? Do tego uczucia niepokoju, które go ogarniało, ilekroć Sydney wchodziła do pomieszczenia, w którym akurat przebywał. Nawet gdyby ktoś go o to zapytał, nie potrafiłby

zlokalizować miejsca, w którym powstawał ten niepokój. Ani też przewidzieć, jak się dalej rozwinie. Wiedział tylko jedno - co legło u jego podstaw. Albo raczej kto.

Nie musiał się nawet odwracać, żeby wiedzieć, kto wszedł do gabinetu. Czemu jednak milczała? Zdziwiło go to.

- Są jeszcze jacyś pacjenci? - zapytał.

Sydney podeszła do biurka -powoli, jak żołnierz idący przez pole minowe.

- Wygląda na to, że wszystkich wyleczyłeś. Przynajmniej na razie. To przyszło do ciebie, kiedy badałeś pana Harrisa - dodała, uznając, że nie może dłużej odwlekać tego, co nieuniknione. - Pani Hatcher przyniosła pocztę.

- Sama się pofatygowwała?

Ze zdumieniem w oczach Shayne wziął list z rąk Sydney. Na widok znajomego pisma na kopercie zmarszczył brwi. Ben. Skoro pisze, to znaczy, że nie zamierza wracać. Przynajmniej na razie.

Podniósł wzrok na Sydney, zastanawiając, czy i ona wie, od kogo jest ten list.

- Tak - odparła na jego nieme pytanie. - Wiem, że to od niego.

Shayne patrzył przez chwilę na kopertę. W pierwszym odruchu chciał ją rzucić na biurko. Niech sobie poczeka. Otworzy ją później. Nie lubił jednak niczego odkładać na później i nie był też tchórzem. Były po prostu pewne rzeczy, o których wolałby się nigdy nie dowiedzieć.

Ale tym razem ten list dotyczył nie tylko jego. Dlatego, chcąc nie chcąc, rozdarł kopertę.

Sydney bardzo chciała zostać w gabinecie, żeby razem z Shayne'em przeczytać list. I nie była to zwykła ciekawość, lecz jakieś przeczucie, że jest w nim coś, o czym Shayne wolałby nie wiedzieć. Zupełnie jakby chciała go przed czymś chronić, pomyślała z ironią. A przecież zna go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Ruszyła do wyjścia, ale nie doszła jeszcze do drzwi, gdy rozległ się odgłos gnieczonego papieru.

- On nie wróci - usłyszała.

Odwróciła się i spojrzała na Shayne'a. Siedział na krawędzi biurka, ze zmiętą kartką w ręku.

- Ben postanowił otworzyć gabinet w Seattle. Pisze, że dla kogoś takiego jak on, są tam znacznie większe możliwości. - Shayne roześmiał się cicho. - I pewnie ma rację. - Spojrzał na Sydney. Stała w progu i patrzyła na niego pytającym wzrokiem, ale nic nie mówiła. - W Seattle, jeśli zechce, będzie mógł zrobić specjalizację - mówił dalej. W głębi ducha wątpił, czy jego bratu starczy wytrwałości, by pójść tą drogą. - Może też zostać lekarzem pierwszego kontaktu, który kieruje pacjentów na dalsze leczenie do specjalistów. To

mniejszy stres i mniejsza odpowiedzialność.

Jako lekarz na Alasce, Shayne nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Musiał szybko podejmować decyzje, bo od tego często zależało ludzkie życie.

Uważał, że to bardzo ważna umiejętność, ale Ben traktował to jako dodatkowe obciążenie.

Słuchając Shayne'a, Sydney poczuła, że ściska jej się serce. Podeszła bliżej, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

- I co teraz zrobisz?

Wzruszył ramionami i wrzucił list do kosza.

- To, co robiłem, kiedy Ben był na studiach. Będę ciągnął to wszystko sam.

Znowu poczuła ukłucie w piersi.

- Przecież wiesz, że nie jesteś już sam - powiedziała miękko. Shayne spojrzał jej w oczy. - Nie jesteś sam - powtórzyła. - Masz Sarę i Maka. Masz mieszkańców tego miasta... - Urwała i po chwili dodała: - No i mnie, bez względu na to, co to dla ciebie oznacza.

Shayne udał, że nie usłyszał ostatniego zdania. Uważał, że to pułapka. A on już raz dał się złapać w taką pułapkę i nic dobrego z tego nie wyniknęło. Nie zamierzał powtarzać tego smutnego doświadczenia.

- Chciałem powiedzieć, że będę to ciągnął sam jako lekarz. Sydney jednak nie miała zamiaru się poddać.

- A ja chciałam powiedzieć, że nie będziesz sam jako człowiek. Zapadła znacząca cisza. Po chwili Shayne rozejrzał się wokoło i znowu zapytał:

- Jest jeszcze ktoś do mnie?

W jego głosie było tyle nadziei, że Sydney mimowolnie się roześmiała.

- Nie, nie ma już nikogo. Wiesz co, znalazłam lekarstwo na twoją chandrę - oświadczyła, a kiedy uniósł brwi, dodała: - Co ty na to, żeby mnie teraz pouczyć latania?

- Nie mam żadnej chandry i nie potrzebuję lekarstw - obruszył się. Latanie z nią nie mogło być lekarstwem, mogło go co najwyżej pozbawić resztek zdrowego rozsądku. - Wiesz o tym, że masz spalone poczucie humoru?

Sydney uśmiechnęła się. Skoro nie może zaoferować mu ramienia, na którym mógłby się wesprzeć, albo chociaż sprawić, by zechciał posłuchać głosu rozsądku, postara się przynajmniej trochę go rozerwać. Kto wie, może nawet uda jej się wyczarować na jego twarzy uśmiech?

- Tak uważasz? Musisz przyznać, że kiedy mnie uczysz, przynajmniej nie zaprzątasz sobie głowy innymi sprawami.

Punkt dla niej. W tym wypadku nie mógł nie przyznać jej racji. Nie miał jednak zamiaru

kapitulować bez walki albo przynajmniej bez jej pozorów.

- Są jacyś pacjenci zapisani na popołudnie? Sydney potrząsnęła głową.
- Nie, żadnych.

W tej sytuacji nie mógł odmówić. Skoro nie było pacjentów, nie miał już nic do roboty w klinice. Sydney potrafiła zadbać o to, by wszystko było prowadzone na bieżąco - rachunki, karty, statystyki. Sama to teraz robiła.

Westchnął z rezygnacją. Prawdę mówiąc, lekcje z Sydney wcale nie były aż takie nieprzyjemne, ale ona nie może się o tym dowiedzieć, bo jeszcze gotowa sobie Bóg wie co pomyśleć. Albo zacnie sobie wyobrażać coś, czego absolutnie nie powinna sobie wyobrażać. Bo on sobie tego nie życzy.

- No to chodźmy. - Zdjął kurtkę z wieszaka. - Ostatecznie mogę cię trochę pouczyć.

Wyszła za nim do poczekalni.

- Wyglądasz, jakbyś szedł na ścieżce. Otwierając drzwi, spojrzał na nią.
- Kto wie... - mruknął.

Lądowisko rozpościerało się przed nią jak olbrzymia biała płachta. Ślady kół - dowód na to, że w ciągu ostatniej godziny wielokrotnie przejeżdżała to samo miejsce - krzyżowały się na śniegu.

Kokpit - w kontraście do otaczającej ich rozległej przestrzeni - wydawał się niemal mikroskopijny. Zwłaszcza w porównaniu z bezkresnym niebem, na którym miała odbyć swój dziewiczy lot.

Zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Kołowanie nieźle mi idzie, prawda?

Komplementy były czymś, na co Shayne rzadko sobie pozwalał, ale Sydney potrafiła je z niego wyciągać.

- Owszem, nieźle - przyznał niechętnie.

Czyżby nie wyczuł sarkazmu, kryjącego się w jej pytaniu? Postanowiła zaatakować wprost.

- Nie uważasz, że już najwyższa pora, żebym zaczęła latać?
- Czym? Samolotem? - zapytał. A co innego mogła mieć na myśli?
- Oczywiście, że tak.
- Nie! - odparł krótko i zwięźle, nie pozostawiając jej żadnych złudzeń. A potem, żeby jakoś osłodzić jej tę gorzką pigułkę, dodał: - Kiedy uznam, że nadszedł czas, powiem ci.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie sądzę, żebyś to kiedykolwiek zrobił. Pewnie w głębi duszy żywisz nadzieję, że w

końcu mi się znudzi i przestanę cię molestować. - Zaciśnęła zdecydowanie usta. Shayne znał już tę jej minę i wiedział, kiedy może się jej spodziewać. - Muszę cię wobec tego rozczarować. Nie mam zamiaru rezygnować i nigdy nie przestanę cię o to prosić.

Shayne gestem nakazał jej, by patrzyła przed siebie.

- Mylisz się - powiedział.

Czy jemu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozumy?

- Chyba sama wiem najlepiej...

Musi ją powstrzymać, zanim się rozgada. Inaczej nie uda mu się już wtrącić ani słowa.

- Chciałem tylko zaznaczyć, że mylisz się, sądząc, że to dla mnie coś nowego. Znam cię już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie spoczniesz, póki nie postawisz na swoim.

Powiedział to tak, jakby miał jej to za złe. A przecież właśnie dzięki ludziom tak wytrwałym i upartym jak ona ten kraj, który tak ukochał, mógł się rozwijać.

- Niektórzy uważają to za zaletę. Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Ale innych to złości.

- A ty do których należysz? - zapytała, czując na sobie jego wzrok.

Nie potrafił kłamać, tak samo jak nie potrafił okazywać uczuć.

- Do tych pośrodku.

- To już coś, mogłoby być gorzej - rzekła po namyśle. Shayne roześmiał się. Sprawilo jej to przyjemność, choć podejrzewała, że właśnie z niej się śmiał.

- Co cię tak rozbawiło? Powiedziałam coś śmiesznego?

- Nie, raczej nie. - Shayne rozsiadł się wygodniej w fotelu i pomyślał, że Sydney zawsze trafia w sedno. - Chodzi mi o twój stosunek do życia.

- A co ci się w nim nie podoba? - zapytała, spodziewając się miażdżącej krytyki.

- Nie jestem przyzwyczajony do osób, które widzą wszystko w jasnych barwach. - Przywykł raczej do ludzi, którzy ciągle na coś narzekali. To na pogodę, to na ciężkie warunki, to na brak luksusów. Ben należał do tych nielicznych, którym się tu podobało, ale przecież nawet on w końcu wyjechał. - Naprawdę ci się tu podoba? - zapytał.

- O, tak - odparła z entuzjazmem. - Co prawda, czasem brakuje mi większych sklepów albo restauracji, w których mogłabym zamówić coś do domu, ale generalnie mi się podoba. - Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Nawet bardzo. Pomyślał o Barbarze, która nienawidziła wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Alaską. Nawet Anchorage wydawało jej się nie dość cywilizowane. Jej zdaniem nic nie było w stanie dorównać Nowemu Jorkowi.

- A czemu tak ci się tu podoba?

Szukał potwierdzenia własnych decyzji czy rzeczywiście interesowała go jej opinia? -

zastanawiała się Sydney.

- Bo to taki rozległy i piękny kraj - odparła. - A poza tym wszystko, co tam, u nas, wydaje się naturalne i na co nie zwracamy uwagi, tutaj staje się czymś zupełnie nowym i bardzo cennym. Na przykład telefony czy elektryczność. Dzięki temu człowiek uczy się inaczej patrzeć na życie i cenić sobie to, co posiada. - Spojrzała na niego wymownie. - A także to, co może jeszcze dostać.

Znowu usidliło go jej spojrzenie. Wszystko wokół zamarło w bezruchu.

Ale nie samolot. W ostatniej chwili Shayne uświadomił sobie, że Sydney przestała krążyć w kółko i maszyna mknie wprost na garaż.

- W prawo! - krzyknął. - Skręcaj w prawo!

Sydney przekreśliła kierownicę aż do opora. Cessna w ostatniej chwili ominęła budynek.

Shayne głośno odetchnął. Zderzenie poważnie uszkodziłoby garaż, nie mówiąc już o samolocie.

Zmarszczył gniewnie brwi. Był zły przede wszystkim sam na siebie. Powinien był się zastanowić, zanim uległ jej namowom. Kiedy maszyna wyhamowała, odebrał Sydney kluczyki.

- Nie jesteś jeszcze gotowa, żeby latać.

- Ależ jestem - stwierdziła z przekonaniem.

Shayne spioranował ją wzrokiem. Czy ta kobieta zwariowała?

- O mały włos, a byłabyś mi rozwalila garaż. Na jakiej podstawie wyobrażasz sobie, że jesteś wystarczająco przygotowana?

Odpowiedź przyszła jej tak łatwo, jakby udzielała trzecioklasistom lekcji logicznego rozumowania.

- To bardzo proste. Gdybym latała, nie mogłabym rozwalić ci garażu. Garaż stoi na ziemi, a ja byłabym w powietrzu.

W pierwszej chwili osłupiał, a potem wybuchnął śmiechem. I sam już nie wiedział, czy sprawiło to uczucie ulgi, czy nerwy. Nagle zrobiło mu się lekko na sercu. Co za wspaniałe uczucie, znowu móc się śmiać.

Kiedy się wreszcie uspokoił, potrząsnął głową i powiedział:

- O Boże, ale z ciebie numer, Sydney. Odpowiedziała uśmiechem, jakby usłyszała komplement.

- Miło mi, że to zauważyłeś.

Spojrzał na nią uważnie. Czasem zapominał, że jest taka piękna i że tak bardzo mu się podoba. Ale nie na długo.

- Owszem, zauważyłem. Kłopot w tym, że nic nie mogę na to poradzić.

- Nie możesz czy nie chcesz? - zapytała. Musiała to wiedzieć.

Będzie z nią szczerzy. Może kiedyś, dawno temu, zainteresowałby się nią. Ale nie teraz. Poza tym zakochała się w Benie, a on i jego brat różnili się od siebie jak zima od lata. Jeżeli ona lubi lato, zima wypędzi ją stąd w krótkim czasie.

- Jedno i drugie - odparł. - Już raz zabrnąłem w ślepy zaułek i z trudem odnalazłem drogę powrotną.

Decyzja należy do niego, pomyślała. Mógłby dostać wszystko, gdyby tylko chciał...

- Moim zdaniem wcale jej nie znalazłeś - oświadczyła.

- Nikt cię nie pyta o zdanie - odparował, czując, że zachowuje się grubiańsko. Przecież ona sobie na to nie zasłużyła. No, może trochę jej się należało za to wścibstwo, niemniej jednak powinien przestrzegać dobrych manier i nie skakać jej do gardła.

- Przepraszam - powiedział po chwili. Przypomniał sobie, jaka była nieszczęśliwa na lotnisku, kiedy musiał jej powiedzieć, że została oszukana. - Sądzę, że tobie udało się wybrnąć ze ślepego zaułka, w jakim znalazłaś się z winy mojego brata.

Może nie do końca, pomyślała Sydney.

- Tak, dotarłam do miejsca, w którym chciałabym zamieszkać, a poza tym potrafię znowu się śmiać - odparła.

- Byłem zakochany w mojej żonie - zaczął nagle Shayne. - Naprawdę zakochany. Po raz pierwszy i jedyny w życiu. - Sam nie wiedział, po co jej to wszystko mówi. I dlaczego tak mu ulżyło. - Wychowałem się w przekonaniu, że miłość oznacza trwanie przy kimś bez względu na wszystko, a nie rezygnację, gdy coś zaczyna się dziać nie po twojej myśli. Barbara bardzo szybko się poddała. Chyba mnie po prostu nie kochała.

Ta kobieta musiała być skończoną idiotką, pomyślała Sydney.

- Czy walczyłeś o nią, Shayne? - zapytała. Nie od razu pojął sens jej pytania.

- Co?

Odwróciła się ku niemu.

- Czy walczyłeś o nią, kiedy postanowiła wyjechać? Próbowałeś ją zatrzymać?

Dobrze pamiętał te ostatnie dni: awantury, trzaskanie drzwiami. Nigdy nie zapomni płaczu przerażonego Maka. Widok zrozpaczonego synka sprawił mu wtedy największy ból.

Odpędził bolesne wspomnienia. Po co rozdrapywać stare rany?

- Walczyłem z nią, jeżeli o to ci chodzi. Ale na nic się to zdało. Zostawiła nas i wyjechała.

Sydney położyła rękę na jego rękę.

- A przy okazji zabrała twoje serce.

Cofnął rękę, choć nie od razu. Dopiero gdy poczuł ciepło, promieniujące z jej dłoni.

- To zbyt romantyczne stwierdzenie. Po jej wyjeździe wydorostałem. Zacząłem widzieć świat takim, jakim był naprawdę.

Nie, nieprawda. Zobaczył świat takim, jakim był, ale tylko dla niego.

- Ile razy mam ci mówić, Shayne, że dorośli także potrzebują miłości?

Powiedziała to z taką pewnością siebie, z takim przekonaniem, że niemal gotów był jej uwierzyć. Tylko że on wiedział swoje.

- Ciągle mi to powtarzasz i...

- I co? - wyszeptwała.

Boże, jak bardzo jej pragnął. Ale to nie byłoby dobre ani dla niej, ani dla niego.

- Nie chcę się w tobie zakochać, Sydney.

- Przecież nikt cię do tego nie zmusza - odparła, patrząc mu w oczy.

Ujął w dłonie jej twarz.

- Owszem, zmusza.

Niełatwo pocałować kogoś, kto siedzi przypięty pasami do fotela. A jednak mu się to udało.

ROZDZIAŁ 12

Sydney zakręciło się w głowie. Miała wrażenie, jakby samolot wpadł w korkociąg i zaczął pikować w dół. Jej usta coraz żywiej reagowały na dotyk ust Shayne'a. Była coraz bardziej spragniona. I to nie tylko jego pocałunków, ale i jego samego.

Wczepiła mu palce we włosy. Całe jej ciało domagało się spełnienia. Pragnęła go. Chciała się z nim kochać. Chciała też, żeby i on pragnął jej równie mocno.

Niestety wiedziała, że prędzej słońce wzejdzie tu o szóstej rano, niż spełnią się jej pragnienia.

Kiedy Shayne odsunął się, otworzyła oczy i spojrzała na niego z uczuciem zawodu.

I wtedy właśnie zrozumiała, że wpadła w poważne kłopoty. Stało się. Wbrew własnej woli zakochała się w tym mężczyźnie.

A on musiał zobaczyć to w jej oczach. Była tego pewna. Przygryzła wargi, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej krępującej sytuacji. Spojrzała przez okno ponad ramieniem Shayne'a.

- Ciekawe, co by ludzie powiedzieli, gdyby zobaczyli, że ich powszechnie szanowany doktor obściskuje się na przednim siedzeniu samolotu ze swoją pielęgniarką? - zapytała z uśmiechem.

Shayne pomyślał, że powinien lepiej nad sobą panować. Obecność Sydney sprawiała, że

jego wola słabła.

- Nie na przednim siedzeniu, tylko w kokpicie, i nikt tego nie widział. A poza tym wcale się nie obściskiwaliśmy - powiedział urażony. - W końcu to był tylko niewinny pocałunek.

Niewinny, akurat! - pomyślała Sydney. Shayne może sobie mówić, co chce, ale ona i tak wie swoje. Zbyt dużo włożył w ten pocałunek uczucia i zbyt energicznie protestował.

Z trudem powstrzymując się od śmiechu, znów spojrzała przez okno.

Kiedy Shayne się odwrócił, zobaczył Ike'a, który stał obok samolotu i uśmiechał się od ucha do ucha.

Widząc, że przyjaciel na niego patrzy, Ike zapukał w boczną szybę.

- Czego chcesz? - zapytał Shayne i otworzył drzwi. Miał wielką ochotę wyróżnić przyjaciela w żołądek.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - powiedział Ike. Już nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim chłopakom w swoim barze. Nie kryjąc zadowolenia z takiego obrotu spraw, zwrócił się do Sydney: - Widzę, że udało ci się go trochę rozkręcić. - Mrugnął znacząco. - Od początku na ciebie stawiałem, kotku.

Czerwony z irytacji Shayne burknął:

- Czy fatygowaleś się tu tylko po to, żeby nam o tym powiedzieć?

- Ależ nie! - Ike podniósł pakunek, który został właśnie dostarczony do sklepu na specjalne zamówienie. - Przyjechałem, żeby dać Sydney ten pokrzepiający prezent. - Podał jej paczkę. - Nie miałem nawet czasu, żeby to porządnie zapakować - wyznał - ale pomyślałem sobie, że chciałabyś to dostać od razu.

Zaintrygowana i ucieszona Sydney wzięła paczkę i zajrzała do środka. Wewnątrz było pudełko z obrazkiem telefonu.

- Telefon?! - wykrzyknęła z radością. Shayne zajrzał do torby.

- Na to wygląda - mruknął obojętnie.

- Jadę prosto ze sklepu - oświadczył Ike. - Przesyłka nadeszła godzinę temu. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

W tym momencie dotarło wreszcie do Sydney, co Ike usiłuje dać jej do zrozumienia.

- Czy to znaczy, że linia telefoniczna została już doprowadzona do chaty? - zapytała z nadzieją w głosie.

To była ciężka praca, pomyślał Ike, ale pogoda im sprzyjała. Odkąd Sydney przyjechała do Hadesu, miał wrażenie, że nawet klimat stał się nieco łagodniejszy.

- Tak, skończyliśmy dziś rano - odparł. - Reed pojechał prosto do baru, na śniadanie. Kazał ci powiedzieć, że możesz już dzwonić na cały świat. O ile pogoda pozwoli.

Sydney z radością przytuliła pudełko do piersi. Była coraz bliżej własnego domu.

- A prąd? - zapytała. Ike potrząsnął głową.

- Jeszcze nie - odrzekł. Na widok jej zawiedzionej miny zrobiło mu się przykro. - Ale wiem, że chłopaki ostro nad tym pracują. Mam nadzieję, że skończą przed świętami.

A święta miały być już za trzy tygodnie! Na Alasce to mniej niż mrugnięcie okiem.

- Nie szkodzi - oświadczyła. - Grunt, że mam telefon. - Przeniosła wzrok na Shayne'a. - Widzisz, jak los mi sprzyja?

- Lepiej nie próbuj go kusić - burknął.

Nienawidził tego dziwnego, zaborczego uczucia, jakie ogarniało go za każdym razem, kiedy ktoś zwrócił uwagę na Sydney. Nie miał przecież żadnych podstaw do zazdrości - nic go z Sydney nie łączyło. Czemu więc tak często o tym zapominał?

- Chodź tu - zwróciła się Sydney do Ike'a, a on zrobił to tak ochoczo, że Shayne parsknął szyderczym śmiechem. - Dzięki. - Cmoknęła Ike'a w policzek. - Bardzo się cieszę.

Tego już za wiele, pomyślał Shayne. Chrząknął głośno i spojrzał wymownie na przyjaciela.

- Mam was zostawić samych? - Ike cofnął się z udanym przestachem, unosząc ręce do góry. - Już to robię. Nie chcę, żebyś mnie oskarżył o partyzantkę na twoim terytorium. O, nie. Możesz mi się jeszcze przydać, nigdy nic nie wiadomo. W końcu jesteś tu jedynym lekarzem. Nie chciałbym, żebyś mnie w razie czego otruł, zamiast wyleczyć.

- Szkoda, że tego jeszcze nie zrobiłem - stwierdził Shayne. Sydney uniosła pokrywkę pudełka i zajrzała do środka.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy go wypróbuję - powiedziała i spojrzała wymownie na Shayne'a. - Zamień się ze mną miejscami, dobrze?

- POCO?

- Wiem, że nie pozwolisz mi poprowadzić cessä, a samolotem dotrzemy tam znacznie szybciej niż samochodem.

Co miał robić? Udawać, że nadal nic nie rozumie?

- Masz absolutną rację - odparł, starannie akcentując słowa, jakby zwracał się do małego dziecka. - A dokąd to mamy się wybrać?

Uniosła w górę telefon.

- Chcę go jak najprędzej wypróbować.

- Możesz to zrobić w domu - oświadczył Shayne. - W sieni jest dodatkowy kontakt.

Przyciskając pudełko do piersi, potrząsnęła głową.

- To nie to samo. Chcę go wypróbować u siebie. Ike zachichotał i klepnął Shayne'a po

plecach.

- Pamiętaj o tym, że życzenie tej pani jest rozkazem - powiedział.

Shayne spiorunował go wzrokiem.

- Spełniam każde życzenie tej pani, odkąd się tu tylko zjawiała.

- No, no, kto by pomyślał! - zarechotał Ike.

Co robić? - zastanawiał się Shayne. Obojgu nie da rady. Zdziobią go. Wygramolił się niechętnie z kokpitu i obszedł samolot.

- Nie śmieć się tak głupio, Ike. To nie to, co myślisz. Ale jego przyjaciel znowu wybuchnął śmiechem.

- A skąd wiesz, stary, o czym ja myślę?

- Wiem, wiem. I powiem ci, że się mylisz.

- Skoro tak twierdzisz... - mruknął Ike z miną niewiniątka. Shayne zrozumiał, że im energiczniej będzie protestował, tym głębiej się pograży, postanowił się więc poddać.

Sydney przesiadła się na fotel pasażera. Gdy zapinała pasy, Shayne usiadł w fotelu pilota i bez słowa przekręcił kluczyk. Maszyna wystartowała.

Nie musiał nic mówić. Jego zachowanie mówiło samo za siebie. Pod tym względem przypominał Sydney jej ojca. Z tą tylko różnicą, że jej ojciec częściej się uśmiechał.

- Dziękuję - odezwała się, tuląc telefon do piersi.

W odpowiedzi Shayne burknął coś pod nosem. Nie chciał jej podziękowań. Chciał zostać sam.

I w tej chwili rzeczywiście w to wierzył.

Wygląda jak dziecko podczas świąt Bożego Narodzenia, pomyślał Shayne. Albo jeszcze lepiej - podczas Wielkanocy.

Tak, Wielkanoc... Jak podniecone dziecko, które szuka ukrytych pisanek... Dorzucił dREW do ognia i spojrzał na Sydney, która krążyła od ściany do ściany w poszukiwaniu gniazdka.

- Mam! - obwieściła w końcu triumfalnym tonem.

- Moje gratulacje.

- Nie bądź taki uszczypliwy. To do ciebie nie pasuje - powiedziała, po czym rozsiadła się na dywaniku, który dawniej zdobił salon Jeana Luca. Wyjęła telefon z pudełka i błyskawicznie zmontowała poszczególne części.

Pomyślał, że uszczypliwość stała się jego jedynym orężem w walce z Sydney. Kiedy ogień na dobre się rozpałił, wstał i podszedł do niej.

- Wyglądasz jak kobieta, która rozpaczliwie chce zatelefonować - powiedział z ironicznym uśmiechem.

- Bo tak właśnie jest - przyznała, po czym delikatnie, niemal pieszczotliwie, wystukała numer na klawiaturze. - Wydaje mi się, że w ten sposób będę miała lepszy kontakt z ludźmi.

Kto by to pomyślał? Dotąd wydawało mu się, że Sydney zawdzięcza wszystkie kontakty wyłącznie swojemu otwartemu usposobieniu. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która - tak jak Sydney - z miejsca stawałaby się sercem całego towarzystwa. Gdziekolwiek się pokazała - w klinice, w barze, na stadionie, wszyscy od razu gromadzili się wokół niej, spragnieni jej uśmiechu. A ona zawsze była tam, gdzie coś się działo. I przyciągała ludzi jak magnes.

Shayne oparł się o ramię fotela, który ofiarowała Sydney starsza pani Ridley.

- Mogę wiedzieć, do kogo dzwonisz? Do kogoś w Omaha? Do przyjaciółki? - A może do byłego ukochanego? - pomyślał.

Sydney potrząsnęła tylko głową, całkowicie pochłonięta odgłosami dzwonka po drugiej stronie linii. Wyglądała jak skupiona melomanka, podczas koncertu w Carnegie Hall.

Wreszcie ktoś odebrał i Sydney usłyszała dziecięcy głos:

- Halo? Uśmiechnęła się.

- Witaj, Saro, tu Sydney. Zgadnij, skąd dzwonię? - Poczekała, aż dziewczynka spróbuje to odgadnąć, a potem powiedziała:

- Nie. Z mojego nowego telefonu! Nie, nie z kliniki, z mojej chatki, kochanie. Tak, z tej, którą wszyscy pomagali mi odnowić. Jest już prawie gotowa. Oczywiście, że pozwolę ci zadzwonić z mojego telefonu, jak tylko tu przyjedziesz. Poproś teraz Maka, dobrze? - Zakryła słuchawkę i spojrzała na Shayne'a.

- Chcesz z nim porozmawiać? - zapytała, ale nie była zdziwiona, kiedy potrząsnął odmownie głową, może tylko trochę rozczarowana. - Cześć, Mak. Mam już swój telefon i chciałam, żebyście to wy byli pierwszymi, do których zadzwonię. Tak, dzwonię z chaty. Nie, jeszcze się nie przeprowadzam. Już niedługo. - Spojrzała na Shayne'a. - Tata każe cię pozdrowić. Tak, naprawdę. Dobrze. Muszę już kończyć. Niedługo będziemy w domu. No to pa!

Odłożyła słuchawkę na widełki i znów spojrzała na Shayne'a. Miał nieprzeniknione spojrzenie, które ją trochę zdeprymowało. Jak dotąd, potrafiła poznać po jego minie, kiedy był zły. A często bywał zły i to zazwyczaj na nią.

Jednak teraz nie był zły. Chyba nie. Nie potrafiła jednak odgadnąć, o czym myślał.

Tymczasem Shayne ze zmarszczonym czołem usiłował rozwiązać zagadkę, jaką była dla niego Sydney Elliot. Ale jakoś mu się to nie udawało.

- Jest tyle osób, do których możesz zatelefonować tam, w Omaha, a ty dzwonisz do Sary i Maka, dwójki dzieci, które masz na co dzień. Dlaczego?

- Pomyślałam sobie, że się ucieszę, kiedy im powiem, że do nich pierwszych dzwonię. I miałam rację.

Ale to jeszcze niczego nie wyjaśniało. Przecież telefony są po to, żeby podtrzymywać kontakt albo pomóc pokonać barierę odległości, a nie po to, żeby sprawiać przyjemność parze obcych dzieciaków.

- Nie rozumiem cię, Sydney.

- Chyba mówię jasno i wyraźnie - powiedziała z uśmiechem. - Czego nie możesz zrozumieć?

Czegoś, co od początku nie dawało mu spokoju.

- Nie rozumiem, co ty tu właściwie robisz?

Mogłaby sama wstać, ale wyciągnęła rękę i czekała, żeby jej pomógł.

- Doskonale wiesz, co tu robię. Przyjechałam, żeby wyjść za mąż za twojego brata.

Shayne podał jej rękę i pociągnął do góry.

- Mogłaś przecież wrócić do domu. Wzruszyła ramionami.

- Chciałam zacząć nowe życie. Zapomniałeś?

Tym razem nie da się zbyć byle czym. Musi zaspokoić swoją ciekawość.

- Większość kobiet w takiej sytuacji kupiłaby sobie nowe szpilki. Po co zaraz nowe życie?

Sydney wcisnęła ręce do kieszeni i odwróciła wzrok. Za dużym wykuszowym oknem gromadziły się ołowiane chmury.

Miała nadzieję, że kiedy odpowie, Shayne przestanie ją wypytywać.

- A może nowe życie to coś, czego najbardziej potrzebuję?

- Ale dlaczego? - naciskał. - Od dłuższego czasu próbuję zrozumieć, czemu kobieta, która mogłaby sobie znaleźć bez trudu przyjaciół na całym świecie, postanowiła ukryć się na takim wygwizdowie.

Sydney dumnie uniosła głowę.

- Ja się wcale nie ukrywam, ja tylko... Mój ojciec zmarł trzy lata temu - powiedziała. - Bardzo to przeżyłam. Po raz pierwszy w życiu straciłam grunt pod nogami. I poczułam się tak przeraźliwie samotna... - Wzięła głęboki oddech. Nawet teraz trudno jej było się z tym pogodzić. - A potem zakochałam się w niewłaściwym człowieku...

- W moim bracie? - Było to czysto retoryczne pytanie. Nie spodziewał się, że zaprzeczy.

- Nie, to był ktoś przed twoim bratem. - Zobaczyła wyraz zdumienia na twarzy Shayne'a. Cóż, w końcu sam o to zapytał.

- Ktoś, o kim dzięki listom twojego brata udało mi się zapomnieć. - Te listy były dla niej bardzo ważne, pomogły jej otrząsnąć się po tych wszystkich ciosach, które na nią spadły.

- I co się stało? - zapytał. - Mam na myśli tamtego mężczyznę?

Wzruszyła ramionami.

- Ja chciałam mieć dzieci, a on chciał być wolny. Przez jakiś czas myślałam, że udało nam się osiągnąć pewien kompromis, ale on porzucił mnie przed ołtarzem. - Westchnęła. Wszystko to należało już do przeszłości. - Sądziłam, że nic nie dzieje się bez powodu i że musiałam przez to przejść, żeby spotkać na koniec Bena.

- Znowu westchnęła. - Niestety i tym razem się pomyliłam.

Dwukrotnie została porzucona u stóp ołtarza. Dosłownie i w przenośni. A mimo to wciąż parła do przodu. Shayne sam już nie wiedział, czy mają podziwiać, czy też uważać za skończoną idiotkę.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Wynik mojego dotychczasowego życia osobistego brzmi zero do dwóch. Dlatego właśnie postanowiłam, że przestanę szukać kogoś, z kim mogłabym dzielić życie i zacznę po prostu żyć na własny rachunek. I jak na razie idzie mi chyba całkiem nieźle, prawda?

Płomienie odbijały się w jej włosach, nadając im ciepły połysk. Shayne nie mógł się oprzeć pokusie, by ich nie dotknąć. Wciąż patrząc Sydney w oczy, chwycił długie, złote pasmo.

- Mówią, że jeśli człowiek przestanie w końcu czegoś szukać, wtedy to znajduje - powiedział.

Serce podeszło Sydney do gardła.

- Co mówisz? Shayne potrząsnął głową.

- Sam już nie wiem... Tak samo jak nie wiem, czemu tak bardzo chcę cię pocałować.

Uśmiechnęła się.

- Czy studenci medycyny nie uczą się już podstaw biologii? - zapytała.

Tak bardzo jej pragnął. Aż do bólu.

- Nie wiem. Chyba przespałem te wykłady. Zbliżyła się i zarzuciła mu rękę na szyję.

- No to dam ci skrócony kurs, żebyś sobie odświeżył dawne wiadomości. Otóż nie wiem, czy ci wiadomo, ale mężczyźni i kobiety czują do siebie naturalny pociąg. - Przytuliła się do niego. - Podobno też najbardziej przyciągają się przeciwieństwa. - Pocałuj mnie, Shayne, błagała go w duchu. Nie każ mi się rzucać na ciebie.

Roześmiał się cicho, próbując opanować falę gorąca, która nagle ogarnęła jego ciało.

- Może jednak coś w tym jest - mruknął - bo różnimy się od siebie pod każdym względem.

- O, tak. - Wzięła głęboki oddech i jeszcze mocniej się do niego przytuliła. - Czy chcesz teraz rozmawiać o teorii względności, czy może wolisz mnie pocałować?

Shayne poczuł, że jego opór słabnie.

- Fizyka nigdy nie była moją mocną stroną.

- Dzięki Bogu.

Stojąc pośrodku chaty, w której mieszkała jej ciotka, Sydney wiedziała już, że tym razem będzie inaczej. Wiedziała to od chwili, gdy jego usta dotknęły jej ust. Czuła, że nic już nie będzie w stanie ich powstrzymać.

Nie chciała myśleć o konsekwencjach. O tym, że całując Shayne'a, popełnia największe głupstwo w swoim życiu. Czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

A on nie potrafił powiedzieć, co takiego miała w sobie Sydney, że w jej obecności tracił rozum. Wiedział tylko jedno, że jeśli nie będzie mógł posiadać jej miękkiego, uległego ciała, do reszty postrada zmysły.

Tuląc ją do siebie i całując, poczuł nagle, że Sydney drży. Przeraził się, że to ze strachu.

Ostatkiem sił odsunął się i spojrzał na nią, próbując domyślić się przyczyny, bo nie śmiał jej o to zapytać.

Pożądanie, rozpalające ciało Sydney, nasilało się z każdą chwilą. Było już niemal nie do zniesienia. Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić oszalały puls, ale na próżno.

Czy coś jest nie tak? Czyżby Shayne w ostatniej chwili zmienił zdanie? Podniosła na niego oczy. Nie, miał to jasno wypisane na twarzy. Więc dlaczego?

- Czy prawo tego stanu uznaje za usprawiedliwione morderstwo w afekcie?

Było to najdziwaczniejsze pytanie, jakie mogło paść w takiej chwili.

- Chyba tak. Czemu pytasz?

- Bo... - Przycisnęła usta do jego szyi. - Jeżeli przestaniesz mnie teraz całować, będę zmuszona cię zabić.

Mgła przesłoniła mu oczy, krew zawrzała w żyłach. Ostatkiem sił próbował się opanować.

- Sydney, może nie powinniśmy...

Jego słowa ugodziły ją jak nożem. Znowu spojrzała mu w oczy. Czyżby się jednak myliła?

- Chcesz, żebyśmy przestali?

Nie potrafił kłamać, nawet gdyby chodziło o życie.

- Nie! Na Boga, nie! Nie chcę!

- No to całuj mnie - wyszeptała. Chciało jej się płakać.

Jej cichy szept drażnił zmysły Shayne'a, zwiastując ostateczną klęskę.

Klęskę, która miała być jednocześnie zwycięstwem.

Pochylił się i zaczął ją całować, wkładając w to całą duszę. Bo nagle odkrył, że ma jednak duszę, że żyje, że się obudził.

To, co później nastąpiło, zapadło mu głęboko w pamięć.

Przytłoczony namiętnością, nie próbował się nawet opierać.

Rozbierali się nawzajem, ich ruchy były w pełni zharmonizowane. Ubrania opadły na podłogę.

Na widok każdego obnażanego fragmentu jej ciała czuł się jak podróżnik, odkrywający nowe terytoria.

Nie próbował oszukiwać się, że jest jej pierwszym. Ani też nie miał nadziei, że będzie jej ostatnim. Teraz jednak to właśnie on był tu z nią. Należała do niego, i to mu wystarczało.

Czuł, że tak miało być.

Miała jedwabiącą gładką skórę, a jej ciało żywo reagowało na jego pieszczoty. Okrywał ją pocałunkami, czując, jak oboje otwierają się dla siebie.

Był już kiedyś żonaty. Poznał - tak mu się przynajmniej zdawało - wszelkie rozkosze cielesnego obcowania.

Teraz jednak zrozumiał, że nie miał o niczym pojęcia.

Uczył się wszystkiego od nowa, dając i biorąc rozkosz. I sam już nie wiedział, co napełniało go większym szczęściem.

Położył delikatnie Sydney na dywanie i zagarnął ją pod siebie. Chciał się z nią kochać każdym nerwem swojego rozpalonego ciała. Tak, by wymazać z pamięci wszystkich mężczyzn, którzy byli przed nim.

Ona zaś pragnęła zachować w sobie pamięć tych chwil, by móc się nimi sycić podczas długich polarnych nocy.

W ramionach Shayne'a czuła się piękna, pożądana i szczęśliwa.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, że potrafisz mnie ocucić, gdybym zemdlą, wołałabym jednak być przytomna - powiedziała, otwierając się przed nim.

Przyjął z wdzięcznością jej zaproszenie. A kiedy w nią wszedł, pojął, że nie było to tylko spotkanie dwóch spragnionych ciał, ale coś znacznie więcej. Poczował się jak strudzony wędrowiec, który po latach tułaczki dotarł bezpiecznie do domu. I chciał się napawać każdą tak szczerze ofiarowaną mu chwilą.

Tak jak napawał się słodyczą ust Sydney, jej zmysłowym zapachem, gładkością jej skóry.

Chłonał ją wszystkimi zmysłami, jak narkotyk, póki wreszcie złączeni w zgranym rytmie nie odnaleźli tego, czego oboje szukali.

ROZDZIAŁ 13

W pokoju zrobiło się chłodno. Sydney z westchnieniem spojrzała w stronę kominka.

- Ogień dogasa - odezwała się do Shayne'a. Jej ciepły oddech muskał mu skórę.

Nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek czuł się taki wyczerpany. Jednak już sama świadomość, że Sydney leży obok niego, sprawiła, że znowu ogarnęło go podniecenie.

- Jeszcze chwileczkę. Zaraz coś z tym zrobię.

Sydney uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Lśniące włosy tworzyły wokół jej twarzy złotą aureolę.

- Wspomnienie tego, co tu zaszło, będzie mnie grzało w długie zimowe wieczory - powiedziała z uśmiechem.

Miał wielką ochotę znowu ją pocałować. A potem kochać się z nią przez całą noc, chociaż był taki zmęczony.

Pożądanie i poczucie obowiązku stoczyły szybki pojedynek w jego duszy. Poczucie obowiązku wzięło w końcu górę, ale tak naprawdę w tej walce nie było zwycięzcy.

- Szczerze mówiąc, chciałbym...

Spojrzała na niego z nadzieją w oczach. Tak bardzo pragnęła usłyszeć coś miłego.

- Czego chciałbyś?

Przez chwilę walczył z chęcią, żeby wziąć ją w ramiona, a potem z westchnieniem powiedział:

- To, co chciałbym, a to, co muszę, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Sydney usiadła.

- Nie o tym zamierzałam rozmawiać - stwierdziła zrezygnowana i przeciągnęła ręką po włosach. - Ale masz rację, trzeba wracać do dzieci. - Sięgnęła po swoje ubranie i błyskawicznie naciągnęła dzinsy. - Nie wiem, czy Asia da sobie z nimi radę.

Nie powinien był patrzeć, jak się ubierała. Sam też powinien się ubrać. Tymczasem leżał beczynn timer, czując w całym ciele obezwładniającą słabość.

- Odkąd tchnęłaś w Maka i Sarę więcej życia, mogą być z tym pewne kłopoty - mruknął.

Sydney przyjrzała mu się uważnie.

- To ma być komplement czy krytyka? - zapytała. Głos Shayne'a był jak zwykle beznamiętny, ale ona już zdążyła się przyzwyczaić, że przy nim zawsze musi się mieć na baczności.

Shayne wstał i spojrzał na nią z góry.

- A jak myślisz? - zapytał, wyraźnie rozbawiony.

- Ja to pierwsza powiedziałam. Obawiam się, że będziesz musiał wymyślić coś nowego.

- A ja się obawiam... - Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak z uniesionymi w

górkę rękami naciąga przez głowę sweter. Nie miała stanika. Poczulk, że zaschło mu w ustach.

- Tak? - zapytała, kiedy już się ubrała.

Odetchnął gębkoko. W piersiach czulk dojmujący ból, który - był tego pewny - nie miał żadnego związku z jego zdrowiem.

- Obawiam się, że w twojej obecności nie potrafię zebrać myśli.

Widziała, jak na nią patrzył. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Jaka szkoda, że nie mieli czasu, żeby się jeszcze raz kochać. Podeszła do niego.

- Jesteś jeszcze za młody, żeby mieć sklerozę.

Poczulk, jak płomień znowu ogarnia jego ciało. I mimo dzielącej ich przestrzeni czulk bijący także i od niej żar.

- Czy mówisz to jako niedoszła lekarka? Roześmiała się i oparła mu ręce na piersi.

- Nie. Mam takie wewnętrzne przeczucie. - Przytuliła się i nagle poczuła, że Shayne jakby się wzdrygnął.

- Co się stało?

Ból zaatakował go nagle i niespodziewanie. Był wyjątkowo ostry. Zaskoczony Shayne kilkakrotnie wziął głęboki oddech. Po chwili ból ustąpił równie szybko, jak się pojawił.

- Nic, nic - powiedział.

Sydney była pewna, że to musiało być coś poważniejszego. Shayne wyglądał przez moment, jakby dostał cios nożem.

- Na pewno?

Ból był już tylko wspomnieniem. Shayne wzruszył ramionami. Po co zaraz robić z igły widły.

- Coś mnie nagle ukłuło - mruknął. - To wszystko. Sydney wiedziała, że nie przyznałby się, nawet gdyby było inaczej.

- Jako lekarz sam wiesz najlepiej - powiedziała. Nie chciała psuć tej pięknej chwili. Wciąż spowijała ją euforia, broniąc przed światem, jak stalowa zbroja. Podniosła oczy. - Będę miło wspominać to wspólne podłączanie telefonu.

Shayne mimo woli się roześmiał.

- Więc to tak się nazywa? Skinęła głową, patrząc mu w oczy.

- Od tej chwili tak.

Od tej chwili... To zabrzmiało tak poważnie i wiążąco. Ale on wiedział, że nie może być mowy o żadnym trwałym związku. Uświadomiła mu to już wcześniej Barbara, potem Ben. A przecież każde z nich zainwestowało znacznie więcej w związek z nim niż Sydney. W porównaniu z tym, co łączyło go z Barbarą czy Benem, on i Sydney byli sobie niemal obcy.

Mimo to potrafili tak wspaniale się kochać.

Cóż z tego, kiedy to niczego nie zmieni.

I tak pozostaną sobie obcy.

Sydney spojrzała na niego, marszcząc brwi. Jej euforia zaczynała się ulatniać.

- Znam tę twoją ponurą minę. Jesteś uosobieniem pesymizmu.

W odpowiedzi jeszcze bardziej się zasepił, po czym uświadomił sobie, że w ten sposób potwierdza tylko jej słowa.

- Wcale nie mam ponurej miny. - Zgnębiony odwrócił się i zaczął szukać koszuli. Musiała przecież gdzieś tu być.

Sydney szła za nim, mówiąc:

- Masz, masz. Powiedziałabym nawet, że to twoja wrodzona mina, gdyby nie to, że czasem potrafisz wyglądać inaczej. Z tego wniosek, że wcale nie musisz być zawsze taki skwaszony.

Dopiero po chwili zrozumiał sens jej słów i sam już nie wiedział, co było gorsze - czy to, że pytowała jak najęta, czy może to, że potrafił jednak nadążyć za tokiem jej myśli.

- Nie jestem pesymistą. Jestem realistą.

- Jesteś pesymistą - upierała się. - A ja jestem optymistką. Dla mnie szklanka jest zawsze na pół pełna i widzę kelnerkę nadchodzącą z dzbankiem. A dla ciebie jest na pół pusta, a kelnerki ani śladu, bo rzuciła pracę, zabierając przy tym dzbanek.

Ona ma rację, pomyślał Shayne, ale to tylko kolejny dowód na to, że jest realistą. Wzruszył ramionami i włożył koszulę.

- Skończyłaś?

- Na razie - odparła i zaczęła zapinać mu guziki. Odsunął jej rękę i sam dokończył. Jeżeli pozwoli, by stała przy nim i dotykała go, nie starczy mu siły woli, by stąd wyjść.

- Drobne przysługi bywają najbardziej wiążące - mruknął. - Trzeba jechać, zanim będzie za późno.

- O ile już nie jest za późno - odparła Sydney, zakładając puchową kurtkę.

Nie zamierzał jej pytać, co tym razem miała na myśli. Prawdę mówiąc, wolał tego nie wiedzieć.

Shayne z westchnieniem zamknął czasopismo medyczne, które od jakiegoś czasu usiłował czytać, i zaczął sobie masować skronie.

Nie mógł się skoncentrować.

A to wszystko jej wina.

Na przykład te dobiegające zza okna hałasy, za które była bezpośrednio odpowiedzialna, w znacznym stopniu utrudniały mu lekturę. Ale oczywiście mógł nie zwracać na nie uwagi.

Nie potrafił jednak obronić się przed natłokiem własnych myśli, które krążyły wyłącznie wokół jej osoby.

Zaanektowała wszystkie dziedziny jego życia - nawet tu, w swoim gabinecie, nie był już sam. Sydney zrobiła z niego magazyn rupieci, które zamierzała zabrać do chaty, kiedy się będzie przeprowadzać.

Mógł przysiąc, że każda z tych cholernych rzeczy była przesiąknięta zapachem jej perfum. Nawet pianino w salonie. Niech ona nie próbuje mu wmawiać, że nie używa perfum, bo ich zapach wciąż go prześladowuje, przywodząc na myśl pewne popołudnie, kiedy na moment postradał zmysły. Zwariowane popołudnie sprzed ponad tygodnia.

A to mu z kolei przypominało, że wbrew podszeptom zdrowego rozsądku nadal nie przestawał jej pragnąć.

Chciałby, żeby się już wyprowadziła. To jego wina, że wciąż siedziała mu na karku, bo to on ją zatrzymywał. Dawno by już mieszkała w chacie panny Faye, gdyby nie przekupił jej tymi lekcjami latania.

Co go wtedy opętało? Dlaczego pozwolił jej zostać? Po to, żeby się do wszystkiego wtrącała? Powinien przecież być szczęśliwy, kiedy nadarzyła się okazja, żeby się jej pozbyć. A on nie skorzystał z tej szansy, bo nie mógł znieść myśli, że musiałaby mieszkać sama na takim odludziu. Nie mógł również znieść myśli o jej przeprowadzce. Ale najbardziej dręczyło go to, że tak bardzo brał sobie to wszystko do serca.

Przecież wiedział, dokąd może go zaprowadzić droga, którą obrał. Na skraj przepaści. Po co więc dopuszczał do siebie takie myśli?

Bo nie mógł nic na to poradzić.

Na razie.

Będzie jednak musiał coś z tym zrobić. Poprzysiągł to sobie w duchu.

Pograżony w tych niewesołych myślach, wzdrygnął się, kiedy coś głucho łupnęło w okno. W następnej chwili zobaczył za szybą roześmianą twarz Sydney, zaróżowioną od mrozu i wiatru. Pomachała mu, zawołała „przepraszam” i zniknęła. Resztki śniegowej kuli spłynęły po szybie.

Zaintrygowany Shayne otworzył okno, żeby zobaczyć, dokąd poszła, wystawiając się przy tym na cel. Kolejny biały pocisk poszybował w powietrzu i nie napotykając na przeszkodę w postaci szyby trafił go w głowę.

W powietrzu zabrzmiał dźwięczny śmiech Sydney, wspierany przez dziecięce głosy.

- Wyjdź na dwór! - wołała Sydney, gestykulując z ożywieniem. - Jest taki piękny śnieg.
- Tak, jak cholera - burknął, ocierając twarz.

Ostatnim razem, kiedy bił się śnieżkami, miał jakieś dziesięć - no, może dwanaście lat. Później życie zmusiło go, żeby szybko wyoroślał. Teraz, sam nie wiedząc, co go opętało, zerwał z haka kurtkę i wypadł na dwór, zdecydowany odplącić im pięknym za nadobne.

Sara zobaczyła go pierwsza i klasnęła z radości.

- Tata! Będziesz się z nami bawić?

Shayne nabrał garść śniegu i ugniół go w twardą kulę.

- Tylko kilka minut. Muszę wyrównać swoje porachunki z Sydney.

Stojąc w bezpiecznej odległości, Sydney wyzywająco wypięła pierś.

- No, spróbuj mnie trafić.

W następnej sekundzie ze śmiechem zrobiła unik i Shayne chybił. Ale tylko raz.

Już za drugim i trzecim razem jego kule dosięgły celu. Zadowolony z siebie uznał, że bitwa skończona.

Niestety mylił się.

Sydney już czekała na niego z zapasem przygotowanych kul. Gdy tylko pozbył się swojej ostatniej śnieżki, zaczęła się błyskawiczna kanonada.

Mak podbiegł do Sydney żeby się do niej przyłączyć. W kilka chwil później w powietrzu zaroilo się od śnieżek.

Sara uznała, że powinna pomóc słabszemu, więc podbiegła do Shayne'a.

- Pomogę ci, tatusiu.
- Bardzo dziękuję - odparł Shayne.

Uradowana Sara ulepiła nieforemną śnieżkę i rzuciła ją z rozmachem. Kula upadła jakiś metr od nich.

- Dobra robota - pochwalił ją z uśmiechem Shayne. Śnieżne pociski Maka bez pudła trafiały w cel. Tym razem trafił Sarę w buzię. Dziewczynka jęknęła, ale ku zdumieniu Shayne'a wcale nie wybuchnęła głośnym lamentem, tylko ze śmiechem zaczęła lepić następną śnieżkę.

Wykorzystując moment jego nieuwagi, Sydney raz za razem trafiła go dwoma kulami. Zasłonił rękami twarz.

Kiedy zerknął w stronę Sydney, zauważył, że przygotowała dość śnieżek na całe popołudnie. W tej sytuacji pozostało mu tylko albo polec, albo zaatakować.

Wybrał to drugie. Podbiegł do Sydney, chwycił ją w pasie i pociągnął na śnieg, a przy okazji sam się na nią przewrócił.

W następnej chwili mieli na karku dzieci, które kotłowały się na śniegu, piszcząc z radości.

Ku swemu zdumieniu Shayne stwierdził, że te krzyki i piski wcale go nie denerwują. Wręcz przeciwnie - słuchał ich z przyjemnością.

Poderwał się na nogi, zrzucając przy tym dzieci, które uczepiły się jego pleców, po czym podał Sydney rękę.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka krwiożercza - powiedział. Kiedy przyjęła jego pomocną dłoń, podciągnął ją do góry.

- Jest jeszcze dużo rzeczy, których o mnie nie wiesz - odparła i zaczęła wytrząsać z włosów śnieg. Zerknęła spod oka na Shayne'a, żeby zobaczyć, jak zareagował na jej słowa. - Noce są długie, może się czegoś nauczysz.

- Może - mruknął, wzruszając ramionami.

Zabrzmiało to dość ponuro, ale Sydney uznała, że to i tak lepsze niż niemy wyrzut.

Otrzeputując się ze śniegu, rozejrzała się za Makiem i Sarą. Oboje byli obsypani śniegiem i wyglądali jak bałwany.

- Kto ma ochotę na gorącą czekoladę? - zapytała. Sara natychmiast podniosła rękę.

- Ja! - pisnęła radośnie.

Mak usiłował zachować spokój, ale zdradził go błysk w oku.

- Ja też - potwierdził.

Shayne spojrział na nią z lekkim zdumieniem.

- Nie wiedziałem, że mamy czekoladę - mruknął. Ciekawe, od kiedy, pomyślał.

Sydney także była zdumiona. Jak mógł podejrzewać ją o to, że składa propozycje bez pokrycia? Nawet tak błahe jak ta.

- Oczywiście, że mamy czekoladę. Nie jestem takim potworem, żeby proponować dzieciom coś, czego nie ma - powiedziała z wyrzutem. - Pan Kellogg sprowadził dla mnie cały transport.

O tak, oczywiście, pomyślał Shayne. Właściciel domu towarowego, jak wszyscy w Hadesie, zrobiłby wszystko dla Sydney. Gdyby mu kazała sprowadzić żywą krowę, też by jej pewnie nie odmówił.

- To ile tej czekolady zamierzasz wypić? - zapytał.

- Podobno noce są tu długie i zimne - odparła z enigmatycznym uśmiechem.

Sam już nie wiedział, czy ta kobieta z niego kpi, czy mówi serio.

Późnym wieczorem uwagę Sydney zwrócił dziwny, stłumiony dźwięk. Początkowo wydawało jej się, że to tylko wiatr zawodzi w bezlistnych gałęziach drzew. Kiedy się jednak uważniej wsłuchała, zrozumiała, że się myli.

To był płacz - cichy, przytłumiony płacz.

Płakało jedno z dzieci. Głęboko poruszona, wyszła na palcach na korytarz i zaczęła nasłuchiwać, wstrzymując oddech. Nic, cisza...

Widocznie wyobraźnia płata jej figle. Odwróciła się i ruszyła ku schodom, i wtedy znowu usłyszała ten rozpaczliwy dźwięk. Dobiegał z pokoju Maka.

Podeszła do drzwi i spróbowała je otworzyć. Nie były zamknięte na klucz. Zawahała się, ale potem pomyślała, że przecież to tylko mały chłopiec, który bardziej niż cegokolwiek potrzebował teraz pociechy. Powoli otworzyła drzwi. Mak leżał na łóżku i szlochał, z twarzą ukrytą w poduszce.

Podeszła bliżej, starając się pamiętać o tym, że Kerriganowie to dumne istoty - nawet ci najmłodszy.

- Źle się czujesz? - zapytała.

Chłopiec skulił się i głębiej wtulił twarz w poduszkę.

- Idź sobie!

Nie zrażona, położyła mu rękę na ramieniu. Mak zeszywniał. Pomyślała, że ojciec i syn mają ze sobą wiele wspólnego.

- Co ci jest?

- Powiedziałem, żebyś sobie poszła. - Mak głośno pociągnął nosem. - Bo i tak to zrobisz, prawda? Wyjedziesz stąd? - Uniósł głowę i spojrzał na nią z wyrzutem. Po policzkach płynęły mu łzy. - Więc lepiej zrób to zaraz. No, idź już sobie.

Sydney, zamiast wyjść, usiadła na brzegu łóżka.

- Nigdzie nie pójdę, póki się nie dowiem, co cię dręczy - powiedziała.

Długo milczał, jakby zmagając się sam ze sobą, a potem znowu podniósł na nią oczy.

- Nie wyprowadzisz się od nas?

A więc o to mu chodziło. Bał się, że chce ich porzucić. Pochyliła się i pogłaskała go po głowie.

- Owszem, wyprowadzę się, ale przecież nie wyjeżdżam z Hadesu. Będę was codziennie odwiedzać. Oczywiście jeśli będziecie tego chcieli.

- Ale jak? - zapytał Mak. - To za daleko.

- Samochodem wcale nie jest tak daleko.

- Ale ty nie masz samochodu.

- Już niedługo będę miała - powiedziała, a widząc jego zdumienie, dodała: - Zamówiłam samochód. Przyślą mi go aż z Detroit.

Nie było to łatwe. Hades to nie duże miasto, gdzie można pójść do dilerów i wybrać sobie

wóz. Po przejrzaniu katalogu Sydney zdecydowała się na ten sam rodzaj pojazdu, jakiego używał Shayne. Wóz kupiła sama, nie mówiąc mu o tym. Uznała, że nie powinna zaprzętać mu tym głowy.

- Czy to długo potrwa?

Wzrok Maka, pełen nadziei, wzruszył ją do głębi. Czemu jego ojciec nie może patrzeć na nią w taki sposób?

- Tutaj wszystko musi trochę potrwać.

Ta odpowiedź widocznie go zadowoliła, bo szybko otarł łzy i spojrzał na nią zawstydzony.

- Przepraszam, że taki ze mnie mazgaj. Rozbeczałem się jak jakiś smarkacz.

Ogarnięta współczuciem chwyciła go w objęcia, a on - ku jej zdumieniu - wcale się nie opierał.

- Nie tylko smarkacze płaczą, Mak. Ja też płakałam, kiedy umarł mój tata. Mężczyźni też płaczą.

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

- Nie - oświadczył z przekonaniem. - Mężczyźni nigdy nie płaczą.

Ujęła go za podbródek i zwróciła ku sobie jego twarz.

- Płaczą, płaczą. Przecież czują, tak samo jak ty. Płaczą, kiedy jest im smutno albo gdy coś ich boli.

Może niektórzy płaczą, pomyślał Mak. Ale on zna kogoś, kto jest ponad wszystko. Ponad ból, łzy i strach.

- Ale nie mój tata. On nic nie czuje. Może tylko nienawiść. - Mak zacisnął wargi, zastanawiając się, czy aby nie powiedział za dużo.

Sydney przeraziła się. Więc on tak myślał o swoim ojcu? Biedne dziecko! Ujęła w dłonie twarz chłopca i powiedziała z naciskiem:

- To nieprawda, że tata cię nienawidzi. On kocha was oboje i to bardzo. Tylko nie potrafi wam tego okazać.

Co za patentowany osioł z tego Shayne'a, pomyślała z przygnębieniem.

- Nie, on wcale mnie nie kocha - zaprzeczył Mak. Miał zresztą na to dowód. - Nigdy do mnie nie przyjechał, ani razu. Dopiero wtedy, kiedy umarła mama...

Sydney mocniej przytuliła go do piersi.

- Posłuchaj mnie. Twój tata nie odwiedzał cię, bo nie mógł - powiedziała po chwili. - Wasza mama sobie tego nie życzyła. Uważała, że skoro nie może często przyjeżdżać, tak będzie lepiej dla ciebie i dla twojej siostry - mówiła dalej, starannie dobierając słowa, by nie popsuć wizerunku matki w oczach dziecka.

- Twój tata był innego zdania i często się o to spierali. W końcu zgodził się na to, bo nie chciał, żebyście byli świadkami tych kłótni. - Pogłaskała go po głowie. - Ale oboje bardzo was kochali.

Oczy chłopca znowu napełniły się łzami.

- Wcale nie.

Gorączkowo zaczęła szukać w myślach jakiegoś sposobu, żeby go przekonać. I nagle ją olśniło.

- Gdyby twój tata cię nie kochał, nie trzymałby w biurku twoich zdjęć - powiedziała.

- To on ma moje zdjęcia?

- I to mnóstwo. Ma całe pudło zdjęć twoich i Sary. Chyba zaczął je zbierać jakieś sześć lat temu. - Musiała trafić w dziesiątkę, bo zobaczyła, że chłopcu zaświeciły się oczy. - Założę się, że twój tata przesiedział wiele nocy nad tym pudłem, przeglądając wasze zdjęcia. Na pewno bardzo za wami tęsknił i martwił się, że już nigdy was nie zobaczy.

Mak poczuł, że ogarnia go miła fala ciepła. Jak wtedy, kiedy Sydney zaglądała do niego w nocy, żeby go opatulić kołdrą.

- Jak myślisz, skąd on ma te wszystkie zdjęcia? - zapytał. Nie był wcale podejrzliwy. Chciał się tylko dowiedzieć.

- Jeśli ktoś kogoś kocha, zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby zdobyć jego fotografie.

Tak bardzo chciał jej uwierzyć. Pozostało mu jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

- Skąd wiesz o tych zdjęciach?

- Boje widziałam. Któregoś dnia szukałam czystego papieru i natknęłam się na nie w dolnej szufladzie biurka waszego taty - powiedziała. Shayne'owi nie przyznała się do tej pory. Wiedziała, że nie pochwalaby tego, że grzebała w jego rzeczach. Nawet gdyby to teraz odkrył, radość, jaką ujrzała na twarzy Maka, była warta każdego ryzyka. Chłopiec wyskoczył z łóżka.

- Chcę je zobaczyć!

Sydney zawahała się, ale wyraz oczu chłopca położył kres jej wahaniom.

- Oczywiście. - Wzięła go za rękę i ruszyli w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ 14

Co wy tu robicie?

Sydney podniosła wzrok, zaskoczona, i zobaczyła w progu Shayne'a. Nawet nie usłyszała, jak wchodził do domu. Spodziewając się reprimendy, odsunęła się od biurka, na którym razem z Makiem oglądali fotografie, i stanęła między ojcem i synem.

- Mak nie wierzył, że trzymasz w biurku ich zdjęcia. - Spojrzała na rozrzucone fotografie. - Mogłabym je powklejać do albumu. Jeżeli chcesz, oczywiście.

Tego dnia Shayne wrócił do domu wyjątkowo zmęczony. Po południu wybrał się do chorego, mieszkającego w odległej wiosce, a tam okazało się, że czeka na niego nie jeden, ale dwunastu pacjentów. Gorzko żałował, że nie zabrał ze sobą Sydney, choć za nic w świecie by się do tego nie przyznał. Już sama jej obecność wydawała się przynosić ludziom ulgę. Ale on chciał się od niej uniezależnić.

Kiedy zobaczył, że w gabinecie pali się światło, skierował kroki najpierw tam, a nie do kuchni, choć burczało mu w brzuchu z głodu. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, że przyłapie Sydney i swojego własnego syna, jak pod jego nieobecność grzebią mu w biurku.

- Sydney, bardzo cię proszę, odłóż te zdjęcia na swoje miejsce. - Z ponurą miną popatrzył na fotografie, porozkładane po całym biurku. - Skąd wiedziałaś, że są w szufladzie?

Mówił zimnym, oskarżycielskim tonem. A przecież był mężczyzną, z którym niedawno się kochała.

Dobrze jej tak. Jak mogła w ogóle myśleć, że dzięki temu coś się między nimi zmieniło? Albo że mają przed sobą wspólną przyszłość?

Dlaczego ciągle prześladowuje ją pech? Po raz kolejny oddała serce mężczyźnie, który wcale tego nie chciał.

- To teraz nieważne - odezwała się, podchodząc do niego i ścisząc głos. - Liczy się tylko to, że Mak nareszcie mógł się przekonać, że ci na nim zależy.

Kto dał jej prawo, żeby urządzać mu życie? Czy ona sobie wyobraża, że wolno jej wszędzie wtrącać swoje trzy grosze?

- On to wie i bez tych fotografii - burknął.

- Niby skąd? - zapytała, piorunując go wzrokiem. - Czasem chciałoby się mieć jakieś namacalne dowody.

Nieświadom konfliktu między dorosłymi, Mak podniósł jedno ze zdjęć.

- Co na nim jest? - zapytał, rozładowując na moment napięcie.

Shayne podszedł do syna, wziął fotografię i spojrzał na podpis na odwrocie. Skreślony był jego własną ręką. Barbara nigdy nie zadałaby sobie tyle trudu. To on skrupulatnie opisywał wszystkie wyblągane z takim trudem fotografie.

- „Mak, pierwszy dzień szkoły” - przeczytał. Na zdjęciu chłopiec nieśmiało uśmiechał się do obiektywu. Brakowało mu jednego przedniego zęba. W jednej ręce trzymał zeszyt, a w drugiej kolorowy pojemnik na kanapki. Shayne przypomniał sobie, co czuł, kiedy po raz pierwszy patrzył na to zdjęcie. W jego sercu duma mieszała się wtedy z żalem, że nie mógł

być przy tym obecny. Miał głęboki żal do Barbary za to, że odsunęła go od własnych dzieci.

Mak wziął z powrotem fotografię i zaczął oglądać podpis na odwrocie. Jego ojciec miał bardzo nieczytelne pismo.

- Bazgrzesz jak kura pazurem - stwierdził. Shayne roześmiał się.
- Jestem lekarzem, a wszyscy lekarze bazgrzą jak kura pazurem. Nie wiesz o tym?

Chłopiec spojrzał na pudełko. Było w nim jeszcze całe mnóstwo zdjęć.

- Po co ci te wszystkie fotografie? - zapytał, podnosząc wzrok na ojca.

Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Shayne nie potrafił skłamać. Nie mógł także znieść wzroku Sydney, która w milczeniu czekała, by odpowiedział na pytanie syna.

- Przede wszystkim dlatego, że nie mogłem sam przy tym być. - Żadne z nich nie wiedziało, ile kosztowało go to wyznanie. - Prosiłem waszą matkę, żeby wysyłała mi zdjęcia. Chciałem zobaczyć, jak rosną i jak wyglądają moje dzieci.

Mak rozważył każde jego słowo, ale musiał się jeszcze upewnić.

- Więc naprawdę ci na nas zależało? - zapytał.

Shayne i Sydney wymienili spojrzenia. A niech ją, miała jednak rację, pomyślał Shayne. Mak naprawdę chciał to usłyszeć, chciał, żeby on sam mu to powiedział i okazał. Zakładając, że syn i bez tego to zrozumie, popełniał błąd.

W jego sercu wezbrała miłość. Przygarnął chłopca do piersi, próbując nadrobić stracony czas. Wiedział, że to niemożliwe, ale mógł przynajmniej spróbować.

- Oczywiście, że tak. I nadal mi zależy.

Za plecami usłyszał cichy odgłos zamykanych drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył, że Sydney wyszła z pokoju. Kolejny dowód na to, że jej nie doceniał. Doskonale wiedziała, że pewne rzeczy powinno się mówić w cztery oczy.

A on podejrzewał Sydney o wścibstwo.

Obejmując mocno syna, postanowił zrobić wszystko co w jego mocy, by okazać mu swoje uczucie. Mimo iż byli sami, słowa nie przychodziły mu łatwo. Wiedział jednak, że nadeszła chwila, by je w końcu wypowiedzieć.

- To, że mnie tam nie było, nie znaczy wcale, że mnie nie obchodziliście. Uwierz mi, nie było takiej chwili, kiedy bym o was nie myślał.

Mak spojrzał mu z powagą w twarz. Widać było, że bardzo chce mu wierzyć.

- Naprawdę ciągle o nas myślałeś?

Shayne przytaknął i pogłaskał chłopca po głowie. Mak wyglądał teraz zupełnie tak samo, jak Ben w jego wieku.

- Naprawdę.

W oczach chłopca błysnęły figlarne iskierki.

- Nawet kiedy spałeś?

Tak, pomyślał Shayne, chłopiec zdecydowanie ma w sobie krew Bena. Jego brat posiadał sporo zalet, a przede wszystkim miał wiele uroku.

- Nie słyszałeś o czymś takim jak sny, mądralo? - zapytał ze śmiechem, po czym zmierzwił chłopcu włosy.

Mak spojrzał na niego promiennym wzrokiem.

- Ty mnie też się śniłeś, tato. Wiele razy.

Pewnie nawet nie wiedział, jakie znaczenie miały dla ojca jego słowa i jak ogromną sprawił mu radość.

Długo jeszcze siedzieli razem, przerzucając fotografie, rozmawiając i poznając się nawzajem. Shayne sam nie wiedział, kiedy opuściło go zmęczenie i napięcie.

Prawdę mówiąc, to właśnie Sydney zawdzięczał pojednanie z synem. Ale czy ma dziękować jej za to, że przy okazji wtargnęła na jego terytorium, w jego prywatne życie?

W końcu poprosił Maka, żeby pochował fotografie, a sam udał się na poszukiwanie Sydney. Trochę go dziwiło, że zostawiła ich samych aż na tak długo. Oczekiwał raczej, że szybko wróci, gotowa podjąć się roli mediatora. Poza tym wiedział, że Sydney zawsze musi trzymać rękę na pulsie.

Ta kobieta stanowiła dla niego absolutną zagadkę. Sam już nie wiedział, czy ma ochotę wziąć ją w objęcia, czy mocno nią potrząsnąć. A może i to, i to. Bez względu na to, co Sydney robiła, wzbudzała w nim krańcowo różne uczucia. Był tym już bardzo zmęczony. Czuł, że zaczyna tracić orientację.

A może właśnie o to jej chodziło?

Gdy tylko otworzył drzwi, dobiegły go ciche dźwięki pianina. Ruszył w stronę salonu.

I tam właśnie ją znalazł.

Siedziała przy instrumencie, a obok niej Sara, w najwyższym skupieniu usiłująca powtarzać ruchy jej palców na klawiaturze.

Kiedy bezszelestnie wszedł do pokoju, Sydney oderwała wzrok od pianina, jakby podświadomie wyczuła jego obecność. Zresztą wcale by się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście tak było.

Patrzyła na niego, próbując poznać po jego minie, w jakim jest nastroju. Nie wyglądał na rozgniewanego. A to już dobry znak.

- No więc, jak wam poszło?

- Dobrze - powiedział obojętnym tonem.

Może powiedział zbyt mało, ale w końcu to jego prywatne sprawy. Nie chciał, by Sydney jeszcze bardziej rozpanoszyła się w jego życiu.

Zresztą już i tak zajęła w nim zbyt znaczącą pozycję.

Podszedł do pianina i stanął przy Sydney.

- Nadal się nie dowiedziałem, dlaczego grzebałaś w moich rzeczach - powiedział przyciszonym głosem, żeby nie przeszkadzać Sarze.

Jego słowa zabolą ją, choć właściwie mogła się czegoś takiego spodziewać. To takie do niego podobne. A przecież wcale nie musiał być opryskliwy.

- Nie grzebałam w twoich rzeczach - obruszyła się. - Po prostu szukałam czystego papieru.

Chciał jej uwierzyć, ale Barbara nauczyła go, że w stosunkach między ludźmi trzeba się liczyć z kłamstwem.

- Zdjęcia a papier to duża różnica.

Doskonale rozumiała, co chciał jej powiedzieć. Że nawet jeśli przypadkiem natknęła się na fotografie, nie powinna była ich oglądać.

- Byłam po prostu ciekawa - przyznała się szczerze. - Przepraszam. To nie dlatego, żebym cię podejrzewała o to, że prowadzisz podwójne życie.

Sara przestała grać i otworzyła buzię ze zdumienia.

- Tato, ty masz jakieś podwójne życie?

Shayne spojrział z wyrzutem na Sydney. Gotowe z tego wyniknąć jakieś nieporozumienie.

- Nie, ja...

Mak, który właśnie wszedł do salonu, usłyszał pytanie Sary.

- Jak Batman? - zapytał.

- Nie, nie jak Batman - zaprzeczył Shayne. - I nie prowadzę podwójnego życia. Sydney sobie tylko zażartowała.

Korzystając z chwilowej ciszy, Sydney wstała od pianina i powiedziała:

- Pomyślałam sobie, że drzewko można by postawić w rogu salonu.

- Jakie znowu drzewko? - zapytał Shayne. W jednej chwili Sara już była obok nich.

- Choinkę, tatusiu - poinformowała go, patrząc na niego z politowaniem.

A to także było winą Sydney.

Prawie wszystko, co działo się ostatnio, było winą Sydney. Na widok jego miny Sydney zawahała się. Może on nie lubi, jak ktoś mu urządza dom? Potrafiła to zrozumieć.

- Może za dużo sobie pozwalam... - zaczęła. Nawet nie pozwolił jej dokończyć.

- Może? - powtórzył, piorunując ją wzrokiem. Jak ona mogła myśleć, że jest inaczej? Z każdym swoim oddechem wdzierала się coraz głębiej w jego życie, zmieniając je według

własnego uznania.

Sydney wcale się nie obraziła.

- No dobrze - powiedziała pojednawczym tonem. - Gdzie zazwyczaj ustawiasz choinkę?

- Nigdzie. U mnie w domu nigdy nie było żadnej choinki. - Ledwo to powiedział, uświadomił sobie, jak okropnie musiały zabrzmieć jego słowa w uszach dzieci.

Sara otworzyła szeroko oczy.

- To tutaj nie ma świąt? - zapytała z przerażeniem.

Mak spojrział na nią z politowaniem. Czy ona nic nie rozumie?

- Oczywiście, że są. Świąta są wszędzie. - Zerknął ukradkiem na Sydney, jakby chciał się upewnić. - Prawda?

- Pewnie, że tak - odparła szybko Sydney, zanim Shayne zdążył powiedzieć coś, co jeszcze bardziej pogorszyłoby całą sprawę. - A na dowód tego wasz tata postawi tu taką choinkę, jakiej w życiu nie widzieliście. Prawda, tatusiu? - Spojrzała na niego wyczekująco.

Co za dziwne uczucie, słyszeć, że ktoś się tak do niego zwraca. Jakby razem z Sydney stanowili rodzinę. A przecież tak nie jest. I nigdy nie będzie.

Spojrział na dzieci. Dwie pary oczu wpatrywały się w niego z napięciem i nadzieją, której nie mógł zniweczyć.

- Prawda - powiedział, ujmując Sydney pod rękę. - Przy okazji chciałbym zamienić z tobą kilka słów - dodał.

- Zawsze do usług - odparła i wyzwoliła się z jego uchwytu. - Ale to będzie musiało poczekać, póki nie położę dzieci do łóżek. - Z ciepłym uśmiechem spojrzała na Maka i Sarę. - Prawda?

Żadne z nich nie miało jeszcze ochoty iść spać, jednak oboje zgodzili się, bo wiedzieli, że niedługo święta i nie warto się narażać.

W tej sytuacji Shayne nie miał wyboru. Usiadł w kącie nad szachownicą i czekał, aż Sydney położy dzieci. Może to i lepiej, że musi trochę poczekać. Ma w ten sposób czas, by zebrać myśli.

Jeśli to w ogóle możliwe.

- No, to teraz możesz już na mnie krzyżeć - oświadczyła Sydney, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Nie chciała, by dzieci się obudziły, bo z trudem udało się je uśpić.

Shayne nieprzytomnym wzrokiem spojrział na nią znad książki. Ponieważ nie był w stanie zebrać myśli, postanowił sobie poczytać. W jego sytuacji najodpowiedniejsze wydało mu się „Poskromienie złoŹnicy” Szekspira. Lektura tak go pochłonięła, że już po chwili zapomniał o bożym świecie. Usiadł na łóżku i odłożył książkę.

- Dlaczego miałbym na ciebie krzyczeć? - zapytał zdziwiony.

- No, dobrze, może nie krzyczeć, ale poważnie porozmawiać - powiedziała Sydney, podchodząc bliżej. - Czy nie o to ci chodziło? Chciałeś mi pokazać, gdzie moje miejsce, prawda?

Sam już nie był pewny, o co mu przedtem chodziło. Jej obecność sprawiała, że z miejsca tracił wątek.

- Może bym to zrobił, gdybym wiedział, gdzie ono jest. Spojrzała na niego niepewnie.

- To znaczy...?

Co za odmiana. Teraz ona prosi go o wyjaśnienie.

- To znaczy, że wiem, gdzie jest twoje miejsce, ale nie wiem, czy chcę, żebyś się tam znalazła. A nawet gdybym chciał, nie wiem, czy potrafię... - Urwał, bo zobaczył, że Sydney przygląda mu się z szerokim uśmiechem. - O co chodzi? - zapytał.

- Zaczynasz mówić zupełnie jak ja - powiedziała. Shayne z westchnieniem przeczesał palcami włosy.

- To znaczy, że jest jeszcze gorzej, niż myślałem.

- Naprawdę? - zapytała miękko. - Co to znaczy „gorzej”? To nie takie łatwe. Podniósł się i stanął z nią twarzą w twarz.

- Posłuchaj, po wyjeździe Barbary pogodziłem się w końcu z wizją mojego nowego życia...

Sydney pomyślała, że „pogodzić się” nie jest właściwym określeniem. On raczej w ogóle wycofał się z życia.

- Czyli...?

- Że spędzę resztę życia samotnie.

Gdyby to była prawda, dawno porzuciłby zawód lekarza i został pustelnikiem, pomyślała.

- Chyba trudno pogodzić samotność z pracą lekarza? Shayne za wszelką cenę chciał jej udowodnić, że nie ma racji.

- Wcale nie. Nie zajmuję się ludźmi, tylko lecę ich ciała, to wszystko...

Ona jednak doskonale wiedziała, że Shayne nie należy do tego typu lekarzy. Widziała, z jakim zaangażowaniem traktował pacjentów. Nie mógł tego ukryć ani przed nią, ani przed nimi. Ani nawet przed samym sobą.

- Mówisz to tak, jakby chodziło o jakieś bezduszne maszyny. A ludziom potrzeba czegoś więcej. Choćby poczucia, że komuś na nich zależy i że ktoś się o nich troszczy. - Zobaczyła w jego oczach protest, więc szybko się wycofała. Najważniejsze, że udało jej się wypowiedzieć swoją opinię. - Ale przerwałam ci. Rozmawialiśmy o twoich planach życiowych. Proszę

bardzo, mów dalej.

Chętnie starłby jej z twarzy ten bezczelny uśmiech albo może...

Znowu zamała mu w głowie. Może lepiej nie zwracać na to uwagi.

- No więc... - chrząknął - mój plan zakładał, że będę sam. A potem Barbara umarła i odzyskałem dzieci. Nie wiedziałem, co z nimi robić.

Czy on nie widzi, że ten etap ma już za sobą?

- Całkiem nieźle sobie radzisz, jeżeli o to chodzi. Popatrzył na nią. Wiedział, że ma wobec niej wielki dług wdzięczności. To ona pogodziła go z Sarą, a potem z Makiem. Kto wie, jak długo by to potrwało, gdyby nie ona. Może nigdy by się nie porozumieli?

- Dobrze wiesz, że to twoja zasługa.

- Niekoniecznie. - Nie chciała pomniejszać jego roli. Dzieci naprawdę go kochały. - Czasem potrzeba po prostu katalizatora. Tym razem padło na mnie.

Katalizator... Czy ona naprawdę tak o sobie myśli? Czy uważa, że można wpływać na wszystkich wokoło, nie angażując się przy tym samemu? Czy to chciała dać mu do zrozumienia? W którym momencie jego życie tak cholernie się skomplikowało?

Doskonale wiedział, kiedy to nastąpiło. W momencie, gdy wysiadła z samolotu i weszła pod jego dach.

- To mój kłopot. Co mam zrobić tym katalizatorem? Jej uśmiech poruszył go do głębi.

- Może nie musisz nic z nim robić. - Podeszła bliżej. A może to on zbliżył się do niej?

Trudno powiedzieć... Czuł, że nie wie już nic poza tym i że jej pragnie.

- Może wystarczy, jeśli pozwolisz mu po prostu istnieć - dodała po chwili.

- Na pewno bym nie pozwolił, gdybym miał dość siły - odparł i nagle porwał ją w objęcia.

Przyłgnęła do niego, ciepła i miękka.

- Czy pan mnie podrywa, panie doktorze?

Nie umiał podrywać i nigdy nie znalazł czasu, żeby nauczyć się tego od Bena.

- Tak, ale chyba dość niezdarnie.

Naprawdę tak uważał? Patrząc mu w oczy, Sydney potrząsnęła głową.

- Nie doceniasz siebie, Shayne. Nie ma w tobie za grosz niezdarności.

Jeżeli tak, to czemu czuł się jak niezdarny nastolatek, a nie jak doświadczony lekarz, który przeprowadził wiele skomplikowanych operacji?

Rozpiął powoli górny guziczek jej bluzki, po czym z niepokojem spojrzął w stronę drzwi.

- Śpią jak susły - uspokoiła Shayne'a, jakby czytając w jego myślach. Wiedziała z doświadczenia, że dzieci potrafią się obudzić w najmniej pożądanym momencie. - Zresztą możesz zamknąć drzwi na klucz.

Tak, lepiej się zabezpieczyć. Shayne podszedł do drzwi, przekręcił klucz, a potem wrócił do Sydney. Dobrze, że przynajmniej ona potrafi zachować zimną krew.

- Zawsze zdążysz mnie uprzedzić - stwierdził. Wcale nie była tego taka pewna, ale powiedziała cicho:

- Będę na to uważać.

Palce Shayne'a zabrały się za następny guziczek, a jego usta musnęły szyję Sydney, przyspieszając jej puls.

- Byłbym ci bardzo zobowiązany - mruknął.

Jego dotyk wyzwalał w niej dawno stłumione pragnienia. Pragnęła go każdą cząsteczką ciała, każdym nerwem, całą duszą.

Gdy zdjął z niej bluzkę, zadrżała. Bluzka opadła na podłogę, a Shayne zaczął rozpinać suwak jej spodni.

Z łomoczącym sercem odnalazła jego usta i zatraciła się w pocałunku.

Kiedy z jej ust wyrwał się cichy jęk, Shayne poczuł, że już nad sobą nie panuje. Zdarł z niej resztę ubrania, i sam szybko się rozebrał, w czym Sydney ochoczo mu pomogła.

Wreszcie stanęli nadzy naprzeciw siebie, jak Adam i Ewa w raju.

Shayne patrzył przez chwilę na Sydney, a potem przyciągnął ją do siebie.

Wpił się w jej usta, ogarnięty żarem, i wtedy zniemacka zaatakował go palący ból.

Ogłuszony, oderwał wargi od ust Sydney i zaczął spazmatycznie chwytać powietrze.

Przeżrana, spojrzała na niego i zobaczyła, że zbladł jak kreda.

- Co się stało? - zapytała.

Ból tymczasem uspokoił się, jak to bywało poprzednio, i Shayne natychmiast o nim zapomniał. Pochylił się nad Sydney, ujął w dłonie jej twarz i powiedział:

- Po prostu za dużo gadasz.

Pocałował ją raz, drugi i trzeci, aż zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Ale... - zaczęła.

Nie pozwolił jej dokończyć. Nie chciał rozmawiać o coraz częściej powtarzających się ostatnio atakach dziwnego bólu, który przeszywał mu bok jak rozpalony sztylet.

Teraz chciał się z nią kochać. Na resztę przyjdzie czas później. Znacznie później.

Pocałunkami stłumił jej protesty.

Kochał się z nią każdą cząsteczką swojego ciała. Sydney topniała pod jego pocałunkami, płonęła od pieszczot, jego ręce doprowadzały ją na skraj szaleństwa.

Shayne kochał się z nią, jakby sam płonął. Kiedy była jeszcze w stanie myśleć, zastanawiała się, co go opętało, jednak tempo, które narzucił, w pełni odpowiadało jej

pragnieniom. Zapomniała o obietnicach, które sama sobie składała podczas długich, ponurych nocy, kiedy szczęście wydawało się jej odległe o całe lata świetlne.

Zapomniała o wszystkim poza Shayne'em.

Czuła, że musi z nim być, musi czuć na sobie jego ręce i usta.

Dla Shayne'a była powietrzem i światłem, morzem i słońcem. Wszystkim, co piękne i czyste, a on z pokorą przyjmował ten dar, który mu tak hojnie ofiarowywała. Gdyby pozostała mu bodaj resztką zdrowego rozsądku, wiedziałby, że ów dar jest zbyt ciężki jak na jego barki. Przypomniałby sobie, że raz już kochał, raz się sparzył i poprzysiągł sobie, że nie da się więcej zranic.

Ale on nie potrafił już myśleć, cały był jednym pragnieniem. Musiał ją mieć, bo tylko ona mogła go wybawić. Była światłem na końcu długiego tunelu, którym wędrował przez te wszystkie samotne lata.

Chciał jej to powiedzieć, chciał, żeby wiedziała, jak wiele dla niego znaczy, ile dla niego zrobiła. Ale słowa, mimo iż paliły usta, grzęzły mu w gardle. Nawet teraz czuł, że coś go powstrzymuje.

Więc zamiast jej to wszystko powiedzieć, zatracił się w namiętności.

Patrząc jej w oczy, wszedł w nią, czując na twarzy jej rozpalony oddech, gdy szeptała jego imię. Ze splecionymi rękami zaczęli poruszać się w odwiecznym rytmie, początkowo powoli, a potem coraz szybciej i szybciej. Chciał na nią patrzeć, chciał widzieć jej reakcję, gdy będzie osiągała spełnienie. Ale fala namiętności w jednej chwili porwała ich oboje i wyniosła na szczyt.

ROZDZIAŁ 15

Kiedy fala namiętności opadła, Sydney poczuła dojmującą pustkę, która przejęła ją lękiem. Jakby nagle oddalili się od siebie z Shayne'em o całe mile.

Chciała wyciągnąć ręce i dotknąć go, żeby się upewnić, że to nieprawda. Powstrzymywała ją jednak przed tym duma.

O czym myślał teraz Shayne? To człowiek zupełnie innego pokroju niż Ben. Potrafił świetnie nad sobą panować i doskonale maskować swoje uczucia.

Czemu narzucił sobie taką męczącą pozę?

Shayne opadł na plecy i wbił wzrok w sufit. Sam sobie wyrzucał, że tak bardzo pragnął Sydney. A to, co właśnie zaszło między nimi, bynajmniej nie ugasiło jego pragnienia, tylko je podsycało. A on nie chciał być już nigdy więcej od nikogo zależny. Dobrze wiedział, jak to się kończy.

Leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit, skupiony wyłącznie na zwalczaniu pokusy, żeby znowu wziąć Sydney w ramiona. Powiedziała jej wtedy, że tym razem będzie inaczej. Że nareszcie oboje znaleźli partnera na całe życie. Ale czy to możliwe? W końcu Sydney zakochała się w Benie - dowcipnym i pełnym

radości życia. Ben to marzenia, głowa w obłokach - a on twardo stoi nogami na ziemi.

- Nie powinniśmy byli tego robić - oświadczył. Słowa te boleśnie ugodziły ją w serce.

- My czy ty? - zapytała.

Nie chciał o tym dyskutować, więc uchwycił się jedyne argumentu, jaki mogła zaakceptować.

- Dzieci by tego nie zrozumiały.

Pod powiekami poczuła piekące łzy. Jakże to nikczemne, używać dzieci jako pretekstu, pomyślała.

- Przecież dzieci śpią.

Nie potrafił leżeć spokojnie obok niej, nie mogąc wziąć jej w ramiona. Usiadł i w tym momencie poczuł dobrze znany ból. Jeszcze i to. Westchnął i z rezygnacją przeczesał włosy.

- Wiesz, że często wstają w nocy i kręcą się po domu. - Czy ona nie rozumie, co on przeżywa? - Nie mam w tej chwili siły tłumaczyć im, o co chodzi.

Powiało chłodem. Sydney również usiadła, podciągając prześcieradło pod brodę.

- A co z tobą? Jesteś w stanie wytłumaczyć to sam sobie? Coś w jej głosie kazało mu się odwrócić i spojrzeć na nią.

- Co?

- Nic, już nic. - Rozgniewana i rozżalona, chciała już tylko jak najprędzej opuścić ten pokój, zanim całkiem się rozklei. Pozbierała z podłogi swoje rzeczy i błyskawicznie się ubrała. Co jej strzeliło do głowy, żeby się w nim zakochać? Przecież on nawet jej nie chce. - Wypuść mnie! - zażądała.

Nie ma mowy, pomyślał. Najpierw musi usłyszeć jej wyjaśnienia.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział.

Jednak doskonale rozumiał, o co jej chodzi. Czemu próbował zrzucić na nią całą winę za to, co się stało? Spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Chodzi mi o to, że kiedy się ze mną kochasz, jesteś zupełnie innym człowiekiem. A kiedy jest już po wszystkim, zmieniasz się. Boisz się okazać swoje uczucia. Raz już się sparzyłeś i teraz się boisz - mówiła, drżąc ze wzburzenia. - Mam dla ciebie miłą wiadomość. Nie jedziesz na tym wózku sam.

Pomyślała, że jeśli się teraz rozpłaczę, nigdy sobie tego nie daruje. Uniosła dumnie głowę.

- Nie tylko ty masz takie obawy. I nie tylko ty się sparzyłeś. Mnie przytrafiło się to nawet dwukrotnie.

- Sydney... - odezwał się, gnębiony poczuciem winy.

Ale ona stała już w drzwiach - boso, trzymając w ręku buty.

- Wracam do siebie. A ty tkwij nadal w tym twoim beznadziejnym świecie - syknęła. - Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać.

Ostentacyjnie zamknęła za sobą drzwi, choć wcale nie tak głośno, jak by naprawdę chciała.

Noc wlokła się bez końca. Sydney przewracała się z boku na bok, aż w końcu zaczęła się obawiać, że zrobi dziurę w materacu. Upragniony sen nie nadchodził, a ona przez długie godziny zmagала się z ciężkimi myślami.

Nad ranem podjęła wreszcie decyzję. Skoro Shayne żałuje, że się z nią kochał, nie będzie mu więcej wchodzić w drogę. Może z czasem znowu będzie mogła stanąć z nim twarzą w twarz, ale nie teraz. Teraz byłoby to zbyt bolesne. Pozostawało jej tylko jedno - musi się natychmiast wyprowadzić. Chata była już prawie gotowa. Prąd miał być podłączony pod koniec tygodnia.

Co do samochodu, wcale nie zamierzała czekać, aż go jej dostarczą, choć może było to głupie z jej strony. Ike wspomniał kiedyś żartem, że jest na każde jej skinienie i w razie potrzeby może się do niego zwrócić. Będzie musiała mu o tym przypomnieć. Zaraz po śniadaniu zadzwoni do niego i zapyta, czy pomógłby jej przewieźć resztę rzeczy. A zwłaszcza pianino. Kiedy będzie miała pianino, nie będzie się czuła wieczorami taka samotna.

Taką miała przynajmniej nadzieję.

A co do zaopatrzenia - była pewna, że może poprosić syna pana Kellogga, żeby co jakiś czas przywoził jej potrzebne produkty. Zawsze znajdzie się ktoś, kto jej pomoże. Mieszkańcy Hadesu byli dla niej znacznie miłsi niż Shayne.

Postanowiła też rzucić pracę w klinice. Shayne'owi będzie to pewnie na rękę. A ona poszuka sobie jakiegoś innego zajęcia. Może udałoby się jej dostać posadę nauczycielki? W końcu miała do tego większe kwalifikacje. Nie mówiąc już o tym, że nie będzie musiała być blisko Shayne'a.

Boże, ale ze mnie idiotka, pomyślała, zakładając buty. Jestem mistrzynią nietrafnych wyborów. Od tej pory nie spojrzysz już na żadnego mężczyznę powyżej dziesięciu lat.

Z tym postanowieniem wyszła z pokoju, żeby zacząć pakować swoje rzeczy. Kiedy mijala drzwi Shayne'a, coś kazało jej się zatrzymać.

Ale ze mnie idiotka, pomyślała znowu.

Tylko co to da, jeśli będzie sobie w duchu wymyślać? Powinna jak najprędzej odejść spod jego drzwi. Niestety, nogi miała jak wrośnięte w ziemię.

Zamiast odejść, zapukała, żeby powiedzieć, że się wyprowadza. Prawdę mówiąc, miała cichą nadzieję, że Shayne poprosi, żeby jednak została.

Pukanie pozostało bez odpowiedzi. Stała, nasłuchując, i wydało jej się, że słyszy jakieś szmery. Więc to tak? Shayne nawet nie chce z nią rozmawiać!

- Shayne? - Znowu cisza. Ponownie zapukała, tym razem głośniej. Znowu nic. Gdyby miała za grosz rozumu, już by jej tu nie było.

Ale nawet jeśli do reszty postradała rozum, pozostała urażona duma oraz najzwyczajniejsza złość. Zdecydowana wygarnąć Shayne'owi, co o nim myśli, otworzyła drzwi.

Siedział na łóżku, z rękoma kurczowo zaciśniętymi na brzegu materaca. Palce mu zbielewały, na czole perlił się pot. Wyglądał jak ktoś, kto zbiera wszystkie siły, by wstać.

Zaniepokojona Sydney weszła do pokoju i spojrzała na Shayne'a.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała.

Uniósł głowę i spojrzał na nią błędnym wzrokiem.

Stanowcze postanowienia Sydney rozpadły się jak domek z kart. Podeszła do Shayne'a i przyjrzała mu się. Był blady jak ściana i spływał potem.

Przyklękła obok łóżka i dotknęła jego czoła. Było rozpalone.

- Co ci jest, Shayne? Jesteś chory?

Potrząsnął głową, zaciskając zęby, a potem przycisnął dłoń do boku, żeby stłumić ból. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Po chwili wymamrotał:

- Czekam, aż mi przejdą te przekłete bóle.

- Jakie bóle? - Obejrzała go od stóp do głowy, jakby spodziewała się zobaczyć jakieś wyraźne ślady. - Co cię boli? - Dopiero potem zauważyła, że przyciska rękę do boku. - Opisz mi te bóle.

- Jestem lekarzem i nie muszę ci niczego opisywać.

To, że był lekarzem, wcale jeszcze nie znaczyło, że nie może go dopaść jakaś choroba. Ale on jest zbyt uparty, żeby się do tego przyznać, pomyślała Sydney. Nie zwracając uwagi na protesty, ucisnęła lekko jego bok. Jęk Shayne'a potwierdził tylko to, czego się domyślała.

- Nie ma wątpliwości, że to wyrostek. Ostre zapalenie wyrostka robaczkowego.

To przejdzie, przynajmniej dotąd tak było, pomyślał Shayne.

- Ja nie... - zaczął.

O nie, pomyślała Sydney, nie pozwoli się zbyć jakimiś wykrętami. Tym razem nie zmusi jej, żeby zostawiła go w spokoju. Pełna współczucia, postanowiła mu pomóc. Nawet jeśli on

tego nie chce.

- Sama przez to przeszłam, kiedy miałam szesnaście lat. A moja kuzynka miała atak wyrostka na obozie letnim, kiedy była jeszcze młodsza. Dlatego dobrze znam objawy. - Przypomniała sobie dziwne zachowanie Shayne'a, kiedy się kochali. - To ciągnie się już od jakiegoś czasu, prawda?

Zaczerpnął z wysiłkiem tchu i spróbował nie myśleć o bólu. Niestety z miernym skutkiem.

- Tak. Jesteś zadowolona?

Szkoda, że jest taki chory, bo chętnie powiedziała by mu, co o nim myśli.

- Byłabym zadowolona, gdybyś nie był taki uparty i pozwolił sobie pomóc.

Spojrzał na nią z gniewem. Nie było to łatwe, bo oczy same mu się zamykały.

- Ja uparty? To ty jesteś najbardziej upartym stworzeniem, jakie w życiu spotkałem. - Próbował ją odsunąć, ale Sydney cofnęła się i ręka Shayne'a odgarnęła jedynie powietrze. - A teraz bądź tak dobra i zostaw mnie samego. Chciałbym się ubrać. - Nowa fala bólu okryła jego ciało gęsią skórą. Wiedział, że Sydney to zauważyła, i czuł, że nie poradzi sobie z tym. Miała rację. - Niech ci będzie. Przeszanę być uparty, jak to nazwałaś, i polecę do Anchorage.

- Czemu akurat do Anchorage?

- Bo tam jest najbliższy szpital.....- Już wiedział, że nie obejdzie się bez operacji.

Nim zdążył dokończyć, Sydney pozbiierała z podłogi jego ubranie i rzuciła je na łóżko.

- Nie ruszaj się. Ja cię ubiorę.

- Ale...

Chciał powiedzieć, że sam potrafi się ubrać, nie miał już jednak siły. Nie miał też siły spierać się z nią. Był zbyt słaby i z każdą minutą słabł coraz bardziej. Pozostało mu tylko siedzieć na łóżku i czekać, aż Sydney ubierze go, jakby był bezradnym kaleką albo małym dzieckiem.

- W takim stanie nie poprowadzisz samolotu - oznajmiła zdecydowanym tonem, słysząc bicie własnego serca. - Ja cię zawiozę do Anchorage.

- O tej porze roku nie da się tam dojechać samochodem. Drogi są nieprzejezdne - powiedział słabym głosem. Z trudem do niego docierało, że Sydney nakłada mu buty.

- Wiem - odparła. Nawet gdyby nie były, jazda trwałaby zbyt długo, a oni nie mieli czasu. Wstała i oświadczyła: - Polecimy samolotem.

Shayne szeroko otworzył oczy. Czy dobrze usłyszał?

- Ty chcesz lecieć do Anchorage?

- Tak. Jakby co, będziesz mi mówił, co mam robić - powiedziała z fałszywą pewnością siebie.

Prychnął szyderczo i potrząsnął głową.

- Akurat!

Sydney przygwoździła go spojrzeniem.

- Masz dwa wyjścia. Albo mi powiesz, jak poprowadzić samolot, albo będziesz musiał mi powiedzieć, jak przeprowadzić operację. Wybór należy do ciebie. Bo tym razem ból sam nie minie. - Wskazała jego bok. - A ty w tym stanie nie poprowadzisz samolotu. - Chwyciła go za rękę i pomogła mu wstać, po czym ustawiła się tak, żeby mógł zarzucić jej rękę na ramię. - Teraz oprzyj się na mnie, żebyśmy mogli zejść na dół i żeby to nie trwało wieki.

Potulnie wykonał jej polecenie. Każdy krok sprawiał mu ból, a nogi miał jak z waty. Czuł, jak Sydney ugina się pod jego ciężarem, i nienawidził sam siebie za to, że nie potrafi iść o własnych siłach.

- Może jeszcze weźmiesz mnie na ręce, jak strażak ofiarę pożaru?

- Bardzo śmieszne. - Wzmocniła uścisk i pożałowała, że jego sypialnia nie znajduje się na dole. Droga byłaby wtedy znacznie krótsza. - Pewnie zrobię to następnym razem.

Kiedy zeszli na dół, Sydney poczuła, że ma miękkie kolana. Podprowadziła Shayne'a do sofy i posadziła go ostrożnie.

- Posiedź tu chwilę - powiedziała, ciężko dysząc. - Ja muszę teraz zadzwonić.

Chciał zaprotestować, chciał powiedzieć, że sam sobie poradzi, ale zabrakło mu sił.

Tymczasem ruch w domu sprawił, że Mak i Sara wyjrżeli ze swoich pokoi. Mak pierwszy zbiegł na dół i ukląkł przy ojcu. Był przerażony jego wyglądem.

- Co jest tacie? - zwrócił się do Sydney.

Spojrzała na chłopca i ze sztucznym spokojem powiedziała:

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. - Szybko wykręciła numer. Cała nadzieja w tym, że Ike jest w domu i odbierze.

Sara schowała się za brata i wybuchnęła płaczem.

- On umrze, jak mamusia.

Shayne ostatkiem sił wyciągnął rękę. Dziewczynka przytuliła się do niego.

- Nie umrę, Saro.

- Na pewno nie. Możecie mi zaufać - zapewniła ich Sydney, modląc się w duchu, by nie była to tylko czcza obietnica. W tej samej chwili usłyszała chrobot podnoszonej słuchawki.

- Ike, tu mówi Sydney.

- Co słyszać u najpiękniejszej kobiety na Alasce?

- Jestem w rozpacz - powiedziała i szybko mówiła dalej: - Posłuchaj, Ike, musisz tu przyjechać i popilnować dzieci. - Asia miała przyjść znacznie później, a nie można było się z

nią skontaktować, bo nie miała telefonu. - Shayne musi natychmiast lecieć do szpitala w Anchorage - ciągnęła, czując na sobie przerażony wzrok dzieci. - Ma ostry atak wyrostka.

- Do Anchorage? - mruknął z powątpiewaniem Ike. - Czy on będzie w stanie poprowadzić samolot?

Zerknęła na Shayne'a. Wyglądał na człowieka, który nie potrafi zrobić kroku o własnych siłach.

- Nie. Ja go zawiozę.

- Ty go zawieziesz?!

Sydney oblizała spierzchnięte wargi. Chyba nie za wcześnie na modlitwę?

- Spróbuję. Nie mam wyjścia.

- Kotku, próbować to za mało. - Ike zastanawiał się przez chwilę. - Wpadnę do Tate'a i zobaczę, czy jego syn... A niech to diabli! Właśnie sobie przypomniałem, że chłopak wyjechał na kilka dni. - Nikt inny nie potrafił poprowadzić samolotu. Ike mógł mieć tylko nadzieję, że lekcje, które Sydney brała u Shayne'a, nie poszły na marne. - Zaraz tam będę. Sydney spojrzała na Shayne'a. Czas naglił.

- Muszę już wyjeżdżać. Błagam, pospiesz się, Ike. Dzieci zostają same.

- Sydney...

Już miała się wyłączyć, ale szybko przytknęła słuchawkę do ucha.

- Co takiego?

- Powodzenia. Zaśmiała się niewesoło.

- Dzięki. - Czują, że będzie jej potrzebny każdy łut szczęścia.

Tymczasem z Shayne'em działo się coś dziwnego. Zaczęło mu się ćmić przed oczyma i kręcić w głowie. Czy w takim stanie potrafi powiedzieć cokolwiek sensownego?

- Sydney, a gdyby tak wziąć psi zaprzęg...? Mogła to sobie doskonale wyobrazić.

- Świetny pomysł - mruknęła. - A na wiosnę, kiedy stopnieją śniegi, znajdą nasze ciała. - Ostrożnie ubrała najpierw Shayne'a, a potem siebie. - Lot to jedyne wyjście. - Obdarzyła go krzepiącym uśmiechem. - Co się z tobą dzieje? Nie wierzysz w swoje zdolności pedagogiczne?

Jego zdolności pedagogiczne nie miały tu nic do rzeczy.

- Przecież nigdy nie latałaś.

Sama o tym wiedziała. Mimo to nonszalancko wzruszyła ramionami.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz. - Mogła się tylko modlić, żeby nie był to również ostatni raz. Podeszła do drzwi. Na widok pobladłych twarzątek dzieci ścisnęło jej się serce. - Podprowadzę samolot tak blisko domu, jak tylko się da, a potem przyjdę po ciebie.

Odwróciła się i wybiegła na dwór.

Przy pomocy Maka udało się wtaszczyć Shayne'a do kokpitu. Trzęsącymi się rękami zapięła mu pasy, a potem spojrzała na przerażone dzieci.

Czas naglił, mimo to poświęciła bezcenną chwilę, uklękła między nimi, objęła Maka i Sarę i złożyła obietnicę, którą tak bardzo chciały usłyszeć:

- Nie pozwolę, żeby coś mu się stało. Wasz tata wyzdrowieje. Ike przyjedzie tu niedługo, a ja zadzwonię, jak tylko będzie to możliwe. Mak, zabierz siostrzyczkę do domu i opiekuj się nią do przyjazdu Ike'a, dobrze?

Chłopiec skinął głową i otoczył Sarę ramieniem. A potem zielonymi oczyma Shayne'a spojrzał na Sydney.

- Obiecujesz, że nic złego mu się nie stanie?

- Obiecuję. - Szybko uściskała dzieci, po czym wstała. Nie mogła już poświęcić im ani sekundy.

Wsiadając do samolotu, poczuła, że jest kompletnie wyczerpana i zlana potem. Podsadzanie Shayne'a do kabiny okazało się trochę ponad jej siły.

Shayne odwrócił głowę i spojrzał na nią. W jego oczach dostrzegła niepewność i lęk.

- Nie bój się. Dostarczę cię tam w jednym kawałku. - Zatrzasnęła drzwi, próbując opanować dreszcze. Przepocone ubranie kleiło się jej do grzbietu. - A kiedy znowu staniesz na nogi, będziesz mógł mnie wyleczyć z zapalenia płuc.

Zdrewniałymi wargami wychrypiał:

- Sydney...

- Oszczędzaj siły - powiedziała. - Będziesz musiał mówić, kiedy będę potrzebowała pomocy.

Z sercem w gardle przekręciła kluczyk, a potem wdusiła przycisk. Maszyna ożyła i zaczęła nabierać prędkości. Sydney poczuła, że całe jej ciało pulsuje.

Czasem strach to dobra rzecz, bo wzmaga czujność, pomyślała.

Z nerwami napiętymi jak struny usiłowała skoncentrować się na tablicy kontrolnej, próbując sobie przypomnieć wszystko, czego ją uczył Shayne.

Ból w boku stawał się nie do zniesienia. Wsysał myśli Shayne'a jak jakiś kosmiczny potwór, pozostawiając w jego mózgu pustkę. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że otacza ich błękitne niebo. I nic poza tym.

- Lecimy - odezwał się ze zdumieniem.

Pierwszy etap już mają za sobą. Ale przed nimi jeszcze długa droga. Może udany start to

dobry znak, pomyślała Sydney.

- Tak, lecimy - potwierdziła. - I to bez zapasowych skrzydeł. - Może przy odrobinie szczęścia jakoś im się uda. Spojrzała na Shayne'a. - Jak się czujesz? - zapytała, ale widziała, że z nim źle. Włos zjeżył jej się na głowie. Musi w porę dowieźć go do szpitala. - Co z tobą, Shayne?

- Wszystko w porządku - wyszeptał. Ostatkiem sił starał się zachować przytomność. Każde słowo kosztowało go wiele wysiłku, ale były pewne rzeczy, które musiał teraz powiedzieć. - Sydney, gdyby coś mi się stało...

Nie chciała tego słuchać.

- Nic ci się nie stanie - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Wszystko będzie dobrze. Sam widzisz, jak mi dobrze idzie. Wylądować też potrafię.

Błagam cię, Boże, spraw, żeby to była prawda, pomyślała. Jeżeli uda mi się bezpiecznie wylądować, nigdy cię już o nic nie poproszę.

Shayne nie myślał o lądowaniu. Wiedział, że Sydney sobie poradzi, choćby przez przekorę. Myślał o tym, że wielu chorych na Alasce zmarło, nim przyszła pomoc, a on czekał zbyt długo.

- Ale gdyby coś się stało - powtórzył - obiecaj mi, że zaopiekujesz się Makiem i Sarą.

- O to się nie martw. - Nie chciała, żeby się zadręczał takimi sprawami. Na pewno wyzdrowieje. Wszystko będzie dobrze. Nie pozwoli mu umrzeć. Ale ponieważ chciał usłyszeć jej obietnicę, powiedziała: - Oczywiście, że się nimi zajmę.

Odetchnął z ulgą. Wiedział, że może na nią liczyć. Wszystko będzie dobrze. Nawet gdyby nie przeżył operacji, Sydney zaopiekuje się jego dziećmi. Dlaczego był takim strasznym głupcem? Powinien był włożyć więcej wysiłku w to, żeby wciągnąć dzieci w swoje życie. A on tymczasem poświęcił całe swe siły, żeby wypchnąć z niego Sydney.

- Sydney...

- O co chodzi? - zapytała nadszpiewanie ostro. Ręce miała kurczowo zaciśnięte na drążku sterowniczym. - Przepraszam, jestem strasznie zdenerwowana. Co chciałeś mi powiedzieć?

- Kocham cię.

Omal nie wypuściła z rąk steru.

- Wybrałeś sobie świetny moment, Shayne - stwierdziła. Chyba bredzi w malignie, pomyślała. Kiedy dojdzie do siebie, nawet nie będzie pamiętał, że coś takiego powiedział. - Trzymaj się, jesteśmy już prawie na miejscu. - Nie słysząc odpowiedzi, spojrzała na Shayne'a. Z zamkniętymi oczyma zwiślał bezwładnie w fotelu. Serce zamarło jej w piersi. - Shayne! O

Boże!

- Włączyła autopilota i dotknęła piersi Shayne'a. Oddychał. A więc żyje.

Przejęła kontrolę nad maszyną i włączyła radio.

- Anchorage, tu cessna. Zbliżam się do was. Mam problem. Słyszycie mnie?

Po chwili, która zdawała się trwać wieki, usłyszała głośne trzaski.

- Cessna, tu Anchorage. Słyszemy cię. Jaki masz problem? Na dźwięk spokojnego męskiego głosu Sydney omal nie wybuchnęła płaczem.

- Wiozę do szpitala doktora Shayne'a Kerrigana. Ma ostre zapalenie wyrostka i właśnie stracił przytomność. - Wszystko będzie dobrze, mówiła sobie w duchu. Na pewno. To nic, że sama miała wrażenie, jakby tabuny mrówek pełzały tam i z powrotem po jej ciele. - Jeszcze jedno, Anchorage... ja nigdy przedtem nie latałam. Pomóżcie mi wylądować.

- Spokojnie, cessna. Zobaczysz, że pójdzie ci jak po maśle - zapewnił ją ten sam opanowany głos.

Zamrugła, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- Trzymam was za słowo.

Rozkleiła się dopiero później, kiedy wreszcie znalazła się w szpitalnej poczekalni. Przy lądowaniu maszyną ostro podrzucano, ale wszystko dobrze się skończyło. Na lotnisku czekał już na nich helikopter, który zabrał ich do szpitala. Przez całą drogę trzymała Shayne'a za rękę, ale on ani na chwilę nie odzyskał przytomności.

Dwie następne godziny przeżyła w straszliwej trwodze. Tyle trwała operacja - dwa razy dłużej, niż powinna. Później powiedziano jej, że gdy Shayne znalazł się na stole operacyjnym, wyrostek pękł, co znacznie skomplikowało cały zabieg.

Kiedy w końcu drzwi sali operacyjnej otworzyły się i zmęczony chirurg poinformował ją, że operacja się udała, rzuciła mu się na szyję i ucałowała go z wdzięczności.

Potem, zmęczona i oszołomiona, zadzwoniła do domu. Odebrano telefon już po pierwszym dzwonku. W słuchawce rozległ się głos Ike'a:

- Dzięki Bogu. Rozumiem, że wam się udało. - Nawet nie próbował opowiedzieć jej, co przeżywał przez te wszystkie godziny, usiłując odwrócić uwagę dzieci od dramatu, który rozgrywał się poza ich zasięgiem.

- Nie. Nie udało się. Dzwonię z piekła - zachichotała. Teraz, kiedy już było po wszystkim, czuła się jak pijana. - Żartowałam, Ike, wszystko w porządku. Shayne jest już po operacji. Doktor mówi, że będzie dobrze. - Ani przez moment w to nie wątpiła, ale dopiero teraz, kiedy na głos wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, w jakiej trwodze żyła przez ostatnie godziny. - Daj mi dzieci, dobrze? Oboje naraz.

- Dobrze. Już i tak wiszą przy słuchawce.

Usłyszała chórally okrzyk: „Sydney!”.

- Sydney... czy on... - zapytał Mak.

- Z tatą już wszystko w porządku - odparła. - Właśnie rozmawiałam z lekarzem.

- Kiedy wróci do domu? - dopytywała się Sara.

- Za jakieś trzy, cztery dni. - Wiedziała, że wróciłby wcześniej, gdyby miał coś do powiedzenia w tej sprawie. - A ja przyjadę, jak tylko będzie to możliwe, i wszystko wam opowiem.

Potem w słuchawce znowu rozległ się głos Ike'a:

- Posłuchaj, kotku, czemu nie miałabyś tam chwilę posiedzieć i odpocząć? Zajmę się dziećmi, jak długo będzie trzeba.

Ale ona chciała już wracać. Chciała osobiście zapewnić Maka i Sarę, że wszystko w porządku. A Shayne po narkozie i tak będzie spał do wieczora.

- Czuję się dobrze, Ike.

- Mogę się założyć, że tak - roześmiał się.

Sydney ostrożnie odłożyła słuchawkę na widełki, a potem bezwładnie osunęła się na krzesło. Nagle uszły z niej wszystkie siły.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła, zakrywając rękami twarz. - Shayne będzie żył. Wyzdrowieje.

ROZDZIAŁ 16

Sydney cofnęła się i pomachała Jimowi Kelloggowi. Chłopak podziękował jej za zaproszenie na kawę i szarlotkę, ale musiał się spieszyć, bo miał dostarczyć świeże jarzyny i nabiał do sklepu ojca. Podróż tam i z powrotem do Anchorage, gdzie odebrali Shayne'a ze szpitala, zajęła im więcej czasu, niż się spodziewali.

A wszystko dlatego, że lekarz nie chciał wypisać go ze szpitala. Zamierzał zatrzymać go na jeszcze jeden dzień, ale Shayne uparł się, że musi wracać do domu.

Sydney także uważała, że Shayne powinien zostać w szpitalu, bo wciąż był osłabiony. Bardzo też schudł, co natychmiast rzuciło jej się w oczy, kiedy przyjechała go odwiedzić. Trudno było się zresztą temu dziwić, bo w ciągu minionych czterech dni przeszedł nie tylko operację wyrostka robaczkowego, ale i zapalenie otrzewnej.

Shayne był głuchy na wszystkie argumenty. Twierdził, że musi wracać do domu, bo w szpitalu bardzo źle go karmią. Podejrzewając, że i tak nic nie wskóra, Sydney postanowiła nie dyskutować z nim więcej na ten temat.

- Obejmij mnie za szyję, to przeniosę cię przez próg - powiedział Ike.

Patrząc na Shayne'a, Sydney pomyślała, jak cudownie jest znowu go zobaczyć. Nie widziała go przez ostatnie cztery dni, dzwoniła tylko do szpitala, żeby się dowiadywać o stan jego zdrowia. Uznała, że lepiej będzie, jeśli nie będą się przez ten czas widywać, poza tym miała pod opieką nie tylko Sarę i Maka, ale również całą klinikę. Pod nieobecność Shayne'a przeniosła pacjentów z mniejszymi problemami na późniejsze terminy, a potrzebujących natychmiastowej pomocy kierowała do Anchorage.

Kiedy szli w stronę domu, spojrzała przez ramię na Shayne'a.

- Pielęgniarki uskarżały się, że dawno nie miały tak nieznośnego pacjenta.

- Chyba słusznie - stwierdził Ike.

Shayne czuł się tak osłabiony, że nawet nie miał siły się z nimi spierać.

- Nie wiesz o tym, że lekarze zawsze są najgorszymi pacjentami? Nie lubią, kiedy ktoś im mówi, co mają robić i co jest dla nich najlepsze - mruknął.

Sydney pomyślała, że pewnie i ją miał na myśli. W ten niezbyt subtelny sposób dawał jej do zrozumienia, że powinna trzymać się z daleka od jego spraw.

- Chcesz powiedzieć, że właśnie dlatego zostałeś lekarzem? Bo nie lubisz, jak ktoś tobą rządzi?

Boże, jak dobrze było móc ją znowu zobaczyć. Przez całą drogę z Anchorage do Hadesu nie mógł się na nią napatrzeć. Tak bardzo się za nią stęsknił.

- Może i masz rację.

Klasnęła w ręce.

- Czy dobrze słyszysz? Wszechwiedzący doktor Shayne Kerrigan przyznaje, że ktoś oprócz niego także może mieć rację?

Ani trochę się nie zmieniła, pomyślał. Wciąż ta sama Sydney.

- Wybaczam ci - powiedział z uśmiechem - bo uratowałaś mi życie.

Sydney zatrzymała się przed drzwiami i odwróciła.

- Uratowałam ci życie, więc będziesz musiał wybaczyć mi wiele rzeczy. A poza tym przypominam ci, że w domu czeka na ciebie dwójka dzieci, które przez ostatnie dni przeżywały piekło. Dlatego masz je przywitać najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki cię stać.

Ike roześmiał się.

- Jeżeli tak zrobisz, gotowe nie uwierzyć, że to ich rodzony ojciec.

Shayne zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić. Był bardzo zmęczony, a nie znosił przyznawać się do swoich słabości.

- Nikt nie będzie mi mówić, jak mam postępować z własnymi dziećmi - burknął.

Sydney tym razem nie zamierzała ustąpić. W końcu chodziło o Sarę i Maka.

- Ktoś ci to musi powiedzieć, więc równie dobrze mogę to zrobić ja. Gotowy?

- Otwórz wreszcie drzwi - jęknął Shayne.

- Zrób, co ci każe, kotku - poradził jej Ike. - Ten facet nie należy do najłatwiejszych.

Kiedy otworzyli drzwi, wpadli na Sarę i Maka. Wyglądało na to, że dzieci przez całe popołudnie czekały na nich za progiem. Rzuciły się na Shayne'a z takim impetem, że gdyby nie Ike, przewróciłyby go na ziemię.

Sara wtuliła twarz w kurtkę Shayne'a. Chciała go objąć, ale miała za małe rączki.

- Wróciłeś, tatusiu!

- Przecież mówiłem, że wrócę - odparł Shayne i pogłaskał ją po głowie.

Dziewczynka podniosła na niego oczy.

- Baliśmy się, że...

Wiedział, czego się bali. On też się tego obawiał. Ale nie było sensu do tego wracać.

- Mniejsza o to. Grunt, że wszystko dobrze się skończyło.

Mak spojrział z uśmiechem na Sydney.

- Sydney od początku mówiła, że tak będzie.

- Tak, rzeczywiście tak mówiła - przyznał Shayne.

- A teraz Sydney mówi, że wszyscy mają wejść do domu - powiedziała Sydney. -

Pozaziębiacie się. Nie mam ochoty być waszą pielęgniarką.

Mając przy boku dzieci, Shayne wszedł do domu, w którym spędził całe swoje dotychczasowe życie. I nagle pomyślał, jak cudownie znowu być u siebie.

Zauważył też, że podczas jego nieobecności Sydney nie próżnowała. W rogu salonu stała olbrzymia, sięgająca sufitu choinka, przystrojona ozdobami, których sobie nie przypominał.

- Widzę, że ustawiliście już choinkę.

Z jego tonu trudno było wywnioskować, czy był zadowolony, czy poirytowany. Pod tym względem wcale się nie zmienił.

- Musiałam znaleźć dzieciom jakieś zajęcia...

Sara podbiegła do sofy i wróciła z małym pudełeczkiem, z którego wystawały srebrne paski.

- Zostawiliśmy dla ciebie serpentyny - oświadczyła.

- Tatusz jest dzisiaj zbyt zmęczony - wtrąciła Sydney. - Poczekajmy z tym do jutra.

Ale Shayne bardzo chciał przyłączyć się do zabawy. Pragnął nadrobić stracony czas.

- Nie, zrobię to teraz. - Wyjął papierowy krążek i rzucił nim w stronę choinki. Niestety,

nie udało mu się dorzucić aż tak daleko.

Mak szybko pozbierał z podłogi srebrną wstęgę.

- W porządku, tato. Zrobisz to później. Święta i tak dopiero za parę dni.

Święta. Dopiero teraz dotarł do niego sens tego słowa. Święta za parę dni, a on nie ma dla nikogo prezentów. Tak długo odkładał zakupy, aż zrobiło się za późno. Jak ma powiedzieć dzieciom, że nic dla nich nie kupił? Co z niego za ojciec?

- Nie martw się o to - szepnął Ike, jakby czytając w jego myślach. - Już ona o wszystkim zadbała. - Wiedział coś o tym. Pomagał Sydney zanieść do samochodu pudła z zakupami. - Zresztą sam się przekonasz.

Shayne pomyślał, że ma Sydney wiele do zawdzięczenia. Czy uda mu się kiedykolwiek spłacić ten dług?

Ike objął go mocno w pasie i pociągnął w stronę schodów.

- Po drodze mam ci jeszcze parę słów do powiedzenia. Przede wszystkim masz odpoczywać. Nie wolno ci teraz udawać twardziela. Poza tym każdy w tym domu ma już swój przydział obowiązków, więc nawet nie próbuj nic zmieniać.

Tego mógł się Shayne domyślić, ale po czterech dniach ubezwłasnowolnienia w szpitalu był bardziej niż zwykle rozdrażniony.

- Co chcesz dać mi do zrozumienia? - zapytał opryskliwym tonem.

Ike przystanął na podeście, żeby zaczerpnąć tchu.

- Sam się przekonasz - wysapał. Pokonali jeszcze kilka stopni i znaleźli się wreszcie w sypialni. Ike podprowadził Shayne'a do łóżka.

- Pacjent należy do ciebie, kotku - zwrócił się do Sydney, która już na nich czekała. - Wprawdzie nie wygląda zbyt atrakcyjnie, ale można się było tego spodziewać. - Z uśmiechem zaczął się wycofywać z pokoju. - No to do zobaczenia.

Sydney odprowadziła go do drzwi.

- Dzięki za wszystko, Ike - powiedziała, a potem spojrzała na Shayne'a. Był blady i wyczerpany, ale gdyby pisnęła słówko na ten temat, na pewno byłby wściekły. - Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? - zapytała.

Nie była wcale zdziwiona, kiedy potrząsnął głową.

- Nie, już i tak zrobiłaś wystarczająco dużo. Sydney cicho się roześmiała.

- Pod tym względem nic się nie zmieniło. Nadal nie wiem, czy to, co mówisz, to komplement czy krytyka.

- Ani jedno, ani drugie. Chcę ci tylko wyrazić swoją wdzięczność.

Najpierw się zdumiała, a potem zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Ach, to dlatego cię nie rozumiałam. Po prostu nigdy dotąd nie doświadczyłam twojej wdzięczności.

Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć. Gdyby tylko potrafił znaleźć odpowiednie słowa.

- Może powinienem był ci ją częściej okazywać - mruknął, a jego oczy wyrażały więcej niż słowa.

Sydney uśmiechnęła się.

- Dopiero co wróciłeś do domu. Nie przemęczaj się, bo nie chciałabym z powrotem wieźć cię do szpitala.

- Ja też nie chciałbym do tego wracać.

Znowu nie była pewna, co zamierzał przez to powiedzieć. Ale wiedziała doskonale, co chciałyby usłyszeć. Podeszła do drzwi.

- Dam ci teraz spokój, żebyś mógł się zdrzemnąć.

Była już jedną nogą za drzwiami, kiedy usłyszała jego głos:

- Sydney?

Cofnęła się.

- Tak?

- Choinka wygląda pięknie.

Wiedziała, ile kosztował go ten komplement. Miała ochotę podbiec do łóżka i rzucić mu się na szyję. Jak inaczej mogłaby mu okazać, że cieszy się z tego, że wyzdrowiał i wrócił do domu? Ale nie zrobiła tego.

- Będzie jeszcze ładniejsza. Poćwicz mięśnie ręki, żebyś tym razem dorzucił serpentynę do drzewka - powiedziała i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Shayne nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni Boże Narodzenie oznaczało radosne krzyki i piski, fruujące serpentyny i smakowite zapachy w całym domu. Pewnie dawno temu, kiedy był małym dzieckiem. Teraz siedział rozparty wygodnie na sofie w salonie i całą duszą chłonał świąteczną atmosferę. Co za wspaniałe uczucie znaleźć się w centrum tego radosnego zamętu.

Wszystko to zawdzięczał Sydney!

Miał jej także wiele innych rzeczy do zawdzięczenia. Gdyby nie ona, nie byłoby tych wszystkich zmian na lepsze w jego życiu. A może i jego nie byłoby na tym świecie. Sydney uratowała mu życie - i to na wiele sposobów.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie to chciałem dostać? - zapytał rozpromieniony Mak, tuląc do piersi najnowszy model gry elektronicznej.

Wcale o tym nie wiedział. Nie jego zasługą były te stosy prezentów, porozkładane na podłodze wśród kolorowych opakowań. To wszystko zasługa Sydney.

- Tatusiowie zawsze wiedzą takie rzeczy - oświadczyła Sydney, wybawiając go z kłopotu. Zawsze spieszyła mu z pomocą, w taki czy inny sposób. Od samego początku.

- Kocham mojego kotka - powtórzyła po raz setny Sara, wtulając twarz w miękkie futerko zwierzątka.

- Musisz się z nim obchodzić bardzo ostrożnie - powiedziała Sydney. - To jeszcze koci dzidzius.

- Będę bardzo uważać - obiecała Sara z powagą.

Shayne wstał i lawirując wśród porzrzucanych prezentów podszedł powoli do Sydney. Minęły dwa dni, odkąd wrócił do domu, i choć wciąż był osłabiony, czuł się już znacznie lepiej.

- Sydney, chodzi o to, co ci powiedziałem w samolocie, kiedy lecieliśmy do szpitala...

Sydney zaczęła zbierać z podłogi kolorowe papiery.

- Ach, wtedy kiedy prosiłeś mnie, żebym w razie czego zaopiekowała się Makiem i Sarą...

- Nie, potem.

Szybko odwróciła się i zaczęła rozprostowywać pomięte arkusze.

- A mówiłeś potem jeszcze coś?

Spojrzał na nią z wyrzutem. Był pewny, że Sydney doskonale pamięta, co wtedy powiedział.

- Powiedziałem, że cię kocham.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Czego chciał od niej tym razem? Przecież ofiarowała mu swoje serce, a on je podeptał. Czy to mu nie wystarcza? Jaką niemiłą niespodziankę trzyma jeszcze w zanadrzu?

- Więc jednak to pamiętasz? - zapytała.

- Tak - odparł cicho. Nie przyszło mu to łatwo, ale był jej to winien. A właściwie im obojgu.

Sydney wzięła głęboki oddech.

- Nie ma o czym mówić. Nie przywiązuję wagi do rzeczy, które mężczyźni mówią tuż przed zemdleniem. W Konwencji Genewskiej jest mowa o nieuczciwym wykorzystywaniu swojej przewagi...

Wiedział, co chciała zrobić - zapomnieć o tym, co zaszło. Nie zamierzał jej jednak na to pozwolić.

- A jeżeli ten mężczyzna nadal się przy tym upiera? - zapytał i zobaczył, że tym razem

udało mu się zrobić na niej wrażenie.

Sydney otworzyła usta ze zdumienia.

- Co?

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Sara uczepliła się ręki Sydney i zaczęła ją ciągnąć w stronę choinki.

- Sydney, Sydney, tam jest dla ciebie prezent!

Sydney zdumiała się. Otworzyła już przecież dwie paczuski z własnoręcznie zrobionymi przez dzieci prezentami, od których zrobiło jej się ciepło na sercu. Dostała nawet prezent od Asi - grube, ręcznej roboty wełniane rękawice. Nie było wprawdzie podarku od Shayne'a, ale raczej się go nie spodziewała, choć

- prawdę mówiąc - na dnie duszy żywiła cień nadziei.

Potrząsnęła głową. Dziewczynka musiała się mylić.

- Już dostałam wszystkie moje prezenty.

- Nie, tam jest jeszcze jeden - włączył się Mak. - Taki mały. Zdezorientowana Sydney podeszła do drzewka. Nawet nie zauważyła, że Shayne wstrzymał oddech i z uwagą śledził każdy jej ruch.

I wtedy zobaczyła swój prezent. Pośrodku bogato udekorowanej choinki wisiała na srebrnej wstążce maleńka paczuszka. Mogłaby przysiąc, że jej tam przedtem nie było. Dziwnie zdenerwowana zdjęła ją i wzięła głęboki oddech.

- Czy to na pewno dla mnie? - zapytała.

Mak wspiął się na palce i zajrzał jej przez ramię, ale i tak już wiedział, co zobaczy. Shayne pokazał mu prezent, zanim powiesił go na choince. Świadomość wspólnie dzielonej tajemnicy napawała chłopca dumą.

- Tam jest napisane, że to dla ciebie - powiedział. Spojrzała na pudełeczko, a potem na Shayne'a. Rozpoznała jego pismo.

- Rzeczywiście.

Niech ją diabli, pomyślał Shayne. Czuł, że pocałował mu się dłoń. Przecież ona zawsze wszystko robi tak szybko, więc czemu teraz tak strasznie się grzebie? Czy nie widzi, że on przeżywa męki?

- Będiesz tak stała przez cały dzień, czy wreszcie rozpakujesz prezent? - zapytał.

Ale Sydney musiała opanować rozdygotane nerwy.

- Czasem lubię się nie spieszyć - odparła.

Kiedy w końcu zaczęła rozwiązywać srebrną wstążkę, Shayne spojrzawszy na Sarę i Maka i pomyślał, że wolałby zostać z Sydney sam na sam. Tak na wszelki wypadek.

- Słuchajcie, dzieciaki, zajrzyjcie do kuchni i spytajcie Asi, czy śniadanie już gotowe - zaproponował.

- Dobrze, tato. - Sara chwyciła Maka za rękę i wyprowadziła go z salonu.

Gdy Shayne znowu spojrział na Sydney, trzymała w ręku wciąż nie rozpakowaną paczuszkę.

Zaczerpnął tchu.

- Rozpakuj ją wreszcie - powiedział, czując, że nerwy ma napięte jak struny. Gdyby nie Ike, który w ostatniej chwili kupił i dostarczył to, o co go prosił, nie mógłby teraz dać Sydney tego prezentu. Te dodatkowe komplikacje sprawiły, że i bez denerwującego zachowania Sydney był wykończony.

Ale gotów był na wszystko, byle tylko zobaczyć w nagrodę jej uśmiech.

Sydney czuła, że drżą jej dłonie. A przecież pewną ręką doprowadziła samolot do Anchorage. Z jakichś niepojętych przyczyn obawiała się, że kiedy rozpakuje prezent, okaże się, że w środku nic nie ma.

Jednak coś tam było. Kiedy rozwinęła kolorowy papier, zobaczyła czarne aksamitne pudełeczko. Otworzyła je. W środku spoczywał złoty pierścionek z brylantem.

Podniosła oczy na Shayne'a. Bała się nawet pomyśleć, co to mogło oznaczać.

- Shayne... ? - wyszeptła.

O co jej chodzi? Poczul, że serce podchodzi mu do gardła. A jeśli nie przyjmie prezentu? Nie miał pojęcia, co wtedy robić.

Albo nie, już wie... Uklęknie przed nią i będzie ją błagał. Ten jeden, jedyny raz w życiu ukorzy się i będzie ją błagał, żeby została jego żoną, żeby została w jego życiu. Bo wiedział już, że bez niej życie nie ma sensu.

- To pierścionek zaręczynowy - powiedział ochrypłym głosem.

Nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy płakać.

- Wiem, co to jest - odparła. - Czemu mi go dajesz? Czy to ma znaczyć, że daje mu kosza? Ujął ją za rękę.

- A jak myślisz?

Nie była w stanie myśleć. W głowie miała kompletny mętlik. Bała się myśleć.

- Shayne, jeżeli ma to związek z tym, co mówiłeś w samolocie, nie musisz czuć się zobowiązany. Ja...

Poczwała, że gubi wątek. Shayne położył palec na jej ustach.

- Chociaż raz zamierz i pozwól mi mówić. Zaciśnęła wargi.

- Przepraszam.

Źle zaczął. Nie tak to sobie wyobrażał. Zdesperowany, mówił dalej:

- Kiedy leżałem w szpitalu, miałem dużo czasu, żeby się zastanowić nad różnymi sprawami. Myślałem o tym, że zawsze przychodziłaś mi z pomocą. I nie chodzi mi o tę wyprawę do Anchorage, choć gdyby nie ty, nie byłoby mnie już wśród was. Chodzi mi o całe moje życie. To ty obaliłaś mur pomiędzy mną a moimi dziećmi. To ty pomogłaś mi zrozumieć, że człowiek nie jest w pełni człowiekiem, jeżeli nie potrafi czuć. - Położył jej rękę na ramieniu. - To dzięki tobie odżyłem, Sydney, dzięki tobie narodziłem się na nowo. Ty zrobiłaś ze mnie człowieka w pełnym tego słowa znaczeniu. Uczyń mnie teraz szczęśliwym i powiedz „tak”.

Bała się nawet oddychać. Bała się, że się nagle obudzi i wtedy okaże się, że był to tylko piękny sen.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nigdy nie myślałem inaczej - powiedział z przekonaniem. Powoli wrócił jej oddech.

- I nie znikniesz?

- A dokąd miałbym pójść? - Objął ją ramieniem. - Przecież tutaj jest wszystko, co kocham.

W tym domu, w tym pokoju.

- Kochasz mnie?

- Kocham cię. - Kiedy już wreszcie wypowiedział te słowa, zdumiał się, że przedtem zrobił to tylko raz. Przecież to takie łatwe. - Bałem się ci to powiedzieć, Sydney. Bałem się nawet o tym myśleć. Naprawdę cię kocham i postaram się być jak najlepszym mężem. Jeżeli mi się to nie uda, możesz mnie zabrać na kolejną wyprawę samolotem. - Pochylił się i pocałował ją w skroń. - Na taką, podczas której będę przez cały czas przytomny.

Podczas jej pierwszego lotu trochę nimi rzucało, ale dolecieli do celu w całości, a tylko to się liczyło.

- Umowa stoi.

W tym momencie do pokoju wpadł Mak. Na buzi miał ślady po konfiturach, które Sydney dla nich przygotowała.

- Jaka umowa? - zapytał. Shayne spojrzał na syna.

- Będziecie mieli nową mamę - oświadczył. Mak, zdezorientowany, zmarszczył brwi.

- Nie chcę nowej mamy. Chcę Sydney.

Ma dobry gust, pomyślał Shayne.

- Chyba masz szczęście, synu. Ustrzelełeś dwa ptaki za jednym zamachem.

Do salonu wbiegła Sara, goniąc kotka. Kiedy go złapała, spojrzała na ojca.

- Będziemy mieli jakiegoś ptaka? - zapytała. W podnieceniu zbyt mocno ścisnęła kotka,

który głośno zamiauczał.

- Nie. Obawiam się, że twój kotek mógłby mieć coś przeciwko temu. Dostaniesz za to nową mamę.

- Czy będę mogła sama ją sobie wybrać? - zapytała dziewczynka i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Bo jeżeli tak, to wybieram Sydney.

Widać z tego, że jego dzieci znacznie go wyprzedziły.

- Czyli jesteśmy zgodni.

- Co to znaczy? - zdziwiła się Sara.

- To znaczy, że będziemy odtąd bardzo szczęśliwi. - Shayne spojrzał na Sydney. -

Prawda?

Sydney zarzuciła mu ręce na szyję.

- Skoro tak mówisz...

- Czy pocałujecie się teraz, czy potrzebna wam jemioła? - zapytał Mak i rozejrzał się po pokoju.

- Odtąd nie będą nam już potrzebne żadne preteksty - odparła Sydney i zwróciła się z uśmiechem do Shayne'a. - Prawda?

- Prawda - potwierdził i na poparcie swoich słów gorąco ją ucałował.